

# BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



## WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy) rs. 10  
 Półrocznie (26 tomów) „ 5  
 Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50  
 Za odosłanie do domu 15 kop. kw.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie (52 tomy) rs. 12  
 Półrocznie (26 tomów) „ 6  
 Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

### DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6 kop. —  
 Półrocznie (za 26 tomów) . . . „ 3 „ —  
 Kwartalnie (za 13 tomów) . . . „ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

### Główni współpracownicy:

Teodor Jes'ke-Choiński,  
 Dr. Julian Ochorowicz,  
 Julian Adolf Świącicki.

REDAKTOR I WYDAWCA

*Franc. Jul. Granowski.*



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1870  
 we Lwowie Plac Maryacki 1. 4

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

T. 482 v<sup>o</sup>

№ 153.

12/1004

Opowiadania  
O Starej Warszawie

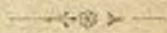


*W. Gomulicki*

WIKTORA GOMULICKIEGO



Z ILUSTRACYAMI.



Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

1900

*100/100*


*OPOWIADANIA O STAREJ WARSZAWIE.*



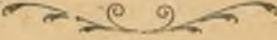
Wiktor Gomulicki.



OPOWIADANIA  
o Starej Warszawie.



(Z ilustracyami).



WARSZAWA.

DRUKARNIA

A T. Jezierskiego

47. Nowy Świat 47.

94/438) Warszawa



nr. 806

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 24 Сентября 1900 года.



~~F 482~~ 4

~~K. 154/2/50.~~

BZ08PK/030-94

## OD AUTORA.

Co mi opowiedziały stare mury, stare akty stare księgi, czegom dobadał się w starych zabytkach budownictwa, rzeźby nagrobnej i t. p., to wam, czytelnicy moi, chcę dziś powtórzyć.

Nie znajdzie się chyba między wami taki, któremu przeszłość starego grodu mazowieckiego była obojętna. Samo porównanie dzisiejszego stanu miasta z jego stanem dawnym budzić musi ciekawość w każdym, kogo obchodzą kolejne przemiany jego siedziby i kto nie żyje, jak owad, wyłącznie dołą dzisiejszą.

Ciekawość ta trudniejsza do zaspokojenia u nas, niż gdzieindziej; żadne bowiem z wielkich miast europejskich nie przetwarza się tak szybko i tak do gruntu, jak Warszawa.

Dziś, pociągniona na całym prawie obszarze wszecheuropejskim, wielkomięjskim pokostem, z przerażającą prędkością traci swą zewnętrzną odrębność. Reszta tej odrębności skupiła się na małej przestrzeni dzielnicy staromiejskiej, lecz i ztamtąd wygania ją tak zwana „cywilizacya,” pod której miano podszywają się u nas nierzadko: bezmyślny popęd niszczyielski, oraz estetyczne i archeologiczne nieuctwo.

Nie mówiąc już o Włoszech, które są jednym wielkim muzeum, jak najstaranniej utrzymywanem, ani o starych miastach niemieckich, gdzie każdy za-



bytek przeszłości jest czezony, okurzany, odmuchywany z prawie przesadnem nabożeństwem — nawet Paryż, wiodący życie najbardziej gorączkowe, oszczędza wszystkiego, co mu przeszłość w puściźnie pozostawiła; oszczędza choćby dlatego, że wie, iż to cząstka bogactwa narodowego, którego trwonić nie należy. My, niestety, chełpiący się wielką miłością przeszłości, poczynamy sobie z jej zabytkami, jak z nieużyteczną i zawadzającą starzyzną...

Nie zliczyć, ile już, za pamięci piszącego te słowa, zmarnowano u nas pamiątek warszawskich; ile stylowo odrębnych gmachów przerobiono na pospolite, wszelkiego wyrazu estetycznego pozbawione, kamienice; ile godeł, tablic, figur, zdobiących czola domów staromiejskich, zatarto, pokruszono, wyrzucono na śmietnik — ilu wreszcie zabytkom, przez niedbalstwo, niewiedomość lub obojętność zmarnieć nędznie pozwolono!

Od wielu lat słyszy się u nas ostrzegające wotania: „Szanujcie pozostałości wieków dawnych; zachowujcie je dla swych następców; ceńcie w nich choćby wartość realną, jaką społeczeństwa ucywilizowane nadawać im umieją!” Na nieszczęście, te odosobnione głosy, do uszu i serca ogółu dotąd nie trafiają. Stowarzyszenia „miłośników przeszłości,” „konserwatorów pamiątek” i t. p., zawiązują się... na papierze; w rzeczywistości, wszystko idzie tym samym, co i dawniej, trybem.

Dla autora niniejszych „Opowiadań,” najpiękniejszą nagrodą za pracę byłoby przekonanie, że otwierając nieświadomym oczy na pamiątkową i starożytniczą wartość wielu zabytków warszawskich, przyczyni się pośrednio do ich ocalenia i należnego poszanowania.



## I.

### O Marywilu.

---

Gdyby dłoń czarodzieja przeniosła dzisiejszego warszawianina w pierwsze lata bieżącego stulecia i postawiła go na rogu ulic Wierzbowej i Senatorskiej, oczy jego i umysł doznałyby wielu zadziwiających niespodzianek.

Przedewszystkiem ów warszawianin spostrzegłby, że nad jego głową, zamiast stojącej tam dziś wspinałej kamienicy, z ładnym balkonem i długą linią sklepów wystawnych, wznosi się zwyczajny mur ogrodowy, poobijany z tynku i plamami wilgoci umozajkowany, z ponad którego wyciągają pokrzywione konary śliwy, grusze, jabłonie oraz rzadkiej piękności orzechy włoskie.

Ogród ten — to ogród OO. Reformatów; wspomniane zaś orzechy są temż samem, których owoc tak bardzo smakował nadwornemu lekarzowi Augusta II-go, Erndtelowi, że w swym uczonym opisie Warszawy (Drezno, 1730, str. 16) upamiętnił je we wzmiance: ...*„praeterea multus in hoc horto fructuum proventus, et in specie junglandium arborum, quae nullibi fere, quam hic, per Varsaviense solum inveniuntur.”*

Ogród, od strony ulicy Wierzbowej, uległ częściowemu zabudowaniu dopiero w roku 1819, w dwa

lata zaś później wystawił na samym rogu dużą kamienicę Petyskus, od którego nazwiska dotąd jeszcze zowie się ta posesya „domem Petyskusa.”

Gdy już zatem nasz warszawianin oswoił się z widokiem starego muru i szumem drzew nad głową i powiódł ciekawem okiem po dzisiejszym placu Teatralnym, czekała go tu nowa, osobliwsza jeszcze niespodzianka...

Ulica Wierzbowa (a zwano ją wówczas jeszcze „Wierzbowska,” na pamiątkę biskupa poznańskiego Wierzbowskiego) w punkcie przecięcia się swego z Senatorską była tak samo szeroka, a raczej wązka, jak w przecięciu się z Trębacką, i oszołomiony warszawianin miał wprost siebie: kilka niewielkich, murowanych kamienie, przypierających do olbrzymiego dwupiętrowego gmachu z okazałą wieżą, która zdawała się czata, strzegącą bezpieczeństwa ciemnej, stłoczonej masy murów, czcigodnych zgrzybiałością, malowniczych bezładem, odpychających brudem.

Bezkształtne to zbiorowisko wszelkiego rodzaju dawniejszych i świeższych budynków i budyneków, przystawek i wstawek, lepianek z cegły i klitek z drzewa, przypierające do głównego, w półkole zatoczonego gmachu z wieżą i zajmujące kwadrat, którego bokami były ulice: Senatorska, Nowosenatorska, Trębacka i Wierzbowa—nazywało się: *Marywil*.

Część dała tu nazwę całości; miano bowiem „Marywilu” służyło właściwie wspomnianemu tylko gmachowi, który zajmował nie więcej, niż czwartą część całego terytorjum.

Ale miano tak przyrosło do miejsca, że kiedy następnie na tyłach Marywilu, na gruncie należącego doń ogrodu, zbudowano „Teatr narodowy,” mieszkańcy Warszawy przez długi czas nie nazywali go inaczej, jak „Teatrem na Marywilu.” Określenie to pozwalało im odróżniać go odrazu od „Teatru na placu Komisji,” którem to mianem oznaczano znów stary gmach na placu Krasińskich.

Aby skończyć z niespodziankami, nastęrczającymi się oczom warszawianina, stojącego pod murami ogrodu OO. Reformatów, trzeba jeszcze dodać, że zwróciwszy wzrok w lewo, napróżno szukałby on w tym kierunku—gmachu ratuszowego.

Ratuszów miała wówczas Warszawa kilka (Staromiejski, Nowomiejski, na Grzybowie i na Lesznie) gmach zaś, pod numerem hypotecznym 462 zapisany i dziś biura municypalności mieszczący, był wówczas prywatnym pałacem Pruszków (przedtem Jabłonowskich). Zaraz też za nim wznosił się, roga ulicy sięgając, pałac Kencińskich (przedtem Blanka).

Na swoim miejscu stał tam jedynie dzisiejszy kościół PP. Kanoniczek (nie posiadający wszakże jeszcze dzisiejszego frontu, wzniesionego dopiero w roku 1819), który jednak wówczas, choć znajdował się pod tem samem, co dziś, wezwaniem (świętego Andrzeja), nie służył jednak Kanoniczkom, lecz „Kanonikom regularnym.” Kanoniczki zaś mieściły się jeszcze, na przenosiny niecierpliwie oczekując, w odmęcie marywilskim...

Rozglądający się po tem wszystkim nasz „współczesny,” łatwo mógłby sobie wyobrazić, że rzucano go w środek miasta, najzupełniej mu nieznane-go; zdumienie wszakże jego ustąpiłoby w znacznej części, gdyby, darem jasnowidztwa obdarzony, mógł być dojrzeć wypisane już wówczas na szarych murach Marywilu—głoski baltazarowe...

Dnie tego potwornego amalgamatu handlu i nabożeństwa, oraz oświaty i rozpusty, tego dziwnego miasta w mieście, które nawet w zupełnem oderwaniu od reszty Warszawy mogło być wegetować spokojne i wesoło, znajdując u siebie zaspokojenie wszystkich potrzeb ciała i ducha—były już policzone.

W końcu drugiego dziesiątka lat bieżącego wieku Marywil padł pod oskardami mularskimi.

Większą część ruiny zrównano z ziemią i uczy-

niono pustym placem, który miał następnie zyskać ozdobę w pięknym wodo.rysunku i zazielenić się trawnikiem sztucznego skweru; na mniejszej części wzniesiono: od ulicy Senatorskiej gmach teatralny, od Trębackiej „Komorę celną.”

Ta ostatnia już w roku 1841 zespolona została z teatrem i przeznaczona na skład rekwizytów; lata zaś następne przyniosły teatrowi nowe udogodnienia, dzięki którym on pozyskał swój dzisiejszy, imponujący wygląd i pomieszczenie wygodne. Wiadomo, że gmach teatralny wzniesiony został podług planu „filarowej” pamięci Włocha Corazzi'ego, który wypisał na nim swą architektoniczną manierę nieprzeliczoną liczbą kolumn, kreskujących prostopadłemi liniami cały fronton i skrzydła. Patrząc na te długie rzędy walcowatych podpórek (przystrojona jest w nie również cała jedna połać placu Bankowego, oraz ulicy Rymarskiej), możnaby sądzić, że włoski architekt pomysły do swych planów wzorował głównie na swem narodowem—*maccheroni*...

Ale teatr i jego dzieje wychodzą po za ramy niniejszego szkicu — pozostawiamy je więc tymczasem na stronie...

Marywil, który w pierwszej połowie XIX wieku zakończył swe istnienie, rozpoczął je w końcowych latach wieku XVII.

Istniał niecałe dwa stulecia.

Dziwnym trafem miał on być pamiątką czynów wojennych Sobieskiego, tymczasem główny jego rozkwit przypadł na epokę Sasów, którzy hojnie wprawdzie szafowali prochem, ale tylko na... „kampanenta” i fajerwerki. Z rządów „stolnika litewskiego” już Marywil tracił zwolna swój pierwotny charakter i chylił się stopniowo do upadku.

Czem była ta część Warszawy w chwili, gdy Marya Kazimiera umyśliła wzniesić na niej rodzaj własnego bazaru, czy też miasteczka (*Marie-ville*)?

Była — rumowiskiem.

Armia Karola Gustawa ze szczególną zaciętością znęcała się nad stojącymi tu budynkami „Żupy solnej,” i czego nie zdołała zburzyć kulami, strawiła ogniem i rozerwała siekierą.

O ponownem zabudowywaniu tego miejsca przez długi czas nie myślano; przedstawiało ono przez lat kilkadziesiąt rozpaczliwy obraz pustkowie, pełnego gruzów, dołów i zielska, dokąd za dnia wywożono śmiecie z miasta i gdzie nocami wyły psy głodne, oraz szukali schronienia wszelkiego rodzaju nędzarze i nędznicy.

Warszawa, zajęta pracowitem gojeniem ran zadanych przez najazd szwedzki i mająca aż nadto wiele pracy *intra muros*, nie troszczyła się zbytecznie o jakiś tam plac na przedmieściu, który zresztą, stanowiąc część tak zwanego *Wójtostwa*, głównie osobę samego wójta obchodził.

A ów wójt, czyli, wedle urzędowego tytułu, *dominus advocatus*, dostatecznie uposażony i kamienicą przy ulicy Nowomiejskiej („Kamienica wójtowska,” nr. 161), i gruntem oraz dochodami z urzędu płynącymi, również nie śpieszył się z uprzątaniem gruzów i śmieci, co byłoby i kłopotliwe i kosztowne.

Potrzeba więc było dopiero wiekopomnego tryumfu króla Jana, oraz dowcipu i pobożności królowej „Marysienki,” aby pustkowie, oczyszczone i zabudowane, nowem zawrzało życiem.

Kamień węgielny pod budowę Marywilu położony został w dniu 12 września 1696 roku (w rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem). W zastępstwie nieobecnej królowej, uroczystości dopełnił biskup poznański, Stanisław Witwicki. Zamurowano wówczas w fundamenty gmachu relikwie, oraz tablicę ze szczerego srebra, na której była wyrażona intencja małżonki Sobieskiego, wznoszącej ten gmach, najpierw na pamiątkę wiedeńskiej „wiktoryi,” następnie na cześć N. P. Maryi, której wizerunek, na blasze malowany, nigdy piersi Jana III nie opuszczał.



Intencje pobożnej monarchini były idealne; przeznaczenie jednak wznoszonej budowli aż nadto praktyczne. Dwoistość charakteru „Marysieńki” i w tym fakcie jasno się zarysowała. Dla umysłu szczerze i wyłącznie idealnego wystarczyłoby upamiętnić doznana od niebios łaskę albo jakimś pięknym monumentem, albo też przybytkiem, chwale Bożej poświęconym; utylitarna Francuzica, mieszając *sacra profanis*, stworzyła w tym celu handlarskie i suto opłacające się—targowisko.

Bo niczem innym, jak targowiskiem nie był ów, z niemalym kosztem dźwigniony i relikwiami męczenników poświęcony, Marywil.

Pobudki materyalne i potrzeba czysto ekonomiczna, w większym może jeszcze stopniu, niż popędy serdeczne, na powstanie tego gmachu wpłynęły.

„Marysieńka” Ignęła zawsze sercem do Francyi i interesy kraju ojczystego wyżej ponad inne stawiała, wnosząc więc olbrzymi bazar, wyłącznie dla handlu przywozowego przeznaczony, mogła mieć na pierwszym względzie: otworenie zbytu towarom francuskim.

Francuzczyzna — dzięki tej samej „Marysieńce” — była w kraju modna, kupcy więc francuscy, mając już wyłom w obyczajach narodu zrobiony, nie potrzebowali niczego więcej, prócz wygodnego do kupczenia rynku.

A rynek taki był dla nich tem niezbędniejszy, że współzawodniczący z nimi Ormianie zajęli już na swój użytek główne ognisko handlu warszawskiego, mieszczące się w trzydziestu sześciu kramach staromiejskiego ratusza. Wyrugować ich ztamtąd było prawie niepodobieństwem; od wieków już stanowisko w silnych rękach dzierżyli, dzieląc je, w małej zresztą części, ze Szkotami, czyli jak ich starzy warszawianie nazywali „Szotami.”

Wschód i Zachód w równej mierze ciągnęły wówczas do siebie lubiącego się stroić i błyszczeć Po-



laka; powoli jednak Zachód brał górę nad jego upodobaniami, aż wreszcie w zupełności wpływ Wschodu usunął. Bazar marywilski w dziejach tego współzawodnictwa decydującą odegrał rolę.

Świadectwo wspaniałości i przestronności wystawił Marywilowi wspomniany już Erndtel, nazywając go „*aedificium omnium fere totius Varsaviae spatiosissimum et amplissimum.*” Tenże pisarz podaje kilka ciekawych szczegółów o jego pierwotnym wyglądzie i przeznaczeniu (*Varsavia, physice illustrata*, str. 17 i następne).

Dowiadujemy się z tego źródła, że Marywil był budynkiem, wzniesionym w kształcie półksiężyca i posiadał wewnątrz nadzwyczaj obszerny dziedziniec, liczący w obwodzie 840 stóp geometrycznych. Dziedziniec był zakryty od strony wewnętrznej gmachu rodzajem portyku, pod którym można było chodzić dokoła, będąc zabezpieczonym od deszczu i niepogody.

W samym gmachu znajdowało się 32 pojedynczych mieszkań, zajętych prawie wyłącznie przez kupców, którzy tu mieli na parterze sklepy, a w podziemiach składy zasobne. Z tego też względu nazywano Marywil „dworcem albo giełdą kupiecką” (*curiam vel bursam mercatorum*).

Dokładniejszy i nader charakterystyczny opis Marywilu nakreślił nieznany z nazwiska Francuz w broszurze wydanej w dwanaście lat później. Broszura, niewspomniana przez żadnego z dotychczasowych historyografów Warszawy, nosi tytuł: *Varsovie vengée et son apologie avec des réflexions morales et autres.* (*En Pologne, 1742*).

O Marywilu (nazywanym niewiadomo dlaczego przez autora *palais de Marainville*) czytamy tam co następuje:

„Jest to jeden z największych w mieście gmachów i służy za rezydencję kanclerzowi wielkiemu koronnemu, który jest jego właścicielem. Niezależnie

jednak od tego dygnitarza i jego licznego dworu, znajduje w nim pomieszczenie, zwłaszcza podczas sejmów, znaczna liczba oficerów królewskich, nie mówiąc o licznych rodzinach mieszczańskich i innych.

„Wewnątrz tego gmachu, którego różne części jednym zbudowane kształtem, rozciąga się niezmiernie wielki dziedziniec, okolony trzema rzędami galerij wspartych na arkadach i sklepionych w ten sposób, że można obejść je dokoła, mając nad głową nakrycie.

„Pod arkadami znajduje się zdumiewająca ilość sklepów, oraz bardzo wygodnych mieszkań, które zajmują wszelkiego rodzaju kupcy.

„U kupców tych dostać można (co prawda, nieco przepłacając) wszystkiego, co stanowi zarówno przedmiot codziennej potrzeby, jak i wykwintnego zbytku.

„Kto po raz pierwszy wewnątrz tego olbrzymiego gmachu ogląda, nie może oprzeć się złudzeniu, że znajduje się pośrodku małego miasteczka. Co do mnie, wyznaję szczerze, iż złudzeniu temu w wysokim stopniu uległem, omylony zwłaszcza widokiem wspniałej kaplicy, którą wziąć można z łatwością za kościół parafialny.

„Kaplica owa przeznaczona jest wyłącznie dla wygody licznych mieszkańców marywilskiego pałacu i nabożeństwo odprawia się w niej publicznie.

„Znajduje się też w obrębie pałacu liczna i doborowa biblioteka. Magnat, który łożył na kupno ksiąg rzadkich i kosztownych, zamyśla zbiory swoje otworzyć na użytek publiczny, oraz uorganizować przy nich, na wzór wielkich miast Francji i Anglii, stowarzyszenie uczonych.

„Wszystko to, w połączeniu z klasztorem panien Kanoniczek, który w najbliższym czasie ma być tu otworzony, czyni Warszawę miastem godnym podziwu nawet ze strony ludzi, żywiących względem niej fałszywe i nieuzasadnione uprzedzenia.”



Wspomniane przez uprzejmego Francuza Kanoniczki wprowadziły się na mieszkanie do Marywilu w trzy lata później, mianowicie w roku 1745-tym, w którym odbyła się inauguracya pierwszej ich księżni Zofii Gałęckiej, wojewodzianki podolskiej.

Nowe to „kolegium świeckie” powstało z inicjatywy ordynatowej Antoniny z Zachorowskich Zamoyskiej. Odkupiła ona w r. 1744-tym gmachy marywilskie od rodziny Sobieskich i oddała je na własność ufundowanym przez siebie „Kanoniczkom”, które przywilej Augusta III-go (z d. 11-go listopada r. 1744-go, w Grodnie datowany) nazywa: *Canonicae seu Canonissae*.

Oprócz Marywilu, otrzymały te „bezsłubne panny stanu szlacheckiego” od wspaniałomyślnej swej fundatorki dobra i sumy znaczne, które Zamoyska „przed księgami ziemskimi zakroczymskimi powiatu nowomiejskiego zapisała i transfundowała.”

Znaczenie i cel tej „kapituły” powszechnie są znane, wyjaśniać je więc tutaj byłoby rzeczą zbyteczną.

Wprowadzenie się świątobliwych dziewic do hucającego gwarem handlarskim Marywilu, stało się w dziejach tego ciekawego gmachu epoką, nie uświęciło go jednak, jakby to ktoś mógł z pozoru przypuszczać.

Owszem, czasy największego zamętu, jaki w tym jedynym w swoim rodzaju bazarze panował, głównie na tę epokę przypadają; ciągną się zaś ze wzrastającym zepsuciem do końca XVIII-go stulecia.

O różnorodności ścierających się tam żywiołów poucza notatka, zapisana w krótkim „Poglądzie na postać miasta Warszawy” (wydanym bezimiennie w r. 1851):

„W połowie XVIII-go wieku w budowlach Marywilu kupey krajowi i zagraniczni utrzymywali w sklepach liczne składy różnych towarów. Nastę

pnie traktyernie, kawiarnie, bilardy, gry rozmaite i szulernie w tym gmachu pojawiły się.

„Zagraniczni kuglarze i mechanicy tam dowody swej zręczności okazywali; bogaci bankierowie i wekslarze tu również mieli swoje kantory.

„Nareszcie, w obszernych salach pierwszego piętra wyprawiano bale, reduty i wszelkie inne zabawy.”

Jaskrawszy jeszcze obraz panującej tam karnawałowej pstroczyny i karnawałowego szalu znajdujemy w cytowanych przez F. M. Sobieszczańskiego (w „Rysie historyczno-statystycznym m. Warszawy”) szkicach z podróży Inflantezyka F. Schultza, który o Marywilu pisze co następuje:

„Czego tu dostać nie można! i kto się tu nie mieści? Od skromnych i przyzwoitych Kanoniczek do dam wątpliwej obyczajności, byle pozory były zachowane, wszystko tu się godzi. Traktyernie i księgarnie, artyści i rzemieślnicy, tandeciarze i bankierzy, wszyscy razem mieszkają. Bardzo rzadko w całym gmachu, który do małego miasteczka jest podobny, można znaleźć stałe mieszkania niewynajęte, bo te są w całej Warszawie tutaj najtańsze; nawet sklepy w podziemiach zawsze są przez żydów zajęte...”

Praktyczne Kanoniczki starały się ze swej posesyi wycisnąć dochód jak największy. Oprócz sklepów, lokalów restauracyjnych, mieszkań prywatnych i t. p., pozwoliły one jeszcze przedsiębiorcy jakimś urządzić w Marywilu rodzaj domu zajezdnego, czy też tylko *chambres garnies*, które były podobno pierwszą tego rodzaju próbą, na bruku warszawskim wykonaną...

W początkach ten „Dom gościnny”, nie mający żadnego prawie współzawodnictwa, cieszył się wzięciem niemałym; później stracił i wzięcie i opinię. Zapisał to tenże sam Szultz słowami: „Niegdyś zajazd w Marywilu był jedyny w Warszawie, a ztąd





Marywil.

i najlepszy; lecz od czasu, jak powstały dwa inne (hotel Wileński i hotel Polski), stracił wiele i do trzeciego rzędu spaść musiał.”

W pierwszych latach bieżącego stulecia zajazd marywilski wcale już nie istniał; nie zapisuje go przynajmniej Bach w swem „Wymienieniu znakomitszych domów w Warszawie” pomiędzy przytoczonymi dziewięcioma „zajazdami wielkimi” (*Grosse Gasthäuser*).

Nie poprzestając na znacznych dochodach, jakie przynosić musiały gmachy samego Marywilu, świątobliwe, a zarazem i zabiegliwe panienki pomnażały źródła tych dochodów przez wznoszenie na terytoryum marywilskiem coraz nowych kamienic i budynków pomniejszych. Niektóre z tych dobudówek utworzyły nawet nowe numery hipoteczne, czego ślad zachowały nam stare taryfy naszego miasta. W taryfie z roku 1797 („Opis wszystkich pałaców, domów, kościołów i t. d. dla wygody publicznej wydany”) zapisano, oprócz Marywilu właściwego, „kamienicę panien Kanoniczek” pod numerem 474; w taryfie zaś z r. 1807 liczba tych kamienic wzrosła do czterech i oznaczać je musiano—literami (nr. 474 *a*, *b*, *c* i *d*).

Jakkolwiek zgromadzenie dwudziestu bezślubnych szlachecianek, wśród których jedna tylko ksieni ślubem czystości była związana, nie stanowiło właściwego zakonu i nie czyniło służbie Bożej z całego życia ofiary, dziwić się jednak trzeba, że mogło wśród tego jarmarczno-zapustnego harmidru odbywać jakiegokolwiek praktyki religijne. A bardziej jeszcze dziwić się trzeba, że interesy majątkowe stawiając wyżej nad inne, harmider ów dobrowolnie prawie wywoływało...

Skarży się na to pewien *Anonimus* z XVIII w. w ciekawej, choć może zbyt namiętnie zredagowanej „Nocie”, domagającej się od rządu usunięcia panien Kanoniczek z gmachów marywilskich (*Nota Anoni-*





*musa do Najjaśniejszych stanów skonfederowanych Rzeczypospolitej względem fundacyi i sprzeciwiania się onejże panien Kanoniczek warszawskich, dnia 28-go lipca 1789-go roku napisana).*

W „Nocie” tej czytamy między innymi:

„Kanoniczki pierwszego chóru (dzieliło się kolegium na dwa chóry) zajmują wszystkie stancye, a drugi chór pod nogami swemi, gdzie bywały stajnie, z małeńkimi okienkami na dole, ciemne i pełne wilgoci, z utratą zdrowia, równie jak w więzieniu *in fundo* lokują...”

„Jest w fundacyi, aby trzymać kapelanów przy kościele dla spowiedzi i częstokroć nagłej choroby lub śmierci, a żyda żadnego aby nigdy w tych murach nie mieścić. Teraz wszelkiego rodzaju ludzie i żydzi mieszkają, szynki i sklepy utrzymują. Drzwi od ulic powybijane, zamiast bramy jednej jest wchodów kilka, kapelan żaden, ani nabożeństwo regularne; żydostwa mnóstwo, którzy nawet przed oknami panien Kanoniczek i drzwiami kościoła śluby i swoje bałwochwalstwa (!!!) jawnie odprawiają. Jakie ztąd szyderstwo w publiczności! jakie nieuszanowanie woli fundatorki, która napisała w fundacyi, jak dekret konsystorski świadczy: *Bona sua ad Gloriam Dei et Publicum bonum donata!*”

Zkąd w Marywilu wzięli się żydzi?

Przedostali się z sąsiadującego z nim „Pociejowa.”

Pociejów XVII-go wieku, Pociejów właściwy (bo dzisiejsza targowica żydowska przy ulicy Bagno tytuł ten tylko uzurpuje) znajdował się pomiędzy ulicami Senatorską i Nowosenatorską, zamykając tę ostatnią i przypierając murami swymi tuż do prawego boku zabudowań marywilskich.

Szczególnem zaprawdę zrządzeniem historycznej fatalności, nazwisko Pociejów, starej magnackiej rodziny polskiej, związało się tak silnie z wszelkiego rodzaju tandetą, obszarpanymi chałtami i niechluj-

stwem, że dzisiejszy warszawianin wcale już tych dwojga pojęć rozróżnić nie może...

A jednak Pocięjowie nie mieli nawet pośredniego związku z handlem żydowskim, w czasie bowiem, gdy pałac przy ulicy Senatorskiej przerobiono na olbrzymią halę dla żydów, nie byli już jego właścicielami.

Przeróbki tej dokonał w 1785-tym szambelan króla Stanisława Augusta, Adam Uruski, któremu Pocięjowie pałac swój (ongi będący własnością Warszuckich) odprzedali.

Pałac ten, w swym ostatnim kształcie, przedstawiał się jako jednopiętrowy niski, ale nadzwyczaj długi budynek, którego cały front zajmowały niewielkie, gęsto rozmieszczone sklepiki.

Dzieje tego bazaru, wznawiającego pomysł Maryi Kazimiery (która go znów z paryzkiego *Palais Royal* naśladowała), stanowią charakterystyczny rozdział w kronice warszawskich dzieci Izraela.

W stosunku ich do ludności chrześcijańskiej sprawdziło się tu, co Szyller napisał o kobiecie, że jest podobna cieniowi, który ucieka, gdy gonisz, goni zaś ciebie, gdy chcesz uciec...

Nigdy za dawnych czasów Warszawa nie była dla żydów gościnną; największą jednak nietolerancję okazała im za Augusta III-go.

Pamiętny w dziejach naszego miasta Franciszek Bieliński, marszałek wielki koronny, z całą surowością wznowił dawne dekryty, zabraniające żydom przebywania w stolicy, i bez litości karał tych, którzy przepis obejść się starali.

„Był to pan nie mniej surowy jak sprawiedliwy — pisze o nim Kitowicz — i rącho wyprawiał na tamten świat każdego, ktokolwiek dostał się pod jego sąd godzin śmierci.”

Na ospale rozpustnem tle epoki drugiego Sasa wykroiła się ta postać twardymi rysami, jako symbol nieubłaganej służbistości, jako żywe wcielenie para-

grafu prawa obowiązującego. Miał on coś w sobie z dzisiejszych pruskich urzędników, dla których *lex* i *justitia* są pojęciami nierozdzielniemi; i jakkolwiek w sprawie porządków miejskich dużo dobrego dla Warszawy uczynił, nietolerancją swą, fanatyzmem i osłanianiem literą prawa okrucieństwa, zaćmił rzeczywiste umysłu swego przymioty.

Za marszałkowstwa Bielińskiego żydom wolno było jawić się w mieście tylko w charakterze osoby przyjezdnej, o prowadzeniu zaś tu jawnego, a choćby nawet maskowanego handlu marzyć on nawet nie mógł. Wyjątek stanowiła jedynie pora odbywających się w Warszawie sejmów. Na dwa tygodnie przed otwarciem każdego sejmku, woźny marszałkowski ogłaszał trąbą (zastępującą odgłos dzwonu, którym lud zwoływano w wieku XVI i XVII) swobodne prowadzenie handlu i rzemiosł wyznawcom starożytnego zakonu; w dwa tygodnie zaś po sejmie — koniec tej swobody.

Zważywszy, że handel jest tem dla żyda, czem woda dla ryby i że z tego tylko źródła zdobywa on chleb dla siebie i dla rodziny swojej, łatwo pojąć, jak ciężkimi były dla ludności żydowskiej podobne ścieśnienia.

A nie ustaly one i po śmierci Bielińskiego, bo następca jego, Lubomirski, obciążył żydów nowym podatkiem, zwanym „biletowe”, a polegającym na tem, iż żydowi nie wolno było pokazywać się na mieście bez biletu, który kosztował pół złotego, służył zaś tylko na dni pięć. Podobno nowy marszałek zyskiwał rocznie z tego źródła przeszło 200,000 ówczesnych złotych...

Wówczas to żydzi, pod egidą kilku możnych i wolnomyślnych panów, zaczęli otwierać duże targowiska po za okopami miejskimi, publiczność zaś, kierująca się w takich razach jedynie zmysłem ekonomicznym, tłumnie do nich ciągnęła. Obudziło to szalony gniew i zawisć w konkurentach i przywiodło do

zbójceckich napaści na mienie żydowskie, których ofiarą padła między innymi osada handlowa „Nowa Jerozolima”, leżąca na miejscu dzisiejszych alei Jerozolimskich.

Po tym wybuchu nastąpiła, jak zwykle, reakcja. Zaczęto nad żydami litować się, ulgi im dawać... Ale nie trwało to długo. W r. 1784-tym pojawiło się znów rozporządzenie marszałkowskie, nakazujące, aby żadna żydowska dusza nie śmiała pokazywać się w obrębie miasta i podmiejskich okolic, jeżeli nie chce być wysłaną na łono Abrahama. Jednocześnie zapomniano wskazać owym duszom, gdzie schronić się mogą przed pałką marszałkowską, wskutku czego powątpiewały nawet: czy wogóle istnienie na tej ziemi dozwolone im zostało?...

W owej to rozpaczliwej chwili, żydzi, przekonawszy się, że serca warszawian ostatecznie odwróciły się od nich, dali stanowcze pożegnanie grodowi książąt mazowieckich i wyruszyli całą masą do... Raszyńska. Udzielił im tam przytułku bankier warszawski Tepper, dziedzic tej miejscowości.

Ale cóż się wówczas stało?

Warszawa, która rzucających się w jej objęcia żydów systematycznie odpychała, teraz, spostrzegłszy ich uciekających od siebie, serdecznie za nimi zatęskniła...

„Kobieta jest jak cień”—a nasze miasto... kobietę ma w herbie!

Jakiegokolwiek były powody tej tęsknoty, faktem jest, że w prędkim czasie wyjednano dla żydów ustępstwa i pozwolono im zamieszkać w kilku, przez władzę wskazanych, punktach Warszawy.

Najwydatniejsze miejsce w rządzie tych ostatnich zajmował właśnie—Pociejów.

Osobiste wpływy i... wyrachowania szambelana królewskiego nie mało też zapewne na szali zawążyły.

Handel żydowski założył w owym magnackim

niegdyś pałacu Warszyckich i Pociejów pierwsze fundamenty trwałej świetności, która do dzisiejszego dnia dotrwała.

Publiczność, znęcona taniością cen, doborem towarów i pokorą sprzedających, rzuciła się tłumem wielkim do skromnych z pozoru, a wewnątrz znaczne bogactwa kryjących kramików pociejowskich, powtarzając w zaufaniu (co i dziś niekiedy słyszeć się daje), że „bądź co bądź, niema to jak u naszych kochanych żydków.”

Jednocześnie świetne sklepy i magazyny w Marywilu—opustoszały.

Było to objawem zupełnie naturalnym, gdyż nikt nie chciał płacić po dwa dukaty za to, co o kilkadziesiąt kroków dalej mógł być dostać za dukata. Ekonomia wzięła górę nad przesadami religijnymi i społecznymi i zapewniła stanowczy tryumf pociejowskim przybłędom nad marywilskimi potentatami.

I doszło do tego, że ci ostatni spostrzegłszy, iż walka konkurencyjna z najbliższymi sąsiadami staje się nie tylko bardzo trudną, ale nawet zgoła niemożliwą—zatrąbili do odwrotu...

Polskie i francuskie nazwiska zaczęły kolejno znikać z szyldów marywilskiego bazaru, a ich miejsce zastępowały godła żydowskie, żydzi bowiem głównie wówczas posługiwali się w handlu godłami, czego zażytkiem są dziś jeszcze firmy wielu kramów w „Gościennym dworze.”

I takim sposobem, ku zgorszeniu cytowanego wyżej *Anonimusa*, armia żydowska zdobyła świątobliwość—w intencji pani ordynatowej—Marywil; nie kontentując się zaś tą jedynie pozycją, rozlała się następnie po całej ulicy Senatorskiej.

Rzeka tem gwałtowniejszy ma pęd, im w ciśniejsze ujęta jest tamy...

W sześć lat po inauguracyi Pociejowa, raz jeszcze przejawiała się w sposób brutalny konkurencyjna zawiść. W dniach: 19-tym kwietnia i 10-tym maja r.



1791-go, podburzony religijnymi rzekomo hasłami tłumu pospólstwa rzucił się na sklepy i mieszkania żydowskie w Pocięjowie i Marywilu i krwawymi bójkami, oraz grabieżą te smutne daty upamiętnił.

Większe bezpieczeństwo i rozleglejsze przywileje pozyskali żydzi dopiero od rządów Księstwa Warszawskiego, w ostatnich latach zeszłego i początku bieżącego stulecia.

Nie opuścili wielkiej posesyi Uruskiego aż do chwili rozebrania jej i zniknięcia z powierzchni Warszawy; w Marywilu zaś dotrwali na swem stanowisku do roku 1809 go, w którym przeniesiono ich w stronę ulic Marszałkowskiej i Królewskiej.

Szlacheckie nazwisko Pocięjów, przyłgnąwszy do chałatowych kupców na dawnem siedlisku, poszło za nimi i na nowe...

Zanotujmy jeszcze jeden szczegół, dotyczący sklepów w Marywilu.

Jak już wspomnieliśmy, żydzi umieszczali nad nimi godła; prócz tego każdy sklep opatrzony był bieżącym numerem i sam ten numer miejsce szyldu częstokroć zastępował.

Przekonywa nas o tem następujące ogłoszenie, wydrukowane w numerze 37-ym „Kuryera Polskiego” z r. 1730.

„NB. Jest tu w Mariewilu sklep pewny *sub Num. XI* otwarty, w którym różne Księgi w Łacińskim, Niemieckim, Francuskim y Włoskim językach mają do przedania. Katalog onych do czytania *pro libitu traditur*. Jest także cyrkumskrypeja obszerna Monarchji Tureckiej przez pewnego Szlachcica Polskiego wydana, 20 y kilku Kupersztychami przyzdobiona, której y na Poczcie Koronnej dostanie.”

Nie wiemy, czyja to była księgarnia; z innych tylko źródeł wiadomo nam, iż około r. 1750 posiadał w Marywilu sklep księgarski Krzysztof Bogumił Nikolaji, w r. 1778 otworzył tam drukarnię razem z księgarnią Michał Gröll (w r. 1806 przeniesiona na Krzy-



we koło, nr. 52, pod firmą Ragoczy), a wreszcie około tegoż samego czasu mieściła się tamże księgarnia Fryderyka Pfaffa.

Tyle o marywilskich kupcach.

Oprócz sług Merkurego i pobierających od nich myto kapłanek Westy, mieścili się też w Marywilu czasy różnymi synowie Marsa.

Wzmiankę o tem podała nam już broszura francuska wyżej cytowana (*Varsovie vengée*); oprócz tego „Kuryer Polski” z r. 1733 przynosi nam wiadomość, że w gmachach marywilskich stali przez czas pewien kwaterą—Grandmuszkietierowie.

Niewielu zapewne pomiędzy czytelnikami moimi znajdzie się takich, którymby ten rodzaj broni był znajomy...

Grandmuszkietierowie, jak sen błyskotliwy, pojawili się w końcu panowania Augusta II-go, i jak sen znikli z powierzchni ziemi, ze śmiercią tegoż monarchy.

Istnienie ich obliczyć się da na miesiące. Uorganizowani w początkach r. 1730, przetrwali zaledwie do wyżej wymienionej daty. Byli kaprysem przeżytego i dziwaczającego władcy — kaprysem kosztownym, który dalej prowadzić następcę jego ani mógł, ani pragnął...

Pamięć ich ani w dziejach, ani nawet w kronice potocznej nie utrwaliła się niczem wydatnem, i jedyną, jak dotąd, monografią, a raczej krótkim tylko szkicem, zaznaczył ich istnienie pracowity szperacz Bartoszewicz („Szkice z czasów saskich” str. 47—57).

Fantazyja zblazowanego króla polegała na tem, aby utworzyć rodzaj przybocznej gwardyi (niezależnie od istniejących już *Chevaliers de garde*) z młodzieży polskiej szlacheckiego pochodzenia i... olbrzymiego wzrostu. Było w tem niewątpliwie trochę naśladownictwa Ludwika XIV-go i jego słynnych muszkietierów—ale opasły i zmysłowy Sas, wzięwszy nawet gotową, piękną formę, musiał ją po swojemu wykrzywić i ze-

psuć. Romansowi wojacy francuskiego króla to piękny wybryk ducha, rozkochanego w formach niezwykłych a estetycznych; dragale zaś naszego Augusta, to... niesmaczne i niedorzeczne dziwactwo.

Cokolwiekby, pułk wielkoludów został w przednim czasie uformowany, król zaś nie szczędził pieniędzy, aby go jaknajbogaciej przystroić.

Nosili oni „superwesty” (wierzchnie kaftany) su-to haftowane, mieli czapki z aksamitu błękitnego, które były dokoła srebrnym galonem obszyte i miały na przodzie wyhaftowanego orła polskiego. W muzyce, trąby i kotły były ze szczerego srebra, sztandary zaś z niebieskiego aksamitu srebrem haftowane. Zwyczajne ich chorągwie „kitajczane” (t. j. z materji nazwanej kitajką) miały również barwę niebieską, brzeg ich tylko był karmazynowy i również haftem pokryty.

„Czapka każda (pisze „Kuryer Polski”) przychodzi na 40 talerów; Ich Mć zaś Officerowie starsi mają po trzy pary sukien munderownych, aby je odmieńnić mogli, które na 400 talerów kosztują.”

Równie piękne i kosztowne były pod tymi rycerzami (!) konie, na których uprząż złotem i srebrem błyszcząca.

Otóż tacy to galanci kwaterowali przez parę miesięcy w Marywilu, dorzucając jeszcze jeden krzykliwy ton do panującej tam towarzyskiej i kostyumowej pstrocinny.

Towarzysząc we wszystkich podróżach królowi, przybyli z nim w lutym 1733 r. do Warszawy—była to zaś, jak wiadomo, ostatnia podróż Augusta. Trudno zgadnąć dlaczego tym razem ów strojny oddział olbrzymów zmienił na bruku warszawskim miejsce zwykłego pobytu, posiadał już bowiem wynajęty dla siebie na koszary pałac Mokronowskiego na Nowem Mieście, w pobliżu kościoła Panny Maryi. Co prawda, zmalał on znacznie w owym czasie (liczył zaledwie 80 ludzi), a dla takiej garstki koszary były już rzeczą zbyteczną.

Fakt, że ci, po większej części zamożni i w Dreźnie do wykwintnego życia nawykli junacy, wybrali na mieszkanie Marywil, dowodzi, iż miejscowość ta była nie tylko bardzo obszerna, lecz posiadała także wszystkie potrzebne wygody, nie wyjmując dużych stajen, niezbędnych dla kawalerzystów.

Po śmierci króla, Grandmuszkietierowie odbywali straż przy jego zwłokach. Ale straciwszy w Auguście swego organizatora i protektora, znaleźli się w położeniu dwuznacznem, z wątpliwą racją istnienia. Marszałek Bieliński zażądał od nich przysięgi na wierność Rzeczypospolitej, większość jednak żądania tego spełnić nie chciała. Większość ową natychmiast rozpuszczono (przyczem każdy otrzymał cały ekwipaż muszkieterski z koniem i bronią, oraz pensyę miesięczną), na kwatery zaś do Marywilu powróciło tylko trzydziestu, którzy Rzeczypospolitej przysięgli. Ta reszta pojechała następnie za Stanisławem Leszczyńskim do Gdańska, i tam ostatecznie ślad ich zaginął.

Tyle jest słów grandmuszkieterskiej legendy.

Powróćmy do pańien Kanoniczek.

Kościółek ich, przerobiony z kaplicy pod wezwaniem N. P. Maryi, nosił charakter przeważnie szlachecki i arystokratyczny. Gołębiowski w „Opisaniu Warszawy,” twierdzi, że w porze sejmów, a zatem podczas największego napływu magnatów do stolicy, w kościełku tym odbywało się codzienne uroczyste nabożeństwo.

Jakkolwiek jednak pobożne panienki dobrze rządziły się pod względem gospodarskim i religijnym, wąż niezgody wcisnął się pomiędzy nie i na czas pewien spokój ich zakłócił.

Dowiadujemy się o tem ze wspomnianej już „Noty Anonimusa,” który jednak nazbyt wiele gniewnego animuszu w oskarżeniach swych ujawnia, aby można było uwierzyć całkowicie w szczerłość i bezstronność jego wywodów.

Ustawa dzieliła Kanoniczki na dwa chóry: pierw-

szy liczący 12, drugi 8 uczestniczek; chóry zaś różniły się pomiędzy sobą tem, że do pierwszego należeć mogły jedynie szlachcianki z ośmiu herbów genealogię mające, do drugiego zaś takie, które choćby to metryką udowodnić mogły, iż rodzice ich są stanu szlacheckiego.

Jakkolwiek fundacya równouprawniała oba chóry i przykazywała im żyć *in communi*, to jednak, przy ultra-szlacheckim charakterze całego zgromadzenia, klasyfikacya owa musiała dzielić świątobliwe panienki nietylko nominalnie...

To właśnie poniewieranie chóru drugiego przez chór pierwszy głównie oburza i do skarg namiętnych zniewala Anonimusa.

„Nie każą im one (to jest pannom drugiego chóru panny chóru pierwszego) w sali gościnnej bywać, ani razem z sobą, jak fundacya mieć chce, pacierzy odprawiać; owszem, każą im sobie usługiwać, do stołu służyć, talerze sobie podawać i odmieniać, a dopiero po swoim obiedzie i kolacyi, jeść ze swojemi razem pokojówkami u jednego stołu...”

Oto próbka ostrych zarzutów, stawianych przez bezimiennego oskarżyciela. Przytacza on ich bardzo wiele, a gdyby choć połowa prawdy mieściła się w jego słowach, należałoby owe panienki z ośmiu herbów wywodzące się o prawdziwie magnacką butę posądzić. Czytamy naprzykład w innym ustępie „Noty:”

„Jest w fundacyi, aby karety dwie dla potrzeby i wygody kolegium trzymano. Ale temi karetami same tylko z pierwszego chóru jeżdżą, nie pozwalając ich nigdy drugiego chóru Kanoniczkom ani słabym, ani w deszcz lub błoto do kościoła na nabożeństwo, ani ich z sobą brać chcą. Owszem, wołą z sobą swoje pokojówki wozic, niż siostry...”

W konkluzyi tych wszystkich wywodów żąda Anonimus, aby kolegium z gmachów Marywilu zostało usunięte, wartość posesyi tej Kanoniczkom spleacona, pozyskane zaś na własność państwa mury obrócone

„na Akademię nauk mennicznych, mechanicznych i innych krajowi użytecznych.”

Rozumie się, że Kanoniczki nie mogły tak gwałtownej zaczepki pozostawić bez odpowiedzi; jakoż zgromiły przeciwnika swego repliką, która ukazała się pod tytułem: „Wypis z ustaw oryginalnych Jeymość Panien Kanoniczek, na okazanie niesłuszności zarzutów, które Anonimus i inne pióra nieprzyjazne im czynią.”

Słuszność musiała być tym razem po stronie „panienek,” gdyż pozostały one na swem stanowisku jeszcze przez lat kilkanaście.

Opuściły Marywil dopiero w r. 1819, zajmwszy na swój użytek przerobiony starannie kościół św. Andrzeja razem z przylegającą doń kamienicą.

Gmachy marywilskie przeszły teraz w nowy okres, poprzedzający już bezpośrednio zupełny ich upadek.

Nabyte przez miasto i odpowiednio przerobione, odzyskały raz jeszcze swój pierwotny i najwydatniejszy charakter, przeznaczono je bowiem na targowisko jarmarczne. Dwa olbrzymie jarmarki, ogniskujące cały handel miejscowy i przywozowy, odbywały się w nich każdego roku—ze słabnącem jednak stopniowo powodzeniem.

Tymczasem mury, acz niezbyt jeszcze stare, zaczęły rysować się i pękać; klecone naprędce przybudówki rozsypywały się w gruz i nad wspaniałą niedawno budowlą zawisła groźba ruiny...

A była to epoka, w której za hasłem, przez rząd Księstwa Warszawskiego wydanem, rozrzucano pośpiesznie stare mury, w których duch stary przemieszkował...

Nie było już śladu z bram: „Nowomiejskiej” i „Pobocznej;” rozwalono też niedawno i „Krakowską” razem z kilkoma przypierającemi do niej kamienicami.

Odwieczny ratusz, rozsiadły poważnie na środku rynku staromiejskiego, rozebrany był do szczętu, a ogni-



sko władzy magistrackiej mieściło się w dawnym pałacu Jabłonowskich i Pruszków.

Nie było też już ratusza na Nowem Mieście; ratusz zaś na Grzybowie ostatnich swych lat dożywał. (Rozrzuciono go w r. 1830).

Wówczas to przysłała kolej i na dzieło królowej „Marysieńki.”

Około roku 1835 Marywil ustąpił miejsca gmachom teatralnym, a nazwisko jego, będące już formą bez treści, długo jeszcze żyło w ustach ludu warszawskiego, który ma lepszą pamięć, niż jego wykształceni bracia...

## II.

### O szpitalu Dzieciątka Jezus i jego założycielu.

#### 1. *Co było przed księdzem Baudouin'em?*

Stosunki, które poprzedziły wystąpienie u nas księdza Baudouin'a, nie przedstawiają się pomyślnie. W aktach sądowych i pamiętnikach doczytać się o tem można rzeczy ciekawych a smutnych.

Na zdrowym z natury organizmie Warszawy zaszczepili zepsucie cudzoziemcy. Najpierw sprowadzeni przez Bonę Włosi, potem towarzyszący dwom koronowanym „Maryom” Francuzi, wreszcie najazd saski, przez całe dziesiątki lat nad krajem ciężący, wyzuwali kolejno nadwiślańskiego Mazura z jego rodzimej treści, która była prosta, szczera i uczciwa.

Na długi czas przed wystąpieniem świątobliwego misjonarza zdarzały się w Warszawie porzucania dzieci i dzieciobójstwa. Prawo karało te przestępstwa surowo, bo paleniem na stosie, topieniem i ścinaniem, nie mogło jednak złego wykorzenić.

Ksiądz Nieszporkowicz pisze w swych „Odrobinach” o młynarównie pewnej, która, służąc w Warszawie w roku 1615, dziecię swe, nieżywo urodzone, oknem wyrzuciła. Skazana za to na ścięcie, a potem na utopienie, cudowi jedynie zawdzięczyła ocalenie życia.

Jedne czyniły źle z rozpusty i dla uchylenia się od kary; inne zniewalała do zbrodni nędza. W zapiskach magistrackich z roku 1710 znajduję wzmiankę o „ubogiej Białęgłowie, co z ubóstwa dziecię w rowie porzuciła.” (Ta nie była karana).

W księdze brackiej „Szpitala gnojowników” (św. Łazarza) zapisano pod rokiem 1591, że w Warszawie „wiele ludzi po ulicach y w gnoiu chorych y drugich dzieci małych, zdrowych, nagich, na zimnie umierało.”

Już za Zygmunta III-go złe doszło do takich rozmiarów, że wywołało potrzebę interwencyi—nie sądowej, karzącej, ale takiej, która niosła ratunek, bez dochodzenia, kto winien.

Traf zrządził, że gdy obcy przynieśli chorobę, u obcych też znalazło się i lekarstwo na nią. Przedstawiciele zagranicznych mocarstw, bawiący przy dworze królewskim, przerażeni widokiem moralnej i materialnej nędzy naszego miasta, postanowili w jakikolwiek sposób jej zaradzić. Wynikiem postanowienia było założenie „Szpitala dla ubogich pielgrzymów (rozciągano to pojęcie do ludzi bezdomnych wogóle), podzruczonych dzieci i innych sierot.”

Ta pierwsza instytucya, biorąca w opiekę podzrutek, powstała w ostatnich latach panowania pierwszego Wazy (pomiędzy r. 1623 a 1629). Otwarto ją pod wezwaniem św. Benona, patrona od morowego powietrza. Warszawa, dotykana w owym czasie licznymi epidemiami, miała do tego świętego osobliwe nabożeństwo.

Widzimy ztąd, że wielkie dzieło księdza Baudouin'a nie było całkowicie oryginalnem. Nie dla

obniżenia zasług zacnego Francuza, ale dla ścisłości kronikarskiej należy fakt ten uwzględnić. A dotąd tego nie czyniono. Nikt prawie dotąd z nazwiskiem Piotra Baudouin'a, misjonarza, nie łączył nazwiska Jerzego Lajera, Jezuity, choć ostatni o całe stulecie uprzedził pierwszego.

Co prawda, ojciec Lajer prostował tylko ścieżki przed tym, który w sto lat później miał przejść po nich krokiem tryumfalnym. Ów pierwszy zakład publiczny dla kształcenia i wyżywiania „dzieci niepełnego ojca” (*orphans incerto patre natis*), nie cieszył się długim żywotem. Ogień—najzawziętszy i najstałszy wróg dawnej Warszawy—obrócił go w perzynę.

Piękną pamiątką tej instytucji jest przytoczony w dziele Wejnerta przywilej Władysława IV-go, potwierdzający dzieło ojcowskie i wzbogacający je nowymi dodatkami. Artykuł 5-ty tego przywileju brzmi:

„Wychowawcy z nieznanym rodziców lub niepełnego łoża, już tem samem, że w domu tym wykształcili się i wyuczyli, uważani będą za prawych i od nas ogłaszani za zdolnych do wszelkich rzemiosł i urzędów miejskich, gminowi w tej Rzeczypospolitej dozwolanych.”

Na półtrzecia wieku uprzedziło to dyalektyczne wojny i literackie zwycięstwa Dumasa młodszego...

## II. Kto był Piotr Gabriel Baudouin i od czego dzieło swe rozpoczął?

Duchowy rodowód księdza Baudouin'a można zamknąć w tych słowach:

„Święty Wincenty a Paulo był mu ojcem, mistrzem i przykładem. Syn, uczeń i następca, kochał go, czcił i naśladował.”

Dzieło zasłużonego twórcy szpitala Dzieciątka Jezus jest dziełem św. Wincentego, przeniesionem na inny grunt, w inne czasy i pomiędzy inne warunki. Oba dzieła narodziły się z wielkiej miłości bliźniego

i z równie wielkiej czułości na jego niedolę. Zakon misyonarski, którego św. Wincenty był założycielem, a Baudouin jednym z luminarzy, te cnoty na pierwszym miejscu u siebie postawił.

Wyjazd Baudouina do Polski był rodzajem „misyi.” Mimo blasku politycznego, jaki wówczas jeszcze otaczał Rzeczpospolitą, miała ona w swym ustroju wewnętrznym pewne znamiona, o których w kilkadziesiąt lat później powiedział Schulz, Inflantezyk: „już nie azyatyckie, ale jeszcze nie europejskie.” Nad Sekwaną o tem wiedziano.

Baudouin był członkiem rodziny zamożnej i dostojnej, młodzieńcem usposobienia żywego, łaknącym walki i czynu. Takie natury ogniste, wybuchliwe, są skłonne w równym stopniu do życia burzliwego i do ascezy.

Rodzinnem miejscem przyszłego kapłana było Avernes, we Francyi. Zaledwie doszedł do lat młodzieńczych, roić zaczął o skierowaniu życia do celów niezwykłych, wielkich—jaką wszakże dać im formę, nie wiedział. Ciągnęła go przez pewien czas głucha cela Kartuzza, od tych jednak marzeń przerzucił się skokiem gwałtownym do bieguna wręcz przeciwnego i został—żołnierzem.

Jako młodzieniaszek, niespełna lat dwadzieścia liczący, pobrzękał przez pewien czas szablą i nosił błyskotliwy uniform przybocznej straży królewskiej. Przy poparciu możnej rodziny obiecywało mu to świetną przyszłość — jedna wszakże rekolekcyja, odbyta w misyonarskim kościele św. Łazarza, tę bańkę mydlaną zdmuchnęła...

Licząc lat dwadzieścia jeden, to jest osiągnąwszy prawną pełnoletność, zrzucił wyszywany złotem mundur i wstąpił do Misyonarzy. Stało się to w roku 1710. W trzy lata później, otrzymał święcenia kapłańskie, a w lecie 1717 r. widzimy go już—w Warszawie.

W owym czasie miasto nasze posiadało kilka za-

konów żeńskich, sprowadzonych z Francji i zapełnionych w znacznej części Francuzkami. Były one pamiątką po dwóch królowych francuskich. Dwudziesto-ośmioletni ksiądz Baudouin został spowiednikiem wszystkich panien zakonnych pochodzenia francuskiego — przeważnie Wizytek i Sióstr Miłosierdzia, zwanych „Szarytkami.”

Ale to kierownictwo sumień nie mogło zabrać człowiekowi ruchliwemu i energicznemu wszystkiego czasu, na pracę przeznaczanego. Zbywającej reszty użył na dwa cele: na wykłady w seminarjum św. Krzyża i na uczenie się języka polskiego.

W przerwach pomiędzy zajęciami, młody kapłan rozglądał się pilnie dokoła i badał ludzi, oraz ich stosunki.

W tym czasie zaszedł wypadek, który—jak głosi tradycja—wpłynął decydująco na dalsze jego życie i działalność. Przechodząc jedną z pustych, płotami obrzeżonych uliczek, których ówczesnej, rozległemi przedmieściami otoczonej, Warszawie nie brakło, ujrzał psa, rozszarpującego w kącie jakąś krwawą, niekształtną masę. Gdy się zbliżył, pies uciekł, unosząc w pysku coś, w czem przerażony kapłan rozpoznał—główkę martwego dziecięcia.

Rzeczy takie za Sasów nie należały do osobliwości. Miasto i kraj cały były wówczas miastem i krajem kontrastów. Znękanie wojną domową i przechodami wojsk obcych, piły jednak i romansowały na zabój. Za zbytkami i rozpustą panów idzie zwykle nędza i upadek moralny ludu, nie więc dziwnego, że Warszawa roiła się żebrakami i złodziejami, a po zaułkach porzucone niemowlęta marły z głodu, lub stały się pastwą zwierząt.

Okropny widok wrzucił do głębi wrażliwego kapłana. Ujrzał on jedną z Łazarzowych ran społeczeństwa, które ukochał i które przywykł uważać za swoje. W tkliwym jego sercu zbudziło się współ-



czucie; przywykły do rozwagi umysł, jał szukać leku na zło.

„Z natchnienia Boskiego” — pisze jego towarzysz i pomocnik — postanowił wówczas i mizerne te matki i dziatki ich niewinne a nieszczęśliwe ratować”.

Zgromadzenie Misyjonarskie poparło zaczął myśl Baudouin'a, ale poparło tylko moralnie. Jeżeli z funduszów kościelnych udzielono mu jakiego zasiłku, to był on z pewnością nieznaczny. Pozostawała ciężka droga kwestowania, czyli publicznej żebraniny.

Baudouin, mający wciąż przed oczyma przykład św. Wincentego, nie cofnął się przed wyciąganiem ręki do możliwych tego świata. Zbierał dla siebie gorzycę, poniewierkę i rozczarowania, i jak pszczoła, prze-rabiał to wszystko na słodki miód dla nieszczęśliwych.

Przez czas pewien umieszczał opuszczone dzieci to tu, to owdzie, oddając je na wychowanie ludziom obcym, albo improwizując dla nich tymczasowe schronisko w zabudowaniach misyjonarskich. Po kilku latach znoonej pracy, posiadał już środki na kupienie własnego domu. Nabył go wreszcie w r. 1732 i zaraz w nim szpital (właściwie: ochronę) dla dzieci opuszczonych urządził.

Zakład ten, będący zaczątkiem późniejszego szpitala Dzieciątka Jezus, znajdował się na Przedmieściu Krakowskiem, w sąsiedztwie kościoła Św. Krzyża i Dominikanów Obserwantów. Grunta, na których się wznosił, nazywały się „Kabatek” i należały do jurydyki królewskiej, zwanej „Oboźnią”. Kamienica, kupiona przez Baudouin'a, byłn poprzednio własnością Olborskich.

Niema już dziś tej budowli. Zachował się tylko wzniesiony na jej miejscu gmach, znany powszechnie pod nazwą „pałacu Karasia”.

Jakże cieszyć się musiał ten dobry człowiek, gdy już mógł wychowaućów swoich, po całym mieście rozproszonych, pod jeden dach zgromadzić! Zapewnił

im opiekę, wygodę i wszystko, co do fizycznego i moralnego ukształcenia było potrzebne. Dozór miały nad nimi Siostry Miłosierdzia. Samych niemowląt było około dwustu. Szukano dla nich mamek w mieście i po wsiach okolicznych, a zdarzyć się mogło, że biedna matka wykarmiła tam dziecię własne, nie o tem nie wiedząc...

Baudouin cieszył się, ale nie spoczywał. Schronisko na Krakowskim-Przedmieściu nie wydawało mu się dziełem skończonem, raczej dopiero — wstępem do dzieła...

### *III. Dalsze koleje i rozkwit dobroczynnej idei.*

„Ojciec mój i matka opuścili mnie, a Bóg przyjął mnie do siebie”.

Te słowa Psalmisty wypisane były ongi na czele szpitala Dzieciątka Jezus. Szkoda, że je przy późniejszej przeróbce usunięto, mieści się w nich bowiem myśl piękna i krzepiąca.

Pierwotny gmach szpitalny nie był podobny do tego, który dziś oglądamy. Rozmiary jego były mniejsze, a liczne wieżyczki dawały mu pozór zamku obronnego. Podobiznę tego gmachu widzieć można na portrecie Baudouin'a, znajdującym się w szpitalu.

A nietylko zewnątrz szpitala była wojenna: posiadał on nadto swe własne wojsko. Był niem rodzaj milicyi szpitalnej, przywilejem królewskim dozwolonej. Ta milicya zaciągała wartę w bramach, odbywała straż nocą, słowem zachowywała się zupełnie po wojskowemu. Miała nawet swoje mundury — granatowe z żółtem. Epoka saska kochała się w mundurach...

Podobno poetą, który wymyślił dla szpitala piękne miano „Dzieciątka Jezus”, był — lud warszawski. Miewał on zawsze pod tym względem szczęśliwe natchnienia. Większość dawnych ulic warszawskich przez

lud jest ochrzczona. *Vox populi* klócił się często z nazwą urzędową i prawie zawsze brał nad nią górę.

Z ust ludu symboliczne „Dzieciątko Jezus” przeszło do akt, i urzędowy tytuł instytucji począł brzmieć: *Hospitale infantium expositorum sub titulo Infantis Jesu*.

Jak wszakże do wybudowania szpitala tego przyszło?

Około roku 1747-go szpitalik księdza Baudouin'a na Przedmieściu Krakowskiem otrzymał kilka większych zapisów. W sercu energicznego kapłana zbudziło to nadzieję spełnienia marzonych planów. Wprawdzie to, co posiadał, było niczem w porównaniu z tem, czego potrzebował—miał już jednak o co „ręce założyć”.

Ale marzenia zacnego Misyonarza sięgały daleko. Pragnął on wybudować w miejscu otwartem, zdala od zabudowań miejskich, gmach olbrzymi, któryby starczył na potrzeby już nie tylko miasta, ale kraju całego. Potrzeba było na to sum kolosalnych, których dostarczyć miała—dobroczynność publiczna.

Przy ówczesnym, maskaradowo-tanecznym nastroju społeczeństwa, myśl Baudouin'a była prawie utopią. Ale ten wielki filantrop, jak wszyscy niemal wielcy ludzie, należał potrosze do fatalistów i—„mierzył siłę na zamiary”.

Nie szkic pobieżny, ale całą książkę zapełniłby można opisem jego kilkonastoletnich trudów, walk i zabiegów. Oddany niepodzielnie jednej idei, poświęcał jej wszystek czas swój, wszystkie siły umysłu i serca. Na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, od wyrobnika aż do króla, stawał kolejno z wyciągniętą ręką i skarboną.

W jednym miejscu przyjmowano go z błogosławieństwem, w innym z niechęcią maskowaną, w innym jeszcze z otwartem grubiaństwem. Legenda mówi o policzku...

Wiedząc, że dzieło miłosierdzia najskuteczniej

pełni się przez kobiety, Baudouin zjednał sobie poparcie kilku wpływowych magnatek. Jedną z nich, hrabina Kollowrath, najwyższa ochmistrzyui dworu, urządziła na dochód szpitala loteryę fantową. Loterya była zabawą towarzyską, odbywała się zimą, na pokojach królewskich, w zamkniętem kółku arystokracji (bilet kosztował 3 dukaty), i przyniosła zasiłek stosunkowo nieznaczny.

Łamiąc głowę nad tem, w jaki sposób z grosza zrobić dwa, albo i trzy, idealny marzyciel uczynił się przedsiębiorcą, finansistą — niemal spekulantem. Kupował i odprzedawał grunta, domy, towary, chwycił się najrozmaitszych środków, przy których pomocy „robią się pieniądze”.

Próbe z loteryą raz jeszcze powtórzył, ale na skalę większą i w formie odmiennej. Sojusznika pozyskał w ks. Stanisławie Konarskim, który właśnie czynił zabiegi o konwikt Pijarski. Połączonemi staraniami wyjednali obydwaj u Augusta III przywilej na urządzenie loteryi, z której zysk miał iść w połowie na konwikt, w połowie na szpital podrzutek.

Loterya owa, pierwsza u nas w tym rodzaju, posiadała niejaki podobieństwo do loteryi klasycznej. Stosunek jednak biletów do wygranych był tu inny, bo inaczej zysk z loteryi byłby albo bardzo mały, albo żaden.

Dokładną wiadomość o tem przedsięwzięciu finansowo-filantropijnem powziąć można z broszury owoczesnej p. t.: „Przywilej, Informacya i Planta o Loteryi erygowanej na Dokończenie Szkoły Kawalerskiej y Szpitala Generalnego na ubogie Dzieci, w Warszawie”.

Baudouin, choć nie miał jeszcze w kasie ani połowy potrzebnego kapitału, zabrał się w imię Boże do dzieła.

Plac pod budowę szpitala nabył od zgromadzenia Misyonarskiego. Był to szmat ziemi, zwany „włóką

Świętokazimierską". Sytuację placu określa kontrakt w tych słowach:

„Wzdłuż tak, jako się między drogami od Folwarku Sw. Krzyża jedną, a od Grzybowa drugą, ku Ujazdowu prowadzącemi wyciąga, to jest łokci przeszło czterysta; wszczeg zaś tak, jak jest przerzeczona włóka między graniczącemi miedzami rozległa, to jest łokci sto trzydzieści dziewięć i pół łokcia”.

Za ten plac zapłacił Baudouin 300 dukatów.

Kamień węgielny pod budowę nowego szpitala położono 24 czerwca 1754 roku.

A zaledwie to się stało, już lotna myśl kapłana wybiegła po za granice początkowo zakreślone. Obliczywszy się z potrzebami społeczeństwa i głosu serca usłuchawszy, Baudouin postanowił plac pierwotny znacznie rozszerzyć.

Nowy szpital nie miał być tylko domem sierot, ale — Szpitalem „Jeneralnym”.

Było to tak, jakby ktoś, upadając pod wielkim ciężarem, dla ulżenia sobie wziął na barki drugi ciężar znaczniejszej wagi.

#### *IV. Nowe walki i nowe zwycięstwa.*

Przywilej na wybudowanie w Warszawie szpitala „Jeneralnego” albo „Głównego” podpisał August III-ci w dniu 28 maja 1758 r.

Cel zwiększony wymagał i środków większych, a ponieważ i mniejsze zdobywały się z trudem niezmiernym, przeto ludzie „rozsądni” przepowiadali jeli całemu przedsięwzięciu niechybny upadek.

Ale stała się rzecz nieprzewidziana: do księdza Baudouin'a uśmiechać się zaczęło szczęście. Dary sypały się obfitsze, niż kiedykolwiek, przedsiębiorstwa wiodły się nad wszelkie spodziewanie, serca wielkich i maluczkich skłaniały się coraz bardziej ku dziełu i jego twórcy...



Anegdotkę, dobrze ów zwrot charakteryzującą, opowiada Bartoszewicz:

„Dnia jednego, gdy u króla zgromadzonych było wielu panów i duchownych i świeckich, zaczęto mówić z zajęciem o księdzu Baudouin'ie i jego fabryce w obecności króla. Wtenczas król rzekł do zgromadzonych panów: „Oto, Mości Panowie, jedźmy wszyscy razem i zobaczymy, co ten ksiądz tam robi”. Stało się tak. Wsiadłszy król do pojazdu, pojechał, a za nim wszyscy panowie, i uformował się długi szereg sześć- i czterokonnych pojazdów. Przybywszy król z panami na miejsce rozpoczętych budowli, obszedł z nimi całe dzieło, podziwiając tak wielkie i wielkich nakładów potrzebujące przedsięwzięcie. Obejrawszy wszystko, rzekł do obecnego ks. Baudouin'a: — A masz-że, księże, fundusz na wybudowanie tak wielkiego gmachu? — Nie mam, N. Panie, i ledwie mi z Opatrzności Boskiej wystarczyło na zaczęcie — odpowiedział kapłan. — A na dalsze budowanie jakąż masz nadzieję?—podjął król. Wówczas ks. Baudouin, wzniosłszy oczy do nieba, odpowiedział: — Najjaśniejszy Panie! całą moją nadzieję zasadzam na Opatrzności Boskiej. Alboż to nie ta Najwyższa Opatrzność sprowadziła W. K. Mość na to miejsce z tak wielu J. O. i J. W. panami? Słyszac król te słowa czcigodnego kapłana, rozczulił się i uronił łez kilka. Podobneż uczucie ogarnęło panów, otaczających króla. Po krótkim zadumaniu, zwróciwszy się król do panów, wyrzekł: — No, Mości Panowie, trzeba księdzu dopomódz.

„I zaraz, z woli królewskiej zrobiono podpisy na składkę, na której czele król podpisał się na kilka tysięcy dukatów; za królem poszli panowie na rozmaite sumy, tak, iż na parę kroć sto tysięcy złotych uczyniły te improwizowane składki”.

Do tegoż czasu odnosi się historia, czy też legenda o policzku, z zakończeniem: „To dla mnie — a cóż dla biednych?” Legenda znana jest powszechnie, więc powtarzać jej nie będę. Zresztą Brodziń-

ski, Jaśkiewicz i Hoffmanowa zrobili to już o wiele lepiej, niż ja zrobićbym umiał.

Ważniejszą może od samej legendy jest sprawa jej autentyczności. Czy fakt opowiedziany w legendzie jest prawdziwy, czy też zmyślony? Dotychczas na to pytanie odpowiedzi stanowczej niema.

Sobieszczański legendę odrzuca. Twierdzi, że fakt istotnie odbył się, ale nie z Baudouin'em, lecz z jałmużnikiem włoskim, i nie w Warszawie, lecz w Turynie.

Bartoszewicz natomiast przechyla się ku prawdziwości faktu. Opierając się na tradycyi, przechowanej w samym szpitalu, wymienia nawet sprawcę zuiewagi. Miał nim być Franciszek Bieliński, pisarz wielki koronny. Portret tego pana możnego a gwałtownego pomieszczony jest dziś w galerii—dobroczyńców szpitala...

Cokolwiekbaż, legenda jest tak piękna, że byłoby rzeczą nierozsądną dobrowolnie jej się pozbywać.

Wśród takich i podobnych wypadków wielkie dzieło miłosierdzia chrześcijańskiego i społecznej przeorności szczęśliwie doprowadzono do końca. Książd Baudouin miał wieczór życia cichy i pogodny, rozjaśniał go bowiem blask zasługi i światło ludzkiej życzliwości.

Twórca szpitala na resztę życia przeniósł się do zbudowanego przez się gmachu. Ostatnie lata poświęcił cichej dewocyi. „Żadnego dnia nie było—pisał cytowany już jego towarzysz i biograf—ażeby Mszy Świętej nie miał, albo przynajmniej, w czasie znacznej choroby, jej nie słuchał i podczas niej nie komunikował, co też w ostatnich dniach słabości swej praktykował, mając drzwi z izby do bliższego oratorium; i w sam dzień śmierci, na pół godziny nim skonał, wysłuchawszy Mszy Świętej Pana Jezusa, i kilku dniami przedtem rzekł w tej materji do jednege z kapłanów w te słowa: — Mieć Mszę Świętą, albo przy-

najmniej jej słuchać i komunikować, jest to jedyna pociecha moja i pożytek mój”.

Śmierć zacnego męża nastąpiła 10 lutego 1768 roku. „Życia swego świątobliwego, bez choroby, bez boleści, i prawie bez konania, przez samo sił osłabienie, wieku swego 79-go, szczęśliwie dokonał”.

Ciało księdza Baudouin'a spoczywa w grobach kościoła Św. Krzyża. Na kamieniu w ścianę wmurowanym, położono mu skromny napis, którego może sam żądał:

*D. O. M.*

*R. D. Gabriel Petrus Baudouin*

*primus rector hospitalis generalis Infantis Jesu, annorum 79, vocationis 58.*

Jednakże we współczesnych „Wiadomościach Warszawskich” wydrukowano piękny wiersz łaciński, którym ksiądz Jozafat Hylzen, biskup smoleński (brat historyka), uczył pamięć i zasługi zmarłego przyjaciela.

Hołd publiczny złożył mu też Krasicki w rymowanym *epitafium*. Wiersz biskupa poety wielokrotnie już był przytaczany, jest wszakże tak piękny, że go tu raz jeszcze powtórzę warto:

Którego święta miłość bliźniego ujęła,  
Mężu prawy! spoczywaj wpośród swego dzieła.  
Bajeczna starożytność niech rycerzy głosi;  
Nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi.  
Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdierał,  
Nie ten kto łyzy wyciskał, lecz kto je ocierał.

#### *V. Trochę szczegółów kronikarskich.*

Celem założenia szpitala Dzieciątka Jezus było: stworzenie instytucji leczniczej, opiekuńczej, dobroczynnej, któraby istniała samoistnie, we wszystkim sobie wystarczając.

Tam, gdzie ludzie cierpią, chorują i umierają, niezbędne są: kościół i cmentarz. Ksiądz Baudouin

postarał się, aby jego zakład posiadał jedno i drugie *intra muros*.

Cmentarz powstał współcześnie ze szpitalem. Był to cmentarz smutny, bezimienny, bez nagrobków, bez chwaleb pośmiertnych, może tylko drewnianymi symbolami Męki Pańskiej przyozdobiony. Po wielu latach (w roku 1799), uczczono pogrzebanych tam skromnym, dziś już mocno zniszczonym pomnikiem „jeneralnym.” Napis na pomniku oblicza liczbę pochowanych od r. 1757 na *trzydzieści tysięcy*. Ciała ich „spokoju wiecznego” nie otrzymały; w niecałe stulecie po pogrzebaniu poruszył je i z łona ziemi wyrzucił rydel kopacza, przygotowującego fundamenty pod budowlę.

Kaplicę szpitalną, tak obszerną i piękną, że można ją było kościołem nazwać, poświęcono w dniu 12 września 1762 roku. Poświęcenia dopełnił ks. Załuski, biskup kijowski.

Wspomniałem wyżej o galeryi „dobrodziejów”, którą szpital w portretach olejnych posiada. Galerya z wielu względów ciekawa i posiadająca znaczenie historyczne, zasługuje, aby ją w dobrych kopiach odtworzono.

Prócz Baudouin'a, sportretowane są w tym zbiorze następujące osobistości: król August III; król Stanisław August; król w Xawery; ksiądz Hieronim Szeptycki, biskup płocki; ks. Karol Kreni; Józef Sołohub, wojewoda witebski; książę Michał Jerzy Poniatowski; książę August Alexander Czartoryski; Jan Klemens Branicki; Franciszek Bieliński (nie marszałek, lecz synowiec jego); Kazimierz Krasiński, starosta krasnostawski; Marcin Załuski, sufragan płocki; księżna Barbara z Duninów Sanguszkowa; z Sanguszków Krystyna Bielińska; Kunegunda z Sanguszków Czacka; Anna z Ossolińskich Krasińska; Józefa z Morsztynów Ossolińska; Joanna z Sułkowskich Sapieżyna.

W kaplicy znajduje się nagrobek Hylzena, biskupa smoleńskiego, który zmarł w r. 1775.

## VI. Zmiany ostatnie.

Koniec wieku zeszłego i początek bieżącego były dla Warszawy epoką klęsk. Bawialnie kurczyły się albo zmieniały w koszary; pałace sprzedawano za bezcen kupcom i restauratorom, którzy przerabiali je na hotele lub mieszkania prywatne. Natomiast kwitły, rozwijały działalność i rozszerzały się terytoryalnie—szpitale.

Około roku 1820 gmach, wzniesiony przez Baudouin'a, nie wystarczał już na potrzeby miasta. Liczne przybudówki, które w ciągu kilkudziesięciu lat obstawiono, czyniły gospodarstwo wewnętrzne trudnym i niewygodnym. Komisya województwa Mazowieckiego postanowiła szpital z gruntu przebudować.

Przebudowy dokonano w roku 1824. Plan przygotował Alexander Gröfte, budowniczy generalny Komisji Spraw wewnętrznych i Policyi.

Szpital po przebudowaniu przybrał postać zupełnie odmienną. Rozwinął się, a głównie wydłużył, wszystkie zaś dawniejsze romantyczne wybryki stylowe ustąpiły miejsca prawidłowej, nieco sztywnej i—cokolwiek nudnej, powadze.

Wówczas to dopiero gmachy szpitalne dociągnięto aż do ulicy Świętokrzyskiej, a wejście główne, znajdujące się dawniej w rogu szpitala, umieszczono w samym jego środku.

Kliniki zaprowadzono u Dzieciątka Jezus z chwilą otwarcia Akademii Medycznej. W r. 1860 otwarto ambulatoryum kliniczne. Do klinik, prócz studentów, uczęszczali lekarze, odwiedzały je też, w charakterze gości, zagraniczne znakomitości świata lekarskiego.

Później nieco powstała klinika terapeutyczna i akuszeryjna.

W latach następnych pod wspólnym dachem kupiły się tu: szpital właściwy, dom podrzutek, in-



stytut szczepienia ospy, oddział kobiet obłąkanych, instytut położniczy, połączony ze szkołą akuszerok wiejskich, i szkoła felerów.

W „teatrze anatomicznym” wykładano studentom medycynę, oraz uczniom szkoły felerzkiej anatomię.

Przyjmowanie dzieci podrzuconych odbywało się przez czas długi za pomocą tak zwanego „koła.” Dzieci przynoszono zwykle nocą. Matka lub pośredniczka umieszczała niemowlę w rodzaju szafki, zwróconej otworem do ulicy, i pociągała za sznur od dzwonu. Na to hasło dyżurna Siostra Miłosierdzia wykrecała ruchomą szafkę do siebie i wyjąwszy niemowlę, odsyłała je do właściwego oddziału.

Dyskretne „koło” następnie skasowano. Dzieci oddawać dziś trzeba szpitalowi jawnie, dopełniając przytem pewnych urzędowych formalności i składając przepisaną opłatę. Tym sposobem dzieci te nie są już właściwie „podrzutkami”, i piętno tej nazwy hańbiącej powinno już być z nich zdjęte.

O działalności szpitala podaje Gołębiowski, pod rokiem 1827, taką treściwą notatkę:

„Było chorych mężczyzn 163, kobiet 203; sierot chłopców 138, dziewcząt 243; mamek 22 karmiło 27 niemowląt, a 1,230 oddano na wieś.”

Stan szpitala w chwili najbliższej przedstawiają następujące, u źródła poczerpnięte cyfry:

W dniu 1 stycznia 1896 r. było chorych, pozostałych z r. 1895-go — 548; przybyło 6,803, razem zatem w ciągu roku 1896 leczyło się 7,351. Wypisano 5,850; umarło 952; pozostało na rok 1897—549. Procent śmiertelności 12,95<sup>0</sup>/<sub>0</sub>; dni szpitalnych 162,576.

W oddziale dzieci opuszczonych (podrzutków) było starszych dzieci z r. 1895-go 127, przybyło 271, zmarło 20. Dzieci przy piersi było 59, przybyło 1,839, zmarło 261. Rozdano kobietom wiejskim na wykarmienie 5,040; przybyło 1,404; zmarło 14.

W domu położniczym było z poprzedniego roku chorych 10; przybyło 642; zmarło 15, wypisano 631.

W przytułku rekonwalescentów pozostawało 12; przybyło 320; wypisano 320; na rok 1897 pozostało 12.

W Instytucie szczepienia ospy, szczepi się ją w ciągu roku średnio 1,500 dzieciom. Prócz tego instytut rozdaje i rozsyła limfy na 30 do 40 tysięcy szczepień.

W ambulatoryum udziela się średnio 20,000 porad rocznie.

Gospodarstwo wewnętrzne przedstawia się jak następuje:

W r. 1895 szpital miał dochodu:

Z nieruchomości rs. 12,289 kop. 87; z kapitału rs. 8,124; od rządu rs. 2,825; z opłat za leczenie rs. 75,776 kop. 55 $\frac{1}{2}$ ; z innych źródeł rs. 9,750 kop. 54. Ogółem dochód wyniósł rs. 108,767 kop. 14. W tymże czasie wydatki uczyniły ogółem rs. 108,767 kopiejek 14.

W roku 1896 ogół dochodu wyniósł rs. 166,284 kop. 38 $\frac{1}{3}$ , wydatki rs. 134,400 kop. 70.

Każdy chory kosztuje średnio szpital kop. 52,76 na dobę. Na dziecko przy piersi wydaje szpital dziennie kop. 54,70, na starsze kop. 40,20; na oddane na wieś kop. 4,42.

---

### III.

#### O ulicy Świętojańskiej.

---

Rynek, jako ognisko handlu, oraz miejsce zborne dla przyjezdnych i zamek warowny (kasztel), pod

którego skrzydła ciśnie się szukające obrony i zabezpieczenia mieszczaństwo, oto dwa główne i najpierwsze organa każdego miasta średniowiecznego. Główną też i najpierwszą takiego miasta ulicą jest droga, łącząca dwa te organa z sobą.

Dla Starej Warszawy taką drogą była ulica Świętojańska.

Nazwę swą wzięła ta ulica od kaplicy zamkowej, pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela, która początkiem swym sięga początków miasta samego. W kolei czasów, drobna kapliczka wyrosła na potężną katedrę, a ulica najznaczniejsza zeszła do rzędu nieznacznych.

Jak wyglądała ulica świętego Jana w pierwotnym swym kształcie?

Żaden artysta nie utrwalił dla pamięci potomnych tego pamiątkowego obrazu; możemy go jednak w rysach prawdopodobnych sami sobie odtworzyć.

W epoce, kiedy kamień i cegła gdzieniegdzie tylko w Rynku spostrzegać się dawały, ulica Świętojańska zabudowana była domami albo raczej dworami z modrzewia, którego w borach okolicznych nie brakło, lub z pospolitszej a tańszej sośniny. Dwory musiały być z gankami, bo innych nie znano, w oknach zaś, zamiast szyb szklanych, widziałeś błony napuszczone tłuszczem i napół przezrocze. Całą stronę prawą zajmowała wspomniana kaplica, którą otaczał dokoła cmentarz grzebalny, opasany zwykłym zapewne parkanem, z wrotami pod daszkiem i z krzyżem żelaznym na szczycie. W bliskości kaplicy znajdował się niewątpliwie dom z ogrodem dla księdza, domek dla służby kościelnej, kostnica i t. p. Po stronie lewej ciągnęły się domy mieszczan rolnych i kupców, proste, niewymyślne, wedle jednego wzoru stawiane i tylko tu i owdzie godłem symbolicznem wyróżnione.

Komu braknie we własnej wyobraźni materyału do odbudowania tego, zapadłego już w niepamięć

przeszłość, obrazu, niech potrzebnych do niego kształtów i barw poszuka w którejkolwiek z podrzędniejszych uliczek Ciechanowa, Mławy, Przasnysza i t. p. W kraju naszym wogóle, a zwłaszcza na Mazowszu, pełno miasteczek, które dziś zachowały też samą fizyognomię, jaką miały w kolebce. Czemże zaś innem była przy narodzinach swych Warszawa, jeśli nie małem mazowieckiem miasteczkiem, bliźniaczo do wszystkich swych siostrzyc podobnem?

Dzisiejsza ulica Świętojańska posiada swą typową odrębność. Jest ona przedsiönkiem Starego Miasta i wstępną kartą w solennej, pergaminowej księdze, która jego dzieje zamyka. I dziś też, jak dawniej, zmroczona potężnym cieniem katedry, jest uroczysta, poważna i jakby atmosferą solenności nasiąkła.

Zgaduję, bracie Warszawianku, że na wzmiankę o atmosferze ulicy Świętojańskiej znacząco nosem kręcisz... Nic w tem dziwnego. Upodobali sobie w naszym stuleciu tę ulicę składnicy skór i zatruli ją mdlącemi wyziewami juchtu. Prawie w każdym domu mieści się tu sklep ze skórami. Aby podczas letnich upałów w atmosferze tej wytrzymać, trzeba być albo stałym dzielnicy tej mieszkańcem, albo też mieć nos Napoleona III-go, który na pierwszej paryzkiej wystawie powszechnej w zapachu tym wielce się rozmiłował...

Trudno odgadnąć powód, dla którego sprzedawcy skór tu właśnie rezydencyę swoją założyli. Wpłynęła chyba na to okoliczność, że Rynek staromiejski i ulica Dunaj od wieków ogniskiem kunsztu szewckiego bywały. Cokolwiekbądź, mury ulicy Świętojańskiej pstrzają się dziś od końca do końca tęczowymi znakami, mającymi uplastyczniać różnobarwność sprzedawanych tam safanów. Znaki te zresztą są rzeczą zbyteczną; każdy trafiłby z zamkniętymi oczyma, kierując się samem tylko powonieniem.

Dzisiejsza ulica Świętojańska obejmuje (prócz dwóch kościołów) 23 numery hipoteczne; rozciąga się

zaś od wylotu swego na plac Zamkowy do ujścia na Stare Miasto. Ongi sięgała dalej, docierając do uliczki Ślepej i garnąc pod swe skrzydła sześć kamienie, stojących wprost Zamku. Wówczas i sam Zamek, oznaczony 1-szym numerem hypotecznym, do niej się liczył. Było to w epoce, gdy istniało jeszcze naczelne skrzydło Zamku zwane „Gród”, i gdy to, co nazywa się dziś placem, nosiło charakter ulicy.

„Gród” zburzono w roku 1818-ym, prawie równocześnie z Bramą Krakowską. Przekształciło to z gruntu całą tę część miasta; dawne jednak granice Świętojańskiej siłą przyzwyczajenia czas jakiś jeszcze *de nomine* przetrwały. Taryfa z r. 1832-go, pomimo, że „podług nowego podziału wydana”, rozpoczyna tę ulicę „Pałacem zamkowym Jego Cesarsko-Królewskiej Mości” (nr. 1), a kończy „Kamienicą Jego C. K. Mości” (nr. 33-ci; dziś posesya ~~Chępcz~~ na Krakowskiem Przedmieściu).

Poeci wielcy, którzy bywają też prawie zawsze i wielkimi malarzami, umieją częstokroć w jednym przymiotniku zamknąć całkowity charakter danej rzeczy. Słowacki, mówiąc kędyś o kolumnie Zygmunta III-go, dodaje:

.. Dalej *ciemna* ulica, a z niej jakieś *szare*  
Wygląda w perspektywie sinea Miasto Stare.

I w samej rzeczy Rynek staromiejski jest przede wszystkim szary, ulica Świętojańska przede wszystkim ciemna. Są to ich znamiona główne, zasadnicze, typowe. Nawet w dniu najsłoneczniejsze, kiedy trójca wież katedralnych, razem ze strzelistą wieżycą pijarską, płonąć się zdają w purpurowych ogniach zachodu, na dole, niby w górskim przesmyku, leży półmrok posępny. Wschód zaróżowia tu zaledwie szczyty wązkich a długich kamienie, promienie zaś południowe, drasnawszy jedną połać domów, uwypuklają jedynie na krótką chwilę wyskoczne ich gzemsy





Portret księdza Baudouin'a znajdujący się w szpitalu Dzieciątka Jezus, wraz z widokiem szpitala w kształcie pierwotnym.

i widoczniejszymi czynią godła, oraz stare na tablicach napisy. Przez całą resztę dnia ulicę zalewa światło przyćmione, brudne, jakby przez zamatowaną szybę przesiąkłe.

Na tym wązkim pasku, który przed katedrą tylko nieco się rozszerza, jest zwykle dość pusto i dość cicho. Dopiero dnie świąteczne i targowe stają się dniami wyroju dla tego zasklepionego ula.

Gdy w katedrze św. Jana zahuczy organ i zabrzmiały pieśni chóralne, dreszcze w murach świątyni zbudzone udzielają się też domom sąsiednim. Uliczka ożywia się wówczas, nabrzmiwa ludźmi, nabiera głosu i ruchu. Nadmiar pobożnych, których wielkie nawy kościelne zmieścić nie mogły, wylewa się na zewnątrz, tworząc zator w ciasnej szyi ulicznej. Na asfalcie klęczą mężczyźni i kobiety z obnażonymi głowami, ze świecami woskowymi w rękach, bijąc się w piersi, przesuając ziarna Różańca lub łącząc głos swój z głosami tych, którzy śpiewają we środku. Przez otwarte wrota wymyka się niebieskawy dym kadzideł, a w zagłębieniu dalekiem migoczą blaski starego złota i szyb tęczyowych, oraz pozłocisty ornat kapłana...

Ranki znów piątkowe napełniają cichą uliczkę niesfornym harmidrem targu. Turkoczą wózki drabiniaste, krzyczą polujący na zysk przekupnie, zawadzają o siebie wzajem dorożki i gwizdzą na butelkach chłopaki od szewca.

W epoce, gdy Stara Warszawa była juryzdyką, a środek Rynku zajmował osadzisty gmach Ratusza z wieżą wyniosłą i szeregami kramnic dokoła, ulica Świętego Jana każdego dnia w tygodniu kipiała ruchem i gwarem... Tędy, wezwani dzwonem ratuszowym mieszczanie, śpieszyli na posiedzenie magistratu; tędy szli i jechali do „Grodu” przybywający bramą Nowomiejską obywatele; tędy juryści wiedli klientów swoich do zasobnych piwnic pod Ratuszem; tędy to-

czyły się wozy ładowne z towarem sprowadzonym Wisłą dla kupców staromiejskich; tędy dążyły złożone karoce magnatów; tu wreszcie snuli się w czerni i fioletach biskupi, kanonicy, księża wyświęceni i niewyświęceni, żacy w sukniach pół-świeckich a pół-kapłańskich i dziadkowie kościelni w granatowych kapotach, krzyżem czerwonym naznaczonych.

Do czasu jednak przeniesienia stolicy z Krakowa, ulica była skąpo zabudowana. Lustracya z roku 1564-go wymienia zaledwie sześć domów na niej, w tej zaś liczbie libertowaną kamienicę biskupa poznańskiego. Byłażby cyfra ta prawdziwą? Pomimo, że wierzą jej bezkrytycznie dotychczasowi dziejopisowie Warszawy, ośmielam się podać ją w wątpliwość. Wątpliwość opieram na fackie, że w tejsze lustracyi cyfra domów na innych ulicach Starej Warszawy prawie nie różni się od dzisiejszej. Rynek naprzykład liczy w niej domów 39, Piwna 28, Piekarska 28, a Grodzka aż 23. Być może, iż pod tę ostatnią nazwę podciągnięto część Świętojańskiej, co jest tem prawdopodobniejsze, że na niektórych spisach późniejszych ulica ta nazywana jest „Świętego Jana *seu* Grodzka.”

W „Deskrypcyi” z r. 1655-go na Świętojańskiej wskazano ogółem domów 38. W tej liczbie znajduje się 23 kamienic, 5 „kamieniczek” i 10 domów drewnianych. Te ostatnie jeszcze przed rokiem 1700-ym zastąpione zostały murowanymi.

Przez długi czas nosiła ta ulica znamię kościelne, a raczej księżę. Większość posesyi należała do zgromadzeń kościelnych lub do pojedynczych kapłanów. W wieku XVII-ym dwie kamienice były własnością Jezuitów; prócz tego mieli tu domy: ksiądz Rudawski, ksiądz Borzęcki, oraz Bractwo Miłosierdzia (założone przez Skargę), szpital św. Łazarza i konwent św. Marcina (Augustyanie). Wspomniana wyżej rezydencya biskupów poznańskich przeniesiona ztąd



została na początku tegoż wieku na ul. Jezuicką (nr. 72).

Znajdująca się dziś na wstępie do Świętojańskiej cukiernia jest może jedyną w Warszawie, która posiada łukowato sklepioną, jak w starym refektarzu, powalę.

Do czasów niedawnych i urządzenie tej cukierni było, jeśli nie starożytne, to przynajmniej staroświeckie. Widziałeś tu stoły palisandrowe, duże, rodzinne, kanapy wyściełane, rozłożyste; stolki z poręczami w kształcie liry i poczerniałe obrazy na ścianach, które bodaj czy nie były podobiznami antenatów. Panowała też tu zwykle cisza wielka, chłopcy mówili szeptem, goście w milczeniu zapijali kawę lub herbatę, z kuchni dochodził szum nastawianego samowara. Jeśli w środkowej, zupełnie ciemnej komnacie, zajęła miejsce jakaś para, umyślnie szukająca odosobnienia, rozmawiała z sobą poważnie — podobniejsza raczej do Hermana z Dorotą, niż do Desgrieux'ego z Manią Lescaut...

Możnaby sądzić, że to z tych murów grubych, osadzistych, których cegły twardości granitu nabrały, wychodziła owa solenność, narzucająca się przemocą umysłem i sercem. Nie byłoby w tem nic dziwnego. Mury te są napół kościelne. Kamienica pod numerem 3-im to dawna *Psalteria*, dom Psalterzystów, członków chóru kolegiaty, a następnie katedry.

Psalterzyści są to księża, do których należy odśpiewywanie psalmów po ukończonem nabożeństwie porannem; wywodzą zaś nazwę swą od narzędzia muzycznego *psalterium*, przy wtórze którego śpiewano ongi pieśni kościelne.

„Psalteria”, jako miejsce, wzmiankowana już jest we wspomnianej wyżej lustracyi za Zygmunta Augusta (r. 1564), początek zaś Psalterzystów odnosi się do roku 1525-go. Przywilejem wydanym w tym roku, „we wtorek najbliższy po świętym Wawrzyńcu” Janusz książę mazowiecki „żaków, psalterze śpiewa-

jących w kolegiacie św. Jana, od obowiązków uchyla, a na ich miejsce ośmiu księży Psalterzystów ustanawia i fundusz dla nich wyznacza." Przełożonym nad Psalterzystami i jakoby ich gospodarzem miał być proboszcz od Ś-go Ducha, który zarazem sprawiał obowiązki zarządzającego szpitalem (właściwie „domem przytułku”) tegoż imienia. Aby zaś pomiędzy zwierzchnikiem a podwładnymi nie było sporów o czynsze i prowenta, księżna Anna mazowiecka postanowiła, że Psalterzyści dostawać mają od proboszcza co-rocennie na św. Jan, 33 kopy groszy, *in mediis grossis*.

Nad drzwiami głównymi tego domu (nad „furtą”, jak w owe czasy mawiano) wyryty jest w kamieniu i znakiem krzyża u góry uświęcony rok 1684. Roku tego za datę erekcyjną uważać nie możemy. Jest on pewnie, jak się to często zdarza, datą prze-róbki i odnowienia tej kamienicy, liczącej się u nas do najstarszych.

Dom sąsiedni (Nr. 2-gi), dotyczący jednego z bocznych skrzydeł zamkowych, liczy się do staruszków zgrzybiałych jeszcze, dźwiga bowiem na swych, krzepkich zresztą jeszcze barkach, blisko pięć stuleci.

Dziś przemawia on frontem swym jedynie do... żołądka, przystroił się bowiem po jednej stronie wejścia w wędliniarnię, po drugiej w skład wódek; wystarcza jednak wejść do wnętrza i rozpatrzeć się choćby tylko po sklepieniu sieni, aby usłyszeć inne głosy, z kamieni tych wychodzące. Kształty archaiczne uderzają tu na każdym kroku, uwydatniając się nawet w śmiałych liniach żelaznego, wbitego w mur ramienia, które trzyma dziś naftową, czy olejną lampkę.

Kamienica ta była własnością, a poniekąd i siedzibą księży Mansyonarzy. W wieku XVII-ym zwano ją *Mansionaria*, początkiem zaś swym sięga ona pierwszych lat XV-go stulecia, to jest daty założenia kolegium Mansyonarskiego.

Kto byli Mansyonarze?



W ogólności nazwa ta służy księżom, którzy każdego dnia odprawiają nabożeństwo i odśpiewują w chórach *officium* ku czci N. P. Maryi. W Warszawie kolegium ich ufundowała Anna księżna Mazowiecka, około roku 1425-go, wybudowawszy dla nich kaplicę oddzielną przy kolegiacie św. Jana.

Dodajmy nawiasem, że kaplica Mansyonarzy mieściła się przy wejściu do katedry od strony Dziekanii. Wzniesiona na arkadach, w połowie wysokości nawy kościelnej, opasana była dokoła balustradą żelazną. Łączyła się ona z gankiem, na którym monarchowie nabożeństwa słuchali, oraz z krytem przejściem, którem dostawali się wprost z komnat zamkowych do świątyni. Pod tą kaplicą znajdowała się inna, zwana „ciemną,” w której, zgodnie z tem mianem, ciągły mrok panował, rozpraszany jedynie sztucznem światłem lampek.

Obie te kaplice w roku 1822 zostały rozebrane.

Księżna Anna uczyniła zapis na utrzymanie siedmiu Mansyonarzy, zobowiązawszy ich do odprawiania codziennego nabożeństwa na intencję fundatorów. Przywilej mianowania ich i wogóle *jus patronatus* nad nimi posiadali początkowo książęta Mazowieccy, a następnie, aż do połowy XVI wieku, królowie. Ztąd właśnie zwali się oni aż do końca „królewskimi.” Dopiero Zygmunt I zrzekł się częściowo tego prawa na rzecz magistratu Starej Warszawy, a Zygmunt August, chętnie pozbywający się wszelkich ciężarów, oddał je w całości kapitule warszawskiej.

Przy zmniejszającym się uposażeniu, liczba Mansyonarzy nieustannie malała.

Do „Mansyonaryi” przywiązane jest wspomnienie żałobne. W niej to, 8 sierpnia 1524 r. — „w poniedziałek przed Świętym Wawrzeńcem,” jak współczesna opowiada kronika — zmarł dwudziestoczteroletni książę Stanisław, jeden z dwóch ostatnich książąt mazowieckich. Zmarł na chorobę niedocieczoną, którą jedni otruciu, a inni nadużyciom *in Baccho et in Ve-*

nerę przypisują. Śmierć jego wyprzedziła tylko na półtora roku zgon brata młodszego Janusza, z którym zeszło też do grobu i Księstwo Mazowieckie, jako oddzielna całość polityczna.

Ten drugi cios, tak bolesny, a tak niespodziany, o rozpacz przyprawił poczciwych Mazurów. Teraz głośno już oni wypowiadali podejrzenia swoje co do zbrodni i wskazując winnych, na śmierć ich ciągnęli. Dużo osób potracono—bez dostatecznych, niestety, dowodów! Piekarka jakaś z Krakowa i wieśniaczka Kłiszewska żywcem spalone...

„Przed Warszawą—pisze Wapowski, który rzecz tę własnymi oczyma oglądał—wkopali w ziemię słup, do którego obiedwie na łańcuszkach długo uwiązali, każdą na swoim łańcuszku, naga, opak ręce związawszy, a około nich nakładwszy drew, wkoło zapalili. Piekły się około onego ognia jako pieczenie, na cztery godziny zanim pomarły, biegając około słupa, narzekając. kąsając zębami jedna drugą. Niestychana męka! Potem też i Jordanowskiego ścięto; Jakóba piwniczego na kościele u Bernardynów dobywano i wiele innych ludzi potracono...”

Kamienica Mansyonarska w roku 1869 przechodzi na własność pana F. Springera.

Dom przeciwny, narożny od placu Zamkowego (Nr. 27), odznacza się również charakterem duchownym. Jest to dom dawnego seminarium metropolitalnego. W pierwszej połowie XVII wieku była tu posesya Baryczków, głośnej w dziejach Starej Warszawy rodziny mieszczańskiej. Posesya ta przeszła następnie na własność Mikoła Popławskiego, dziekana warszawskiego. Gdy w roku 1682 przy kościele św. Jana zostało utworzone seminarium, dziekan ów część swej kamienicy na pomieszczenie seminarzystów przeznaczył. Korzystali też oni później ze szczodroliwości innych potentatów kościelnych i świeckich, a król Jan III przeznaczył był dla nich 3,000 złp. dochodu rocznego z kopalni soli w Wieliczce.

Oprócz właściwych „kleryków,” kształcilo się zawsze w seminaryum kilku młodzieńców, których, z powodu fioletowej, regulaminem przepisanej sukni, nazywano fiołkami.” Ci ostatni sposobili się do niższej służby kościelnej, alumnat zaś ich ufundował w roku 1685 obywatel warszawski Wojciech Pstrokoński.

Od roku 1870 kamienica po-seminaryjska jest własnością prywatną pana Szczycińskiego.

Obok dwóch świątyń, stanowiących główny punkt ciężkości ulicy Świętojańskiej, przechodzimy, nie zatrzymując się. Każdą z nich otrzyma z czasem rodziat odrębny. Nawiasowo wyrażamy życzenie, aby znalazł się z czasem poeta wielki lub artysta, któryby przynajmniej dla kościoła św. Jana uczynił to, co zrobił Wiktor Hugo dla katedry paryzkiej.

Pomiędzy katedrą a kościołem po-jezuickim / zapisywano w dawnych taryfach numer hypoteczny 5. Dziś numer ten jest tylko — cyfrą. Oznaczona nim posesya zniknęła około roku 1840, w epoce gruntownego przebudowywania katedry; znikając zaś, nie pozostawiła po sobie żadnego śladu, choćby pod postacią szczerby pomiędzy numerami obocznymi...

Dziwna-bo też to była posesya. W najpierwszej drukowanej taryfie nazwana jest prosto „Sklepem sławetnego Gordona,” i pod tą nazwą stale przez lat kilkadziesiąt w taryfach występuje. Około roku 1830, zmieniwszy właściciela, nazywa się „Sklepikiem Józefa Barczyńskiego.” Potem, jest tam już tylko: „plac miasta Warszawy.”

W którym właściwie miejscu posesya ta stała? Odpowiedź na to pytanie jest trudna, zważywszy, że obie świątynie (zajmujące nry: 4 i 6) posiadają obecnie też same, co i dawniej granice, na przedzielającym zaś je wązkim pasku gruntu żadne zgoła zabudowanie stanąćby nie mogło.

Na szczęście, istnieje akwarella Vogla z r. 1825,

na której, obok kościoła Św. Jana przedstawiony jest też i ów zagadkowy nr. 5, w całej swojej... nieokazałości. Jest to budynek mały, maleńki, maleniczki, przypominający wyglądem swym ową lepiankę, co to „jedno miała okienko, jeden był wchód do niej...” Budynek przypiera bokiem do kościoła po-Jezuickiego i ma front na jednej linii z frontem świątyni. Znajdują się w nim jedne tylko drzwi wąskie, połączone z zakratowanym okienkiem, jak to zwykle w dawnych kramach bywało. O ścianę frontową oparte są od ulicy łopaty, konwie, niecki i t. p., jako znak i próba sprzedawanych w sklepie towarów. Całość sprawia wrażenie grzyba brzydkiego, który wyrósł na pniu wielkiego i okazałego drzewa.

Przylegająca do kościoła po-Pijarskiego kamienica, łącząca w jedno dwa numery hipoteczne: 7 i 8, stanowi od dawnych już czasów własność Bractwa Niemieckiego. Uprzedza o tem czystość, z jaką utrzymywana jest z wierzchu i wewnątrz — czystość w dzielnicy tej wyjątkowa, a nie posuwająca się aż do wydrapywania alfresków i pobielania marmurów, o co nie trudno w innych, nie-niemieckich posesyach. Niemcy pełni są czci dla archaicznych pamiątek, ale zarazem nieubłagani dla archaicznego brudu. Współobywatelom moim wypadałoby ich w tem naśladować.

W wieku XVI i na początku XVII posesya ta była kolejno własnością rodzin mieszczańskich: Bigoszewskich, Kędrowskich i Markiewiczów. W r. 1648 panami jej stali się Jezuici; od Jezuitów przeszła do bractwa, które ją dotąd w ręku swych dzierży.

Przez czas pewny mieli tu swą „bursę” muzycy, należący do kapeli kościelnej, podczas gdy takaż bursa muzyków dworskich mieściła się w zabudowaniach klasztoru Augustyanów na Piwnej. Podobno też mieściła się tu i bursa ubogich studentów, czyli żaków.

Była chwila, w której bractwo niemieckie posia-



dało nietylko te dwie posesye, ale nadto rozporządzało obocznym, ongi Jezuickim kościołem. Stan ten trwał od roku 1781 do 1818. Następnie przeniosło się bractwo do kościoła Paulinów, przy którym dotychczas istnieje.

Ponieważ znaczna większość czytelników moich nie z pewnością o bractwie rzeczonem nie wie, przytoczę tu na ich użytek kilka faktów.

Plemię germańskie odznacza się wysoko rozwiniętym duchem korporacyjnym. Dzięki temu duchowi, jeszcze za Władysława IV (wedle innych, za jego ojca, Zygmunta III), przebywający w Warszawie Niemcy wyznania katolickiego, przeważnie rzemieślnicy, zawiązali między sobą stowarzyszenie wzajemnej pomocy, z charakterem religijno-gospodarczym.

Pierwszem dziełem bractwa było założenie szpitala dla chorych członków kolonii niemieckiej, przy którym znajdował się też przytułek dla sierot płci obojej, pozbawionych ojca i matki, oraz gospoda dla ubogich pielgrzymów. W „Opisie szpitali warszawskich,” przygotowanym w końcu zeszłego stulecia na użytek tak zwanej Komisji policyi obojga narodów, powiedziano, że bractwo „głównie z profesjonalistów i rzemieślników złożone, zatrzymawszy przechodzących przez Warszawę zagranicznych księży *ex congregatione clericorum sub titulo sancti Redemptoris*, im oddało rząd szpitala i kościoła, zachowawszy sobie szafunek dochodów.”

Cokolwiekby, pewnem jest, że niebawem po utworzeniu bractwa, Niemcy katolicy, osiedli w Warszawie, zapragnęli mieć także i własną świątynię. Zagrzewał ich do tego i pomagał im w tem ksiądz Leier.

I stał się fakt, któregośmy od dzisiejszych, wystygłych społeczeństw naprózno wyczekiwali. Drużyna niemiecka, przez dzień cały ciężką pracą zarobkową zajęta, z nadejściem nocy chwyciła za topory



ciesielskie, za kielnie, łopaty i taczki, obrabiała drzewo, zwoziła cegłę, mieszała wapno i przy świetle pochodni wznosiła mury świątyni...

Owoce tej ofiarności i tego wysiłku był kościół na Nowem Mieście, pomiędzy Sakramentkami a Panną Maryą, pod wezwaniem św. Benona, patrona od morowego powietrza. Zastanowimy się kiedyindziej nad wyborem tego patrona, tu zaznaczamy tylko, że był on jednym z tych, do których dawna Warszawa najczęściej o pomoc wołała.

Kościół św. Benona przy końcu zeszłego stulecia pogorzał i wówczas to, za sprawą Antoniego Okęckiego, biskupa poznańskiego, bractwu oddany został kościół po-Jezuicki, razem z należącymi do niego kamienicami. Wprowadzenie nowych posiadaczy do opustoszałych, po skasowaniu zakonu, murów połączoną być miało z wielką uroczystością. Biskup Naruszewicz śpiewał *Veni Creator* i odprawiał mszę solenną, wygłaszano kazania polskie i niemieckie, ogromny natłok ludu, przybyłego z procesją bractwa, omal nie rozsadził szczupłej świątyni i murów wąskiej uliczki.

Odbyło się to w dniu 25 maja roku 1781, w samą uroczystość Zielonych Świątek.

Co się zaś tycze kościółka św. Benona, ciekawi oglądać mogą dziś jeszcze dobrze zachowaną zwierzchnią skorupę jego przy ulicy Pieszej pod numerem 1877. Zamiast domu modlitwy, znajdują tam jednak — fabrykę noży.

Choć krzepko wyglądają w zwartym szeregu domy na Świętojańskiej, dwa z nich placu nie dotrzymały i legły w walce z postępem. Pierwszym był opisany wyżej „numer 5;” drugim—dom na rogu Zapiecka, opatrzony numerem 9. Dziś numer ten jest również szczyrbą w księgach hipotecznych i należy do nieboszczyków, nad którymi kronikarz Warszawy krzyż żałobny kłaść musi. Pozostało po nim tylko wspomnienie i kawał placu pustego, na którym sprzedają kwiaty w doniezkach i ptactwo w klatkach.

Nr. 9-ty padł ofiarą wygody publicznej. Jego kosztem rozszerzony został Zapiecek. Dla ludzi tegożczesnych stare zbroje są nazbyt przestronne, ale stare ulice nazbyt ciasne. Dowód to, że zmalała ich dzielność, a wyolbrzymiały potrzeby.

Kamienica narożna, rozrzucona około roku 1840, w połowie zeszłego i w początkach bieżącego stulecia, należała do Lelewelów, w ostatnich zaś taryfach zapisywano ją, jako własność sukcesorów Krestencyi Wagnerowej.

Na upadku nru 9 skorzystał nr. 10, pozyskawszy okazałe czoło od strony Zapiecka. Szkoda, że ten ostatni nie pomieniał się na miejsca i role z numerem 11-m, który jest starszy i piękniejszy od niego. Zamiast pospolitej i wszelkiego wyrazu pozbawionej kamienicy, mielibyśmy na widoku jeden z najpiękniejszych zabytków przeszłości.

Numer 11 zawdzięcza swe istnienie zamożnemu kupcowi Starej Warszawy. Objaśnia nas o tem umieszczone nad wejściem godło: okręt z rozpostartymi żaglami, wyrzeżany z kamienia, pokryty polichromią i w ścianę frontową wmurowany.

Kształt okrętu, jego krzepka budowa i paszcze licznych dział, otworami z boku wyglądające, świadczą, że przeznaczony był do podróży dalekich i z niebezpieczeństwem połączonych.

Podróże takie nie należały wówczas do osobliwości.

Warszawa, jeszcze za książąt Mazowieckich, prowadziła rozległy handel zamorski. Okręty z flagą naszą zawijały do wszystkich niemal portów Europy. Jerzy Baryczka odbywał podróże do Liworna i Hiszpanii. Jan Bornbach, posiadając domy handlowe w Warszawie i w Gdańsku, miał własne statki na wodach Bałtyku. Fuggierowie, protoplaści późniejszych Fukiarów, za Zygmunta Augusta sprowadzali wina nietylko węgierskie, ale także francuskie, włoskie i hiszpańskie. Utrzymywano stale stosunki handlowe z Hamburgiem i Wenecją, oraz z krajami wschodnimi.

Wszystko to uprzytomnia owo godło kamienne, tak dziwne z pozoru, tak dla mieszczucha dzisiejszego niespodziane.

Dom „pod Okrętem” mieścił w swych murach jedną z najdawniejszych w mieście naszym winiarni. Znajdujący się nad wejściem znak imienia Jezus dowodzi, że był niegdyś własnością Jezuitów. Na początku wieku XVIII-go posiadali go Czempińscy, od których przeszedł na własność bankiera Łyszkiewicza, ten zaś odprzedał go winiarzowi Hangelowi, podobno za 3,000 dukatów. Hangel był właścicielem tej posesyi przez lat kilkadziesiąt, aż do czwartego dziesiątka bieżącego wieku, potem nabyła go od sukcesorów Agnieszka Białkowska. Dziś dom „pod Okrętem” razem z kamienicą oboczną jest własnością starozakonnego finansisty *minoris gentis*...

Sąsiadką domu „pod Okrętem” jest „Kamienica Busserowska (nr. 12). Miano to nosiła ona w wieku XVII-ym i później. Trzypiętrowa i trójkopienna, posiada na wysokości piętra najwyższego dwie wnęki, a w nich postacie kamienne: biskupa z pastorałem i kobiety z lwem. Ciemne te posągi, nieśmiało z zagłębień swych wynurzające się, na wysokości tej do rozeznania są trudne.<sup>1)</sup>

Tablica marmurowa nad drzwiami objaśnia, że dom ten zbudowany został w roku 1629 przez rajcę warszawskiego. Łukasza Bussera, „na użytek jego i potomnych.” Napis brzmi w całości jak następuje:

## D O M.

Suo et Posteritatis usu

Lucas Busser, consul Warsaviensis

Domum hanc a fundamentis  
extruxit

Anno † Dni

MDCXXIX

<sup>1)</sup> W r. 1895 te pamiątkowe figury przez starozakonnego nabywcę domu zostały usunięte i zniszczone

Przepisywanie tablic erekcyjnych nie jest rzeczą zbyt cenną. Papier trwalszy bywa tym razem od marmuru. Po niejednej z pamiątek staromiejskich, których zaniedbano w czasie właściwym przepisać lub opisać, ślad nawet zaginął. Nieopodal naprzykład domu Busserowskiego na kamienicy nr. 14, herb jakiś wycięty w kamieniu, tak się już zatart, czy też został zatarty, że dziś czytelnicy runów skandynawskich odgadnąćby go nie potrafili.

Ten sam los grozi płycie marmurowej pod nr. 16. Klimat nasz, wrogi dla marmurów, przegryzł już zwierzezną, wygładzoną warstwę kamienia, którą Włosi nazywają „naskórkiem,” i niektóre z głosek zrobił nieczytelnymi. Póki czas, śpieszę osnowę napisu ocalić. Jest on świadectwem służącej ongi domowi temu liberacyi.

Regis et Reipublicae  
beneficio  
sum liberata  
ab  
hospite ex officio  
oneribusque  
civilibus et militaribus  
Constitutione Regni 1676.  
Restaurata  
Anno D. 1817.

Gołębiowski w swoim „Opisaniu Warszawy” przytacza inny na kamienicy tej napis. Podług niego: „wielkimi złoconemi literami, przedzielającemi piętra,” wypisane tam było co następuje:

Adsto vestibulo templi, sic res mea tuta  
Ne collapsa ruam sustinet ipse Deus.  
Regia Sarmatiae meliores construet aedes  
Si caveant cives hospitis officio.

Kamienica ta jest jedną z czterech na Świętojańskiej, które różnymi czasy libertowano. Oprócz wspomnianego już wyżej domu biskupów Poznańskich,

zapisane zostały w konstytucjach (od 1550 do 1683 roku, wydanie M. Ładowskiego) trzy następujące libertacje:

1-o. „Kamienicy, Falkiewiczowska nazwanej, od gości *ex officio* tak podczas sejmu i wszelakich zjazdów publicznych, jako i bez sejmu, także *ab omnibus oneribus civilibus* i od żołnierzów;”

2-do. „Kamienicy urodzonego Karola Zabrzeskiego od wszelakich *ex officio* stanowisk;”

3 io. „Kamienicy Badowskiej od gościa *ex officio*.”

Kamienicą „Falkiewiczowską” jest właśnie ta, o której mówimy. Wcześniej jeszcze zwała się ona „Kowalkowską,” znajdowała się bowiem w posiadaniu rodziny Kowalkowskich.

Nad wejściem do ulicy Piwnej (prawie wszystkie bowiem posesye po tej stronie ulicy są przecho-dnie) widzieć można dużą, zatartą już i zamalowaną tarczę z koroną i rokiem 1718. Ta korona jest znakiem dostojęństwa, który służył tak zwanym „metrykantom.” Aż czterech metrykantów było kolejno posiadaczami tej posesyi.

Do domu pod numerem 16 przywiązane jest wspomnienie o długoletnim jego mieszkańcu i właścicielu: Walentym Skorochodzie Majewskim. Była to jedna z najwydatniejszych postaci naszego miasta w pierwszej połowie bieżącego wieku. Cenili ją znawcy za wiedzę głęboką i szanowali współobywatele dla wielkiej prawości charakteru. Zwracała też na się uwagę publiczną niezwykłym a solennym wyglądem.

Majewski, jako niezmordowany szperacz archiwalny, zamiłowany w badaniach, starożytnik i doskonały znawca przeszłości, jeszcze za Stanisława Augusta piastował godność głównego archiwaryusza metryk koronnych. Następnie został metrykantem koronnym Królestwa Polskiego. Nie inaczej też nazywali go mieszkańcy warszawscy, jak „panem metrykantem.”

Prócz działalności urzędowej, „pan metrykant”



rozwijał inną, szerszą i donioślejszą, na polu czystej nauki. Znając dobrze języki wschodnie, odbywszy studia gruntowne w licznych rozprawach ujawnione, nad sanskrytem, poświęcił się z zapałem badaniom początków plemienia słowiańskiego. Wywodził je od Indów, z poetycznej doliny Kaszemiru... Ciekawe to było i piękne—wywodów jednak uczonego badacza nikt słuchać nie chciał. Majewski rozdawał darmo broszury swe—i to nie pomagało...

Wójcicki w swej „Społeczności Warszawy” nakreślił następujący wizerunek Skorochoła Majewskiego, metrykanta, rejenta i członka Towarzystwa przyjaciół nauk:

„Od pierwszego roku naszego stulecia z jednego z domów głównej naówczas ulicy Świętojańskiej ukazywała się codziennie w porannych godzinach wyniosła postać, przechodząca poważnie do kościoła katedralnego św. Jana na Mszę świętą. Postać ta, gdy tylko wychyliła się z sieni owej kamienicy, zaraz odbierała ukłony od wszystkich przechodniów. Był to Walenty Skorochód Majewski.”

Dwie kamienice: nr. 18 i 32 (ostatni zaliczony już dziś do Krakowskiego Przedmieścia) przez półtrzecia wieku były własnością „Bractwa miłosierdzia,” oraz stworzonego przez to bractwo szpitala św. Łazarza.

I bractwo i szpital założone zostały przez Piotra Skargę w r. 1590.

Szpital otrzymał pierwotnie od fundatora swego miano „Szpitala gnojowników.” Źródłem tej nazwy była okoliczność, że w dawnych wiekach panował wstrętny zwyczaj leczenia pewnego rodzaju chorych przez umieszczanie ich w odpadkach stojących. Dodajmy, że pomimo założenia szpitala, zwyczaj ten przetrwał niemal do końca wieku zeszłego. Autor satyry zjadliwej, wydanej w Londynie w r. 1740 p. t. *Varsovie ridicule*, pisze:

. . . ce qui m'ôte la parole,  
 C'est de voir dans plus d'un fumier  
 Des hommes jusques au gosier  
 Y suer la grosse v.....  
 Infame et degoutant remède,  
 Honteux et dangereux poison!  
 Lequel de vous sur l'autre excède:  
 Du mal ou de la guerison?

Duża kamienica w pobliżu placu Zamkowego, łącząca w jedno dwa numery hipoteczne (23 i 24) dziś własność Krennów, znajdowała się przez czas długi w kolejnem posiadaniu Witthofów i Riaucourt'ów.

Obie te rodziny, a zwłaszcza pierwsza z nich, w dziejach Warszawy wydatną odegrały rolę.

Witthoffowie kilkakrotnie występują na liście ojców miasta i dygnitarzy Starej Warszawy. W wieku XVII-ym Gerhard Witthoff piastuje po wielokroć razy (*multoties*, jak głosi napis na kamieniu nagrobnym w katedrze) godność burmistrza i wójta (urzędy te były wybieralne), co dowodzi, jak wielką cześć i zaufaniem darzyli go współobywatele. Umarł on w r. 1694 w 73-im roku życia i pochowany jest w podziemiach u św. Jana.

Ten właśnie Gerard posesyę tę wznioł — czego świadectwem była znajdująca się tu ongi w murze tablica marmurowa. Sobieszczański w notatkach swych treść jej podaje, nadmieniając, że już za jego czasów nie istniała. Wedle niego, napis na tablicy owej brzmiał:

*Supremo Divini honori Publico Antiquae Varsaviae decori Incolatui haeredum commodo Nobilis ac spectabilis dominus de Gerhardus Withof, civitatis hujus Proconsul, Inito cum nobili Marianna Karczewska, secundi matrimonii voto, opus hoc Anno MDCLXXXI inchoatum ac A. D. MDCLXXXII electus advocatus, completum, dat, dicit, dedicat acviternae.*

Równie czezony i miłowany był syn Gerarda, Franciszek. Wybierano i jego, podobnie jak ojca, na burmistrza czyli „prezydenta” Starej Warszawy.

Lud warszawski nazywał go „bogaczem.” Posiadał w samej rzeczy majątek duży, złożony z kilku kamienic, gruntów za murami i kapitału.

Trafili do tego wszystkiego—Jezuici.

Syn „bogacza” Stanisław, wychowywał się w szkole Jezuickiej, mieszczącej się podówczas w dość szczupłym budynku, zwanym „Klasztorkiem.” Zręczni preceptorowie potrafili natchnąć serce młodzieńca taką miłością dla zakonu, że, wyrzekłszy się wszelkich pońęt świata i otwartej przed sobą drogi zasług obywatelskich, przywdział sukienkę duchowną. Ojcowie obłowili się przy tej sposobności znakomicie.

Stanisław Witthoff umarł w r. 1727, wystawiwszy przed śmiercią ojcemu swemu piękny pomnik w katedrze. Napis na tym pomniku (wmurowanym tuż pod skromną a piękną płytą, pamięci muzyka Asprilli-Pacela poświęconą) skreślony jest w zagmatwanej i napuszonej, iście jezuickiej, łacinie. Czego w napisie tym niema! Występuje tam nawet „Syrena warszawska,” śpiewająca pieśń żałobną nad zmarłym...

Riaucourt'owie byli spokrewnieni z Witthoffami. Jeden z nich, ożeniony z siostrą Stanisława, uczcił prymicye jego uczcią, na której było pełno dygnitarzów duchownych i świeckich, biskupów, senatorów i ministrów z prymasem Potockim na czele. Po uczcie, każdy z biesiadników otrzymał od amfitryona na pamiątkę dnia tego kosztowny upominek.

W katedrze (która jest marmurową kroniką Starej Warszawy) znajduje się pomnik barona Piotra de Riauourt, szambelana Augusta III-go, zmarłego w roku 1768. Pomnik ten wystawił mu syn jego, Andrzej. Ten ostatni człkiem być musiał wielkiej pychy, bo wyliczenie dostojenstw jego i tytułów zajmuje na płycie pomnikowej znacznie więcej miejsca, niż „epitafium” nieboszczyka.

Ten to chełpliwy pan, tytułujący się już hrabią (*comes Sacri Imperii Romani*), był jednym z dwóch

najpierwszych w mieście naszym bankierów. Drugim był Adam Ziemann. Riaucourt miał kantor swój na Świętojańskiej, we własnej kamienicy; Ziemann na Podwalu pod nr. 497.

Nad wejściem do obocznej posesyi (nr. 25) czyta się wyrzeżany w kamieniu napis:

*J. B. G.*

*empta*

*1666.*

Łitery są inicjałami jednego z Gizów, rok zaś oznacza datę nie wzniesienia, lecz nabycia domu przez tę słynną rodzinę patrycyuszów warszawskich. O Gizach mówić będę na innem miejscu, przy opisie Rynku staromiejskiego.

W domu tym, jak niesie podanie, przemieszkiwał kilkakrotnie Stefan Czarniecki.

Ulica Świętojańska nie zawsze była, jak dziś, wyłącznie targowiskiem skór wyprawnych.

W wieku XVI-ym, w jednym z domów wprost katedry (a więc pod nr. 19 lub 20) mieściła się tu jedna z pierwszych w Warszawie aptek. Była ona zapewne współczesną aptecę utrzymanej przez Jezuitów w kolegium, do której wchodziło się od Rynku. Dodajmy przy sposobności, że najpierwszą w naszym mieście była apteka „Królewska,” mieszcząca się w Zamku.

Na Świętojańskiej również znajdowała się jedna z najdawniejszych księgarni, którą utrzymywał Nawarski. W początkach wieku bieżącego istniały tu dwie księgarnie: Józefa Pukszty pod nr. 25 i wdowy Szczepańskiej pod nr. 12. Jeszcze około roku 1850 jest tam księgarnia Manickiego (nr. 12) i Nowoleckiego (nr. 19*ab*).

Drukarni było również dwie: „Korespondenta warszawskiego” (pod nr. 8) i wspomnianego Pukszty, tam gdzie i księgarnia.

W kamienicy narożnej od placu Zamkowego (nr. 27) mieścił się przez czas długi, bo więcej niż przez jedno stulecie (od połowy XVIII-go do połowy XIX-go wieku) sklep zegarmistrzowski słynnych Gugenmusów, kolejno: ojca, syna i wnuka. Najgłośniejszy z trójcy tej był Gugenmus syn, używający tytułu *horloger du Roy* i wypisujący ten tytuł na wyrabianych przez się zegarach i zegarkach.

Za Stanisława Augusta, Gautier utrzymywał najznacześniejszy skład sukna w kamienicy własnej pod nr. 25. Później nieco miała takiż sam skład wdowa Weichertowa we własnym domu pod nr. 29.

Przepełniające obecnie ulicę Świętojańską sklepy skór nie są nabytkiem czasów najnowszych. Stwierdza to fakt, że już przed rokiem 1840 znajdowało się tam aż dwanaście takich składów. Dla ścisłości przepisuję je tu ze współczesnego kalendarzyka informacyjnego: Glinka (nr. 23), Grabowski (19*ab*), Grabowski P. (88), Heidenbruch (15), Bracia Lampe (18, Liedtke (8), Minde (8), Müller (27), Rebandel (21), Stasiakowski (27), Szlenker (11), Vollnagel (6).

W jednej z kamienic wprost Zamku, a więc w pobliżu Pivnej, miał swój sklep w XVIII-ym wieku cukiernik Baltresca. Mianuje on się w ogłoszeniach „wnukiem Gambakurty,” z czego wnosić można, że i Gambakurta musiał być niegdyś osiadłym w Warszawie, a w swoim rodzaju znakomitym słodyczorobem. Cukiernie zaś zeszłowieczne mało snadź były podobne do dzisiejszych, skoro ów Baltresca zawiadamia publiczność, że oprócz ciast i cukrów, sprzedaje u siebie „pomadę do rośnienia włosów,” oraz „ciasto do zębów chędożenia.”

Nareszcie istniały na Świętojańskiej w początkach tego wieku dwa „handle win i korzeni:” Wincentego Sommera pod nr. 2, w starej *Mansionarii*, i Karola Tuguta pod nr. 30, na rogu Pivnej.

U tego ostatniego—powiada Wójcicki—„pan Skorochód Majewski obierał sobie beczkę *madziara* i co-



dziennie na wytchnienie po rannej pracy umysłowej, tu przychodził; wypijał małą buteleczkę swego wina, pogawędził ze znajomymi, nowinki miasta usłyszał i wracał do domu na obiad...”

#### IV.

### O ulicy Nowomiejskiej albo Gołębiej.

W aktach magistrackich, w taryfach starych, w *Voluminach legum*—Nowomiejska; w stosunkach codziennych, w mowie potocznej, w pobieżnych zipskach dziennikarskich — Gołębia. Zkąd ta dwuimienność? Ztąd, że lud każdy, a zwłaszcza lud warszawski, ma upodobanie w nadawaniu ludziom i rzeczom przezwisk. Nazwa urzędowa istnieje dla urzędu i lud spotyka się z nią tylko na papierach z pieczęcią; pomiędzy sobą posługuje się nazwą odrębną, przez siebie stworzoną i częstokroć dla siebie tylko zrozumiałą.

Nazwisko bywa często bezduszne i nie mówiące; przezwisko jest prawie zawsze pełne życia i malowniczości. Dla formalisty studnia na Tłomackiem będzie tylko studnią na Tłomackiem; dla ludu jest ona „grubą Kaśką”, a więc rzeczą prawie żywą, posiadającą charakter własny i samoistność.

W starej Warszawie, jak wogóle w starych miastach, nie kto inny, jeno lud, chrzciał domy, ulice i place. Jedne z tych przezwisk, adoptowane później przez prawo, stawały się nazwiskami; inne los zamykał nazawsze w nieuświęconych granicach gwary ulicznej. Przykładem pierwszych: Zapiecek, Dunaj, Krzywe-Koło i t. p.; przykładem drugich: Piekielko, Prochownia, Żydowskie Bielany i t. p. Za naszej już niemal pamięci, bo przed kilkoma dziesiątkami lat zaledwie, lud przechrzciał ulicę Gnojową na Celną (wedle je-

dnych od pobliskiej komory celnej, wedle innych od właściciela posesyi i ogródka Celnera) i przezwisko to przeszło do akt urzędowych.

Ale *vox populi* najwyraźniej ujawnił swą potęgę przy nazwisku małej uliczki, stanowiącej przedłużenie Mostowej do Wisły. Uliczkę tę, z przyczyny znajdującego się przy niej ongi więzienia gubernialnego, przezwał lud „Boleścią”, ponieważ jednak boleściwe to miano nie przypadło do smaku t. zw. „Komisyi brukowej”, więc dekretem, w roku 1784 wydanym, przemianowała Boleść na Poprawę. Nic to, niestety, nie pomogło: nazwa urzędowa pogrzebana została w aktach, a uliczka jak zwała się, tak dotąd się zwie Boleścią.

Z tegoż samego źródła powstawały podwójne nazwiska mieszczan, bardzo pospolite w wiekach: XVI-ym i XVII-ym. Występują wówczas np.: Zalewski *alias* Rysownik, Sękocki *sive* Wawro, Rutka zwany Wilk i t. p. W mieście i dla miasta byli oni z pewnością tylko: Rysownikiem, Wawrem, Wilkiem i t. p.

Otóż tą drogą i ulica Nowomiejska stała się Gołębią.

Przypuszczam, że gołębie, od których nazwę swą wzięła, były stałymi i licznie rozmnożonymi mieszkańcami zamykającej ją Bramy Nowomiejskiej. Ptaki te chętnie gnieźdzą się w starych murach, zwłaszcza obfitujących w załomy, otwory, wklęsnięcia, i jaknajbardziej oddalających się od dzisiejszego, gładkiego i prostolinijnego typu. Jestem niemal pewny, że całe ich stada ulatywały nad odwieczną, nietynkowaną budowlą bramy i nad kilkoma poblizkimi basztami i że spadały często na bruk ulicy, szukając żeru i gładząc dzioby o twarde kamienie.

Akta Starej Warszawy dowodzą, że ulica ta wcześniej zwała się Gołębią, niż Nowomiejską. Pod rokiem 1770-ym zapisano w nich: „*platea* Nowomiejska, *ante* Gołębia”. Nietrudno odgadnąć, że mia-

no Nowomiejskiej otrzymała ztąd, iż wiodła w stronę Nowego miasta, czyli Nowej Warszawy. Trudniejszym jest natomiast do zrozumienia, jakim sposobem w wieku XVII-ym istnieć mogły w naszym mieście równocześnie dwie ulice Gołębie...

A jednakże tak było.

Druga ulica Gołębia leżała w niewielkiej odległości od pierwszej, ale już za murami. Znajdowała się ona mianowicie w tyłach dzisiejszej Zakroczymskiej. Kronika kościoła po-Franciszkańskiego upamiętniła fakt, że pierwotny budynek kościelny (który był drewniany, miał dwie kapliczki i łączył się z drewnianym również klasztorem) stanął w r. 1646 pomiędzy placem Pocijowskim a uliczką Gołębią. Nie było to jednak toż samo miejsce, w którym kościół dzisiejszy stoi. Tamta budowla padła ofiarą najazdu szwedzkiego, a potem ognia, i śladu z niej nie zostało.

Dziś na ulicy Gołębiej nie ma gołębi, bo nie ma i bramy, w której one się gnieździły. Rozbierano ją częściami w latach: 1704, 1791, 1794 i 1818. Pozostał po niej plac pusty, którego część zajmowały dawniej stragany i budy, dziś zaś zajmuje tak zwany Bazar, stojący frontem do Podwala. Jedynym szczątkiem bramy tej dotąd zachowanym, jest kamieniczka pod nr. 164, przerobiona z baszty, która w skład ogólnej budowli wchodziła. Z ponad dachu tej kamieniczki wyziera zębaty, od starości poczerniały szczyt baszty, a okienka jej, na wysokości drugiego piętra, są wprost: oszklonemi strzelnicami.

Brama Nowomiejska zamykała ulicę, a zarazem stanowiła północny kres Starej Warszawy. Kościoły: Paulinów i Dominikanów leżały już za murami, a do jednego i do drugiego przylegały cmentarze grzebalne. Dalej rozkładała się Nowa Warszawa, *Nova civitas varsoviensis*, zamknięta z kolei naturalną granicą rzeczki Drny, dziś już nieistniejącej. Dalej zaś jesz-

cze biegi równoległe do Wisły gościniec publiczny, zwany ongi „Traktem Gdańskim”.

Brama Nowomiejska była największą i najobronniejszą z bram Starej Warszawy. Składała się ona z dwóch budynków oddzielnych, oraz z wydłużenia, które dochodziło do kościoła Paulinów i kończyło się furtą zamczystą. W połączeniu z przyległymi murami budynki te tworzyły jakby małą twierdzę.

Różnolitość bramy tej była powodem, że w wieku zeszłym i zaprzeszłym mawiano o niej w liczbie mnogiej: „Bramy nowomiejskie”. Tak na przykład w spisie dochodów miasta pod rokiem 1766 znajdujemy między innymi:

„Z wynajmu mieszkań i bud przy Bramach  
Nowomiejskich . . . . . złp. 2,697“.

Pierwsza z bram (licząc od ulicy Nowomiejskiej) była budynkiem piętrowym czworograniastym, z taką, dość wysoką, wieżą. Z prawej strony przylegała ona do kamienicy pod nr. 161, z lewej łączyła się z murem obronnym. Otwór jej zamykany był kratą, na noc opuszczaną. Na piętrze mieścił się początkowo skład broni i amunicji, następnie skład narzędzi ogniowych, wreszcie mieszkanie prywatne. Dół zajmowały drobne kramy kupieckie.

Druga brama za pośrednictwem baszty półokrągłej (dziś dom nr. 164) dotykała posesyi, zwanej Dworem Gdańskim. Posesya ta stanowiła prawy bok przejścia pomiędzy dwiema bramami, lewym zaś bokiem przejścia tego był mur, jeżący się trójcą baszt od strony Podwała. Brama druga była mniejsza od pierwszej, zamykała ją zaś, podobnie jak tamtą, żelazna, ruchoma krata.

Jak zwykle przed każdą z bram obronnych, znajdował się i przed Bramą Nowomiejską rów głęboki z mostem zwodzonym. Niezależnie od tego, plany najdawniejsze pouczają nas, że ze zwartego pierścienia murów obronnych wychodziła w tem miejscu odno-

ga, zasłaniająca szpital Ś. Ducha, tuż przy kościele pod temże wezwaniem, a wprost ulicy Mostowej, zwanej przez długi czas Łazarzową. Ulica Nowomiejska zamknięta była w tem miejscu po raz trzeci bramą, najmniejszą pod względem wymiarów, która też nosiła pospolicie miano „furty”.

Jeszcze w końcu wieku XVII-go mieszczanin warszawski, gdy minął dwie bramy nowomiejskie, spotykał przed sobą widok posępny. Wśród stłoczonych w tem miejscu budynków, w cieniu olbrzymim, przez wyniosłe mury i baszty rzucanym, wznosiło się po prawej ręce więzienie, „Wieżę marszałkowską” zwane, po lewej wspomniany już szpital, a przy szpitalu, tuż w zetknięciu się zaułka tego z Podwalem, krzyżami posiany cmentarz, z ponurą, ciężką i ku obronie wojennej przygotowaną bramą. Z poza muru wychylały się wieżyce dwóch kościołów: Ś. Ducha i Dominikanów, a zaraz za furta leżał nowy cmentarz, czerniały nowe mogiły i śmierć mówiła raz jeszcze każdej rzeczy i każdemu człowiekowi: *emento mori...*

Dziś miejsce cmentarza zajmuje duża kamienica pod nr. 502; wspomnieniem szpitala jest dom pod nr. 167, a po więzieniu marszałkowskiem pozostała posesya narożna od Mostowej, numerem 166 oznaczona.

Bramy Nowomiejskie rozebrane zostały jeszcze w zeszłym stuleciu, jedna z nich wszakże (środkowa) dotrwała do początków naszego wieku. Ostatnie jej pozostałości rozrzucono w roku 1818-ym. Były niemi trzy posesye, oznaczone numerami: 168, 169 i 503. Jedna z nich znajdowała się w dawnym międzymurzu, dwie dotykały murów starych bokami.

W taryfach z przed roku 1818 o posesyach tych czytamy:

Nr. 168. Dworek Piotrowskiego. Stajnie miejskie. Kamienica Kolczyńskiej.

Nr. 169. Kamienica miasta Warszawy.



Nr. 503. Kamienica miasta Warszawy. Stajnie miejskie. Kamienica Piekarskiego.

Po nabyciu przez rząd i rozebraniu tych trzech posesyi, utworzył się przy zbiegu Podwala z Nowomiejską obszerny plac pusty, na którym wyrosły zaraz, jakby z pod ziemi budy, kramy i stragany. Przez długie lata istniał tu targ, na którym, wedle źródeł współczesnych, sprzedawano: „drzewo, węgle, obręcze, klepki i tym podobne artykuły, przez włościan na furach przywożone”. Cegły z rozebranych budynków, pomiędzy którymi były i stwardniałe na granit szczątki starego muru miejskiego, przeszły: częścią do gmachu Teatrów rządowych, częścią do b. Pałacu Namiestnikowskiego na Krakowskiem Przedmieściu. Niebawem, prócz drewnianych klitek i stołów przenośnych, stanął tu budynek miejski murowany, w którym znalazło pomieszczenie 20 sklepów dla kupców i handlarzy. Wreszcie około r. 1870-go budy i stragany znikły doszczętnie, a miejsce ich zajął długi, jednopiętrowy bazar, przez sklepy i warsztaty całkowicie zajęty.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach historya Bramy Nowomiejskiej, o której to jeszcze powie dzieć trzeba, że w epoce pierwszego najazdu Szwedów ważną przy oblężeniu Warszawy odegrała rolę.

Dom pod nr. 166, o którym już wspominałem, z dwóch względów ma prawo do pamięci potomnych. Tu mieściło się przez czas długi więzienie zwane „Wieżą” lub „Kozą marszałkowską”; w tem też miejscu stała najpierwsza w Warszawie łaźnia.

Łażnią tą obdarzył miasto jeszcze w wieku XIV-ym Jan, książę mazowiecki — z faktem zaś tym łączy się ważna dla Warszawy pamiątka: wydanie najdawniejszego ze znanych i przechowanych przywilejów miejskich.

Szacowny ten dokument, ciekawy zarówno pod względem historycznym, jak gospodarskim i obyczajowym, godzien jest, aby go tu przepisać w całości.

Oto jego osnowa, w przekładzie z oryginału łacińskiego:

„W Imię Pańskie. Amen.

My, Jan z Bóżej łaski Książę Wizki, Warszawski, Zakroczymski, Pan i Dziedzic Ciechanowski, na wieczną rzecz pamiątkę, wszem wobec i każdemu w ogólności pragniemy, aby było wiadomo. Starając się miasto nasze do większego porządku doprowadzić i ciągle ulepszać, mieszczanom naszym, rajcom i całej zresztą gminie w rzeczonym mieście Warszawie osiadłym, dajemy pozwolenie zupełne na wystawienie za miastem wspomnianem blisko mostu (zwodzonego, na fosie przed bramą <sup>1)</sup>); urządzenie i wybudowanie łaźni. Gdy zaś ta będzie przez nich wystawiona i całkowicie ukończona, natenczas wymienieni mieszczanie i opłaty i całkowity dochód z tej łaźni corocznie i na wieczne czasy będą pobierać bez żadnej przeszkody na urządzenie i naprawę rzeczonego mostu. To jednak chcemy, aby w każdym tygodniu, jednego dnia, który nam dogodny będzie, albo który my sami z małżonką ukochaną wybierzemy, z całym dworem naszym, wolno nam było kąpać się w tej łaźni, bez żadnej pieniężnej opłaty.

Na dowód i upewnienie czego kazaliśmy niniejszy przywilej napisać i pieczęć naszą przywiesić.

Działo się i datowano w Zakroczymiu, w dniu Św. Anny, w roku pańskim 1376<sup>a</sup>.

Tu nie zawadzi objaśnić czytelnika, że łaźnia w życiu Słowian wogóle, a dawnych Polaków w szczególności, odgrywała ważną rolę, nietylko prywatną, ale nawet publiczną. Pierwszy wspomina o niej Nestor, kronikarz ruski, który w usta św. Andrzeja kładzie słowa następujące: „Gdym przybył do krajów słowiańskich, widziałem w nich rzeczy dziwne: łaźnie drewniane, a w nich piece kamienne, które mocno

---

<sup>1)</sup> Dwuznaczne to wyrażenie wprowadziło w błąd nawet tak znakomitego znawcę przeszłości Warszawy, jak Sobieszczański. Falszywie pojmując słowa „blisko mostu“ (*prope pontem*), nie wahał się on twierdzić (w artykule p. t. „Pochodzenie nazwisk ulic m. Warszawy“), że „most na Wiśle istniał zatem daleko wcześniej, niż Anna Jagiellonka o nowym w roku 1568 pomyślała, a w r. 1573 wystawiła“. Jestto niezgodne z prawdą, jakoż i sam Sobieszczański nigdy już potem omyłki tej nie powtórzył. (*Przyp. autora*).

rozpalają, zwlekają się do naga, polewają się ciepłą wodą i winnikami się chłuszczą tak mocno, iż ledwie żywi wychodzą. Lecz wyszedłszy, polewają się wodą zimną, która ich ożywia.” Był zwyczaj w dawnych wiekach, że młodzieńców, o niezbyt ciężkie przewinienie obwinionych, wprowadzano do łaźni królewskiej, gdzie sam panujący „ręką ojcowską” karę im wymierzał. Ztąd wyrażenie: „sprawić komu łaźnię.” Rycerze Świętopełkowi w łaźni napadli i poranili Henryka Brodatego. Wielkim miłośnikiem łaźni był Władysław Jagiełło, o którym Strykowski pisze:

Wina, miodu nie pijał, tak rzeźwo żył zawždy,  
Przedni się w łaźni mył abo na dzień każdy,  
A winnikiem się chwostał, mówiąc: *a je, je, je*  
Po litewsku—a w ciepłe na wierzchnicy zieję.

Używali wreszcie łaźni Zygmuntowie I-szy i II-gi—ale już na nich obyczaj ten się kończy. Gdy zarzucili go panujący, wygasać też począł i wśród magnatów. Jeszcze wszakże za Władysława IV-go szlachta i mieszczenie warszawscy „chwostali się winnikiem” nie tylko w łaźni miejskiej, ale i w prywatnych, które istniały w domach i dworach miejskich, oraz przy licznych w owe czasy gospodach. Dowodem wiersz współczesny, którego autor, wyszczególniając zalety gospód owych, mówi:

U Gąsiorka w Długoszowskim,  
U Kaliny też w Gizowskim  
Znajdziesz łaźnię z fontannami,  
Ogródeczek za oknami...

Odtąd stopniowo łaźnie upadały, coraz mniej znajdując zwolenników.

Jak urządzona była łaźnia parowa? Tak zupełnie jak dzisiejsze, zachowawcze „banie.” Na rozpalone silnie kamienie lano wodę, z której kłębami dobywała się para. W tej parze gorącej rozebrani do naga ludzie parzyli ciało, ażeby wywołać obfite poty

Górnicki w „Dworzaninie” kreśli (nawiasem zresztą tylko) dosadny łaźni takiej obrazek:

...„Jeden się tu maże gorzałką z mydłem, drugi maścią od urazu; więc ten puszcza bańki, a ów siecze się winnikiem; zaś wieła jeden: zalej! a drugiby rad, żeby drzwi uchylono...”

Gdy w roku 1577 łaźnię przy bramie Nowomiejskiej wypuszczano w wieczystą dzierżawę niejakiemu Baltazarowi Pierzchale, łaźiebnikowi miejskiemu (*balneator civilis*), zastrzeżono, aby bezpłatnie leczył (?) sługi miejskie.

Łaźnia ta spłonęła sama, czy też rozmyślnie spalona została podczas pierwszej wojny szwedzkiej. Zgliszcza jej sterczały aż do roku 1694, w którym nanowo ją odbudowano. Ale gdy i ta padła pastwą ognia, miasto łaźnię skasowało i na jej miejscu zwykłą kamieniczkę wzniosło.

W czasie powszechnego używania łaźni, a więc i znacznej zamożności łaźiebników, istniał w Warszawie oddzielny cech łaźiebniczy. Później zubożał on i rozwiązał się, a z epoki upadku jego pozostało przysłowie „obdarty jak łaźiebnik.”

Istniejąca dotąd pod numerem 164 baszta razem z przylegającą do niej, a rozebraną częścią Bramy Nowomiejskiej, zwana była od pierwszych lat XVIII wieku „Wieżą,” „Kozą,” albo „Kordygardą marszałkowską,” która to nazwa przeżyła o wiele rzecz samą. Od roku 1701 w budynkach tych mieściły się: kordygarda, odwach, oraz areszt straży marszałkowskiej, to jest znajdującej się przy boku marszałka wielkiego koronnego.

Nie trzeba jednak tej „Wieży marszałkowskiej” brać za jedno z inną, stanowiącą szczyłek murów obronnych, a której ślad dotąd oglądać można na załamaniu Krzywego - koła, w tylnym podwórzu domu numer 188. Ta ostatnia była wieżą nietylko z nazwy, ale i z kształtu.

Do kordegardy marszałkowskiej tych sadzano,



którzy jurysdykecy marszałka podlegali. Marszałek prznosił się za królem i sprawował władzę policyjną, oraz sądową w mieście, w którym przebywał panujący. Władza ta obejmowała zakres rozległy, granice zaś jej wskazywały tak zwane „artykuły marszałkowskie,” których istniało dwadzieścia. Najpierwszym obowiązkiem marszałka było: utrzymywać porządek i nie dopuszczać gwałtu w pobliżu osoby i dworu monarchy.

Marszałkom przysługiwało w pewnych wypadkach (naprzykład: za dobyte szabli na pokojach królewskich) prawo miecza; nader rzadko wszakże z niego korzystali. Kiedy za Jana Kazimierza, smutnej pamięci Hieronim Radziejowski ze Służką, podskarbin nadwornym litewskim zrobili rozruch nocą na Przedmieściu Krakowskiem, sąd marszałkowski skazał Służkę na „więzę i grzywny,” a Radziejowskiego na „bezeceństwo i głowę” (po dzisiejszemu: pozbawienie wszelkich praw i karę śmierci). Wiadomo, jakie następstwa wyrok ten za sobą pociągnął.

Jurysdykeya marszałkowska otwierała się na dwa tygodnie przed każdym sejmem, a na kilka dni przed przybyciem panującego w innych okolicznościach. Zwiastował ludowi otwarcie owo dźwięk trąby i głos woźnego, rozlegające się na głównych ulicach i placach miasta. Woźnemu towarzyszył oddział tak zwanych „węgrów marszałkowskich,” mając na czele instygatora marszałkowskiego. Zaraz po obwołaniu tem zaczynały chodzić nocami po Warszawie patrole, czyli „ronty,” złożone ze wspomnianych Węgrów, gwardyi pieszej i konnej, a także ułanów królewskich. „A kogo—mówi Kitowicz—zdybali na ulicy chodzącego po capstrzyku, albo w szynkowni, lub przez podłość odzienia, albo źle daną na pytania odpowiedź, porozumienie o sobie sprawującego, zabierali na swoje *hauptwachy*, a nazajutrz odprowadzali do kordygardy marszałkowskiej, przy Bramie Nowomiejskiej będącej, z której po justyfikacyi przed sądem marszałkow-



skim uczynionej, odebrawszy karę zasłużoną, byli uwalniani.”

Oprócz Węgrów marszałkowskich, do których należało: trzymać wartę przy kordygardzie i izbie poselskiej, odbywać nocne ronty i wyprowadzać na miejsce stracenia skazanych na śmierć z wyroku marszałkowskiego, posługiwały się jeszcze sądy marszałkowskie pachołkami, czyli milicyą m. Warszawy.

Słówko o tej milicyi.

Początkowo siłę zbrojną Warszawy, potrzebną tak do utrzymania porządku wewnątrz miasta, jak do zabezpieczenia się przed nieprzyjacielem zewnętrznym, tworzyli wszyscy mieszczanie, do noszenia broni sposobni. Każdy, kto przyjmował prawo miejskie, obowiązany był składać magistratowi muszkiet, oraz pewną ilość amunicyi. W basztach urządzone były arsenały miejskie, miasto posiadało własną fabrykę broni, własną prochownię i ludwisarnię. *Fraternitas Saggiariorum*, czyli bractwo łuczników, uczyło swych członków (a byli nimi prawie wszyscy mieszczanie) celnego strzelania, obchodzenia się z bronią i manewrów wojennych.

Z tego popołitego ruszenia wyłoniła się później milicya miejska.

W początkach zeszłego wieku milicya ta dzieliła się na dwie kompanie: polską i cudzoziemską. Pierwsza liczyła 50 ludzi. Ubiór jej był: suknia granatowa z amarantowym kołnierzem, buty safianowe żółte, czapka biała, przy boku szabla z ozdobną głowicą, broń krótka bez bagneta. Oficerowie mieli w ręku piki. Druga składała się z 60 ludzi i strój nosiła cudzoziemski: pończochy czarne, także trzewiki ze srebrnymi sprzążkami, spodnie do kolan aksamitne koloru amarantowego, kamizelkę długą białą ze złotymi galonami, na wierzchu rodzaj fraka z niskim aksamitnym kołnierzem barwy szafirowej, ładownicę przez ramię na białym pasie ze złotymi brzegami, w ręku sztuciec krótki, z szeroką kolbą, srebrem lub złotem

nabijany, na głowie kapelusz czarny trójgraniasty, niski, z białem piórem.

Jak widzimy, był to strój stosowniejszy do operetki, niż do służby praktycznej—tembardziej, że służba to była uciążliwa, pospolita i nie polegała na indyczeniu się i pawieniu. Za Augusta jednak Mocnego wszystko, co nosiło mundur, wyglądać musiało pstro, barwiście i teatralnie...

W końcu XVIII-go wieku już ta milicya zeskromniała i liczbą i wyglądem. Za czasów Kitowicza składała się tylko z dwudziestu czterech pachołków i jednego wachmistrza. Ubiór jej był: żółte żupany, błękitne, do kolan długie, katanki z wyłogami żółtymi, guziki białe cynowe; na głowie czapka wysoka z czarnym barankiem, z żółtym wierzchem, buty na nogach czarne z podkówkami, spodnie błękitne, pas takiż; ładownica czarna, skórzana, przy boku szabla w czarnej pochwie, karabin bez bagneta.

Sześciu pachołków wychodziło codziennie na służbę. Jeden trzymał wartę na ratuszu, jeden przed izbą sądową, jeden przed kordygardą. Reszta znajdowała się na pogotowiu w kordygardzie, „czekając—mówi Kitowicz—na obluz albo na jaki przypadek, porwać do kozy jakiego łajdaka, albo zwadliwą przekupkę.”

Z ostatniej doby sądów marszałkowskich pamiętnem zostało marszałkowstwo Franciszka Bielińskiego, który odznaczał się w równym stopniu zamilowaniem porządku i wyborną gospodarką miejską, jak nadzwyczajną pochopnością do ścinania głów i wieszania.

Inny znów tytuł do pamięci potomnych pozyskał marszałek Lubomirski, który w dniu 29 kwietnia 1780 roku rozsądził niesłychaną i jedyną w swoim rodzaju sprawę pomiędzy „Wielebnym Jmcią Xiędzem Janem Kocem, Szkół po-Jezuickich Filozofii profesorem,” a „Urodzonym Eugeniuszem Innocentym Kortonich, Obersztelejtnantem wojska koronnego,” prawującymi się z sobą o... kwadraturę koła!

Nie tak wielka, ile długa posesya przy zbiegu Nowomiejskiej z Podwalem, posesya tak szczelnie do kościoła po Paulińskiego przyrosła, że się zda jedną tworzyć z nim całość, ma również swą historję. A historia to najpiękniejsza ze wszystkich, bo z ducha miłosierdzia ludzkiego i bojaźni Bożej płynąca.

W tem miejscu aż do r. 1821 mieścił się najstarszy ze szpitali warszawskich: szpital św. Ducha. Założony w połowie XIV-go w., zajmował początkowo to tylko miejsce, jakie ma dziś posesya nr. 167 i dopiero później obszar swój powiększył.

Praojciec szpitali i wogóle instytucyj dobroczynnych warszawskich, nie był właściwie szpitalem dla chorych, ale raczej przytułkiem, czy „przytuliskiem” dla starców, kalek i nędzarzy.

Przywilej z roku 1425 nazywa go *Domus pauperum hospitalis*; w przywileju o pół wieku późniejszym występuje, jako *Oraculum Sancti Spiritus*; w dowodach urzędowych z końca XVI-go wieku zowie się z grecka: *Xenodochium sive Hospitale*; „Komisya porządkowa” daje mu miano „Szpitala miejskiego pod tytułem św. Ducha;” z chwilą opuszczenia ulicy Nowomiejskiej i zlania się w jedno ze szpitalem ubogich przy kościele P. Maryi przybiera nazwę dwoistą: „Szpitala miejskiego św. Ducha i P. Maryi,” wreszcie, przestawszy być miejskim, otrzymuje tytuł „Szpitala św. Ducha i P. Maryi dla starców.”

W podziw wprawia okoliczność, że tak niefortunnie wybrano miejsce na ów zakład dobroczynny. Dom, mający być schroniskiem cichem dla ludzi skołatanych życiem i zgnębionych chorobą, stał na krańcach miasta, tuż przy murze obronnym i już nawet po za bramą miejską. A jakby ci, którzy na progu wieczności stoją, sami przez się niedość o śmierci pamiętali, jeszcze im ją przypominały dwa cmentarze: jeden tuż za szpitalem, drugi zaraz przed nim...

W razie zbrojnego napadu na miasto, pierwsze kule nieprzyjacielskie rozbijać się musiały o owo przy-

tulisko, w modlitwie i rozpamiętywaniu śmierci zatopione. I w samej rzeczy, pierwsza wojna szwedzka omal nie sprowadziła zupełnej ruiny tak szpitala, jak połączonego z nim kościoła. Wówczas też kronika miejscowości tej zapisała dwa ważne fakty: oddanie kościoła księżom Paulinom częstochowskim i opasanie murem szpitala, świątyni, cmentarza i wszystkich zabudowań klasztornych. Mur, na półtora łokcia gruby i w strzelnicę zaopatrzony, wystawili zakonnicy własnym kosztem; dla wygody zaś miasta urządzono przejście z Podwala na ulicę Długą przez podwórze klasztorne. Klucz od furty mieli ojcowie u siebie i zamykali zaraz po zachodzie słońca.

Aż do połowy XVI-go w. owo *Xenodochium sive Hospitale* mieściło się w domu drewnianym i ciasnym, wiernie przytułek dziadowski wyobrażającym. Dopiero w r. 1544 magistrat, główny opiekun szpitala, nabył od mieszczanina Figury posesyę oboczną (dziś nr. 502) i połączywszy ją ze szpitalem, przystąpił do wybudowania dużego gmachu, w tych rozmiarach, jakie dziś posiada. Prawda wyznać nakazuje, że zyskali na tem najwięcej opiekunowie zakładu, najmniej zaś jego pupile...

Nowa posesya była przedewszystkiem tem, co dziś nosi miano „domu dochodowego.” Wynajmowano w niej mieszkania osobom prywatnym, trzymano na użytek publiczny magle i t. p. Jednocześnie ubodzy korzystali z jednej wielkiej izby, po bokach której znajdowało się 17 maleńkich, na kłódkę zamykanych, „komórek.” W komórkach, staruszkowie „z osobna sypiali y swoje schowania mieli,” do izby zaś przychodzili, aby pomodlić się i ugrzać, stał w niej bowiem oltarz i—piec wspólny.

„Biorą ci ubodzy leguminę, piwo y każdy po dwa szostaki na tydzień” — objaśnia akt urzędowy z r. 1766.

W początkach stulecia bieżącego to pomieszcze-



nie dla ubogich okazało się zaciasnem, rozszerzać zaś go nie można było „bez uszczuplenia dochodów dzierżawnych.” Wówczas też, jak już wspomniałem, połączono razem szpitale: św. Ducha i P. Maryi i umieszczono ubogich na Przyryнку pod nr. 1,884.

Dziś posesya po-szpitalna jest własnością prywatną. Wyzyskano ją tak skrupulatnie w kierunku dochodowym, że nawet dwa wejścia, istniejące dawniej od strony ulicy Nowomiejskiej, obrócone zostały na sklepy. Bawarya, herbaciarnia, szynk, sklep korzenny, bramy z norymberszczyzną, nawet lombard prywatny—wszystko tam w tej chwili znajdziecie.

Jest to zresztą jedyny dom na Nowomiejskiej, odznaczający się takim urozmaiceniem handlowem. Wszystkie inne zajęte są przedewszystkiem przez jatki, następnie przez jatki, w końcu — także przez jatki. Możliwość sądzić, że wszystkie bydłota, których skórą kupczą na Świętojańskiej, tu najpierw mięso swe na ofiarę ludziom złożyły...

Domy na Nowomiejskiej są bez wyjątku stare i noszą wyraźne a szacowne znamię archaiczności. Dwa jednak czy trzy zdążono już „zmodernizować.” Świeżo otynkowane, wygładzone, ufarbowane, wyglądają dla statecznego mieszczucha przyzwoicie, dla estetyka zaś i archeologa—ohydnie.

Aby niczem nie raziły popolitych, mieszczańskich gustów, pozbawiono te domy kamiennego u drzwi obramienia, wydarto z okienek nad drzwiami fantastyczne a tak piękne wzory z kutego żelaza, zatarto na murach każdy gzems nad miarę wystający, każdą ozdobę niedzisiejszą, każde znamię starożytne, będące wyrazem myśli, fantazyi lub swobodnego, artystycznego kaprysu, zastąpiono wreszcie ciężkie, zamczyste, blachą wzorzystą okute furty popolitemi drzwiami, pomalowanemi żółto lub czekoladowo, i ostatecznie porobiono z pięknych i poważnych budynków — dziwolągi.

Wandalizm ten rozszerza się coraz bardziej



w dzielnicy staromiejskiej, grożąc zupełnem pozbawieniem jej charakteru właściwego. Wobec małego najczęściej poczucia estetycznego samych posesyonatów, przeciwstawićby mu można jedynie wyższe, niż dotąd, wykształcenie estetyczne—budowniczych.

W samym niemal środku lewej (idąc od Rynku) połaci ulicy Nowomiejskiej, pod nr. hypotecznym 174, stoi dom „pod Panem Jezusem.” Figurę Chrystusa, rzeźbioną z drzewa i pomalowaną, umieszczono tu w oszklonej kapliczce, na wysokości pierwszego piętra i przystrojono wewnątrz sutemi równiankami z kwiatów papierowych. Przed kapliczką wisi latarnia, o sztybach kolorowych, w pewne dni kosztem prywatnym oświetlana. Dawniej koszt ten ponosili właściciele domu; dziś dzielą się nim dobrowolnie dwaj rzeźnicy, mający jatki w pobliżu.

Polichromiczna figura Chrystusa jest znacznie młodsza od kamienicy, którą zdobi. Liczy ona niewiele więcej nad lat sto. Jest to dzieło rzeczywistego artysty i odznacza się też prawdziwie artystycznymi zaletami. Wyrzezał je z drzewa Jakób Monaldi, Włoch, rodem z Medyolanu, sprowadzony do Warszawy przez Stanisława Augusta i postawiony na czele szkoły snycerskiej, przez tego króla założonej.

Podobna rzeźba zdobiła i sąsiednią kamienicę, ale w kolei czasów znikła kędyś bez śladu. Dziś tylko pusta wnęka w murze jest niewyraźnem jej przypomnieniem.

Co się tyczy samego domu „pod Panem Jezusem,” albo „pod Figurą,” należy on do najstarszych w mieście.

Libertacya z r. 1667 nazywa go „Szeleżyńskim *alias* Drewnowskim.” Widać ztąd, że należał niegdyś do rodziny Drewnów, dobrze zapisanych w kronice Warszawy. Jeden Drewno (Stanisław), komisarz warszawski i ławnik magistratu, w r. 1600 zmarły, ma piękną płytę nagrobną w Katedrze. Inny Drewno (Łukasz), zapewne syn poprzedniego, na pamięć potom-

nych zasłużył, jako energiczny i poświęcenia pełen „burmistrz powietrzny” Starej Warszawy w w. XVII. Urząd ten spełniał on w czasie okropnej zarazy, jaka miasto nasze nawiedziła za Zygmunta III-go, w latach 1623 i 1624.

Libertacya wspomniana wydana została „urodzonemu Stefanowi, Pisarzowi nadwornemu, dekretowemu wołyńskiemu. Metrykantowi kancelaryi W. Koronnej.” Uwalniała ona kamienicę jego „od gości *ex officio*, posłów cudzoziemskich, także żołnierzy podczas sejmku i bez sejmku i podczas wszelkich zjazdów publicznych.”

Dom „pod Panem Jezusem” w końcu wieku zeszłego był własnością Dobrowolskich, potem dostał się panu Müllerowi, a dzisiejszą jego posiadaczką jest pani Zdrojewska.

Drugą kamienicą libertowaną była ta, która dziś nosi nr. 172, w wieku zaś XVII-ym znajdowała się w posiadaniu najpierw Fukierów, następnie Czornów.

Kronika Starej Warszawy wspomina o dwóch Czornach, obu Janach, którzy urzędy magistrackie sprawiali. Pierwszy był w roku 1613 „szafarzem miejskim;” drugi, zapewne syn poprzedniego, doszedł najwyższej godności w magistracie, bo w r. 1688 obrany został burmistrzem Starej Warszawy.

W wieku XVIII-ym kamienica ta przechodzi na własność Szubalskich, i w rękach tej rodziny pozostaje aż do pierwszej połowy wieku bieżącego. Szubalscy nie pojawiają się na urzędach. Po pilnem poszukiwaniu, jednego z nich zaledwie znalazłem pomiędzy ławnikami — w roku 1702, w gorącej epoce drugiego najazdu szwedzkiego.

Późniejsza kronika tego domu jest wesoła, a przynajmniej hulaszczą. Za Augusta III-go odbywają się w nim bale publiczne, maskarady, wesela i inne zabawy, w urządzaniu których owe czasy celowały niewyczerpaną pomysłowością. Wodzirejami tamtej szopki

byli: Salvator i Hempel, dwaj Sasi, mistrzowsko w rzemiośle swem wyćwiczeni.

Co do trzeciej kamienicy libertowanej, nazwanej w konstytucyach (r. 1677) „Walbachowską, *ad praesens* Gizińską,” była nią prawdopodobnie kamienica, oznaczona dziś nr. 171, którą w lustracyi z r. 1655 zapisano jako własność Gizów, starej rodziny mieszczańskiej, nader często w dziejach miasta naszego wspominanej. Kamienica ta, aż do połowy bieżącego stulecia, należała do szpitala św. Łazarza; obecnie jest własnością prywatną.

Kamienica pod nr. 179 (narożna od Dunaju) była od najdawniejszych czasów „miejską”. Aż do pierwszych lat bieżącego stulecia zapisywana jest też w taryfach, jako „kamienica miasta Warszawy”. Ta jednak, którą dziś widzimy w tem miejscu, wystawiona została dopiero w r. 1780 na gruzach poprzedniej. Na czole tej kamienicy znajduje się dotąd tarcza w płaskorzeźbie, ongi z wyobrażeniem syreny, dziś zupełnie zatarta. Tu przemieszkiwali najczęściej burmistrze Starej Warszawy, tu również urodził się i umarł powszechnie szanowany prezydent miasta, De-kiert.

Jedno też potoczne wspomnienie jest do domu tego przywiązane. W nim to znajdował się (i znajduje dotąd, ale z gruntu przerobiony) typowy szynk staromiejski, którego wnętrze, pełne charakteru i Teniers'owej malowniczości, odtworzył Henryk Pillati na jednym ze swych najlepszych płócien.

Posesya oboczna (nr. 178), która ma drugi front od Dunaju Wązkiego, nazywała się w wieku XVII-ym „Balcerowską”. Pochodzenie nazwy tej zaciekawia.

Balcer, to nie nazwisko rodowe, lecz imię. Zna-czy ono toż samo, co Baltazar. Trudno przypuszczać, aby poważna rodzina mieszczańska miana takiego uży-wać mogła. Komuż jednak w takim razie służyło?

Może odpowiedzią na to pytanie będzie kilka pozytyj z rachunków miejskich, w których pod rokiem

1656 (data najazdu szwedzkiego) zapisano w różnych miejscach, co następuje:

„Balcerowi od konia zdechłego gr. 6”. — „Balcerowi od pochowania umarłych i koni zdechłych fl. 2 gr. 12”. — „Balcerowi od trupów chowania Nr. 22 fl. 1 gr. 6”. — „Balcerowi na chłopcy dla chowania zmarłych fl. 2”.

Był zatem widocznie ów Balcer mistrzem, czyli katem, do którego należały i podrzędniejsze obowiązki profosa.

Czy jednak lustracya z wieku XVII-go właśnie Balcera na liście posesyonatów umieszcza, nie ośmieliłbym się twierdzić napewno.

Właścicielem kamienicy czwartej od rogu (nr. 176) był niegdyś Orsetti. Kamienica ta ma nad drzwiami wykutego z kamienia baranka. Uwadze znawców polecają się piękne jej drzwi, z artystycznym okuciem żelaznem.

Kamienica pod nr. 175 zapisana jest w najdawniejszej lustracyi, jako należąca do Jurkowskiego. W roku 1784 jest własnością „sławetnej” Francowej. W taryfie z r. 1786 jako właściciel jej występuje Dmuszewski.

Pod numerem 173 lustracya z r. 1655 wskazuje nam kamienicę „Latosowską”, a pod 171 „Funkowską”. Zapisana w niej zaraz obok „kamieniczka Ptaszkiewicza przy murze” („ante Ludwika”) dziś już nie istnieje, a część jej terytorium zajął Bazar na rogu Nowomiejskiej i Podwala.

Po stronie przeciwnej, druga od rogu kamienica (Nr. 156) była niegdyś własnością Dzianotów, spolszczonych Włochów, którzy zwali się pierwotnie Giannoti. W r. 1646 przeszła na rzecz Kolegiaty (właściwie na utrzymanie kaplicy, zwanej „Dzianotowską”). W późniejszych taryfach występuje jako kamienica kaplicy Św. Trójcy. Aż do czasu, gdy stała się własnością prywatną, zarządzał nią senior księży Wika-ryuszów.

Niewielką, czwartą od rogu posesyę (Nr. 157) nazywa stara lustracya „kamieniczką Sawskich, pustą”. W epoce wojen, najazdów, morowego powietrza i pożarów gwałtownych, domy puste nawet w śródmieściu nie należały do osobliwości.

Kamienicę sąsiednią (nr. 158) posiadał pierwotnie Ginter, rajca magistratu Starej Warszawy. Potem była własnością księży Paulinów. Księża ci posiadali równocześnie siedm innych posesyi pod następującymi numerami hipotecznemi: 501, 1837, 1840, 1951, 1054, 1958 i 1962. Od początku tego wieku pozostaje w rękach prywatnych.

Jako posiadacze kamienicy pod nr. 159 (róg Krzywego Koła) występują: w w. XVII Tomasz Hawłoz, który około roku 1597 był rajcą Starej Warszawy; w XVIII Duval, słynny za Augusta II-go właściciel winiarni (mieściła się w nieistniejącym już domu „pod Gwiazdą”), ojciec pięknej Henryety a dziadek w prostej linii pani Orzelskiej, późniejszej księżnej Holstein-Beck; w XIX wreszcie Fastynowicz, Wiatrowski i inni.

W kamienicy tej, którą nazywano „pod Złotym orłem”, w roku 1763 otworzono drugą z kolei w mieście naszym kawiarnię. Utrzymywało ją w szczupłym mieszkanku na trzecim piętrze siedm siostr rodzonych. Dodajmy, że pierwsza kawiarnia, kilkoma laty wcześniejsza, istniała za Żelazną bramą, na rogu Granicznej i Targowej, odwiedzana zaś była wyłącznie przez Sasów. Na Gołębią poczeli chadzać i nasi, wdrapując się jednak na trzecie pięterko pokryjому i z pewnem zawstyżeniem. Kawa uważana była jeszcze wówczas w pewnych sferach za owoc prawie zakazany, za narkotyk upajający a niebezpieczny, jak haszysz później albo morfina...

W tejże kamienicy mieszkał podobno ksiądz Załuski, założyciel słynnej Biblioteki. Dostojnik kościoła, a zarazem namiętny zbieracz książek, wiódł tu żywot



anachorety, każdy grosz na zakup dzieł rzadkich przeznaczając.

Kamienica pod nr. 161 łączyła się bezpośrednio, jak już wyżej wspomniałem, z pierwszą Bramą Nowomiejską. Nosiła ona niegdyś miano „Wójtowskiej”, stała zaś właściwie w międzymurzu, to jest pomiędzy pierwszym a drugim murem, opasującym ongi Warszawę. Ściana, która ją dotąd od posesyi obocznej (nr. 162/3) oddziela, jest jednym z tych dwóch murów (zewnątrznym). Mur drugi, wewnętrzny, zniknął całkowicie w tyłach ośmiu posesyj na Krzywem-kole (Nr. 190 do 196 i 160).

O posesyi zwanej „Gdańską piwnicą” kilkakrotnie już wspominałem, powracać więc do niej nie będę. Granicząca z nią kamieniczka pod Nr. 164 należy do najoryginalniejszych, jakie posiada Warszawa, jest bowiem prosto: basztą starą, na dom mieszkalny obróconą. Zapisywano ją aż do pierwszych lat bieżącego stulecia, jako „kamienicę miasta Warszawy”; później przeszła na własność Stanisława Piekarskiego

Ulica Gołębia miała niegdyś postać odmienną od dzisiejszej.

Przedewszystkiem poziom jej był o trzy stopy od obecnego niższy. Kiedy w roku 1854-ym prowadzono w tej części miasta roboty wodociągowe, znaleziono w trzystopowej głębokości pod warstwą bruku, na wysypce ułożonego, ogromne głazy, dawny bruk stanowiące. Była tam jakby ulica pod ulicą.

Taż sama niespodzianka spotkała kopiących w Rynku Starego miasta i na Świętojańskiej. Ostatnia ulica miała bruk podwójny tylko na połowie swej długości, od strony Rynku. Bruk pierwotny leżał głębiej jeszcze, bo o 5 stóp poniżej obecnego poziomu.

Prawie we wszystkich domach na Gołębiej znajdowały się w dawnych wiekach sklepione loszki, czyli, jak mawiano wówczas, „sklepy” podziemne, rzemieślnikom na warsztaty, kupcom na składy towarów słu-

żące. Wszystkie te sklepy miały wejście wprost z ulicy.

W podziemiach owych mieściły się przeważnie pracownie ślusarskie, kuźnie i piwiarnie. Wejścia do nich, nie ogrodzone dostatecznie, przedstawiały wielkie dla przechodniów niebezpieczeństwo. Skłoniło to w drugiej połowie zeszłego stulecia komisję brukową do polecenia właścicielom, czy dzierżawcom loszków, aby je codziennie, zaraz o zmierzchu, równo z drogą zamykali.

Dziś prawie wcale już ich tam niema.

Na zakończenie, kilka wspomnień potocznych.

Przed półwiekiem jeszcze, a więc w epoce, bezpośrednio czasy nasze poprzedzającej, ulica Nowomiejska nie była, tak jak dziś, wyłączną siedzibą jatek rzeźniczych. Mieściło się na niej wiele innych sklepów, fabryk i warsztatów.

Tak zwanych „handli win i korzeni” znajdowało się tu naówczas aż cztery: pod nr. 159 Puczyńskiego, pod nr. 161 Sokołowskiego, pod nr. 167 Wasilewskiego i pod nr. 172 Kacperkiewicza.

Pod nr. 176 istniała fabryka guzików Jana Kugla; pod 160 fabryka narzędzi muzycznych Józefa Horalika; pod 175 fabryka mydła i świec Tobiasza Kryszewskiego,

W epoce dawniejszej, jeszcze za czasów istnienia Bramy Nowomiejskiej, w samej bramie miał księgarnię, jedną z najstarszych u nas, Szczepański. Tamże mieściła się równocześnie apteka.

Nareszcie owa słynna Gdańska piwnica, z którą złączyła się na zawsze pamięć świetnej przeszłości handlowej naszego miasta, oraz bohaterskiego wtrągnięcia Czarnieckiego do zajętej przez Szwedów Warszawy, wplotła w owej epoce do wawrzynów swoich dwa listki — bobkowe...

Tu Niemiec pewien, którego nazwiska historia nie przechowała, wypiekał najpierwsze w Warszawie—rogale; tu także mieszkał Włoch nazwiskiem Mangia-

ni, najpierwszy również, a przez długi czas i jedyny u nas, wytwórca — salcesonów włoskich.

## V.

### O Warszawie jako stolicy.

W ostatniem dziesięcioleciu XVI-go w. spełnił się fakt w dziejach Warszawy najważniejszy: została stolicą Rzeczypospolitej.

Nie można z bezwzględną ścisłością oznaczyć roku, w którym to się stało. Ani *Volumina Legum*, ani dziejopisowie współcześni, ani nawet potoczeni pamiętnikarze nie o tem nie mówią wyraźnie. Ważny ten wypadek jest jakby umyślnie przez wszystkich przemilczany.

W braku innych danych, data sprowadzenia się Zygmunta III-go do Warszawy w r. 1596 uważana jest za datę przeniesienia stolicy. Tę datę zapisał w swem dziełku pierwszy z historyków Warszawy, Gołębiowski. Za Gołębiowskim powtórzył ją Sobieszczański; za ostatnim prawie wszyscy o Warszawie piszący.

Nie wytrzymuje wszakże krytyki ani ta data, ani popierać ją mający argument. Zygmunt III przybył w r. 1596 do Warszawy i w niewygodnym Zamku warszawskim osiadł nie dla tego, aby miał przenosić z sobą—gdzie? w rękę, czy w szkatułce podróżnej?—stolicę, lecz z tego prostego powodu, że chwilowo, wskutek spalenia się zamku w Krakowie, był pozbawiony przystojnego dachu nad głową.

Co do nas, idziemy za Weinertem, który datę ustolecznienia Warszawy przeniósł na rok 1598. Dlaczego to uczynił i dlaczego uznaliśmy jego hipotezę za najzasadniejszą, powie się o tem w miejscu właściwem.

Rozpoczynamy od historycznego portretu monarchy, który w wielu innych przedsięwzięciach mało fortunny, dla Warszawy jednak miał rękę szczęśliwą.

### I. Zygmunt III.

Są życia, których zagadkę dopiero śmierć rozwiązuje: są inne, do których kluczem bywa — urodzenie.

Życie Zygmunta III-go należy do ostatnich.

Od murów więziennych, wśród których król urodził się i niemowlęctwo swe spędził, padł cień na jego duszę i zmroczył ją na wszystkie dnie żywota. Wypłynęły ztąd dwa główne znamiona charakteru królewskiego: ponurość i zaciętość.

„Krew Jagiellońska,” której Polacy z takim uporem doszukiwali się w Zygmuncie i po którą stali posłów za morza do zimnej, posępnej i zgoła obcej sobie Szwecyi, była w rzeczywistości tylko heraldycznym frazesem. Nie z tego wszystkiego, co znamionowało Jagiełłów, nie posiadał w sobie syn Jana III-go Wazy. Przybył on do Polski obcy krajowi i społeczeństwu, i obcym aż do końca długich, półwiecznych blisko rządów pozostał.

Potomek królów po mieczu i kądzieli stworzony był niezawodnie na monarchę; istniał wszakże wśród licznych tronów Europy jeden najzupełniej dla niego nieodpowiedni, i o który nigdy nie należało mu się kusić. Ślepy czy też ironiczny los posadził go na tym właśnie tronie.

Zygmunt z Rzeczpospolitą Polską tworzyli stać do niedobrej i od dnia ślubu aż do śmierci żyjące w ciągłej rozterce. Ale do dziwnych, choć zwykłych zjawisk należy, że stała takie, nieustannie grożące sobie rozwodem, żyją z sobą bardzo długo. I Zygmunt, wybierający się nieustannie do Szwecyi, dotrzymał jednak przysięg małżeńskich i aż do śmierci wiernym oblubienicy swej pozostał.

Powtórzył się też zwykły w podobnych stadłach wypadek. Małżonkowie, wydrapujący sobie oczy, gdy są we dwoje, rzucają się z paznogciami na trzeciego, gdy na które z nich uczynić chce zamach. Dostało się porządnie w podobnym wypadku butnemu Karolowi Sudermańskiemu; dostało się też—nieborakowi Piekarskiemu.

W ciągu czterdziestu sześciu lat panowania Zygmunta dużo się w Polsce działo—samego jednak króla nigdy prawie nie widzimy działającego. Gdy cokolwiek czyni, to tylko ujemnie, przeszkadzając raczej i niweczając, niż dając pomoc i budując. Pewnie też wskutku tego, mimo przesadnej powagi, którą się otacza, jest osobistością prawie nieznaczną i przypomina mimowoli jasełkowego króla w „Hamlecie.”

Napróżno królewicz duński mówi nam wciąż o wielkich, prawie szatańskich niegodziwościach swego ojczyma; ile razy wystąpi on na scenę, zamiast Demona, widzimy — maryonerkę w tekturowej koronie, z przyprawioną brodą, ze szklanemi oczyma. Takim wydaje nam się i Zygmunt, a wrazenie to potęguje sztywna jego postać, oraz twarz o rudym, zawsze jednako ułożonym zaroście i tonach woskowych, właściwych blondynom, z odcieniem włosów miedzianym.

Do roku 1607 pierwszą osobą w Polsce nie jest król. Jest nią Zamoyski. Mąż ten olbrzymią swą postacią wypełnia kraj, nie pozostawiając w nim miejsca dla Zygmunta. Jest to jedna z przyczyn, dla których monarcha, spychany ze wszystkich pól szachownicy politycznej przez kanclerza, kryje się w najciaśniejszym kątku życia dworskiego, gdzie ma przy sobie żonę Niemkę, dzieci, mówiące po niemiecku, pokojowców niemieckich, takąż straż przyboczną, oraz swego ministra w spódnicy: Urszulę Meyerinn, będącą najwyższym wyrazem niemieckości.

Zamoyski czeka dotychczas na godnego siebie historyka i poetę. Postać to wspaniała, jedna z największych nietylko w Polsce, lecz i w Europie. Nie



przesadza Niegoszewski, gdy na cześć Zamoyskiego pisze sześć dytyrambów w sześciu językach, tytułując: hebrajski „Gedeon,” grecki „Epamiuondas,” łaciński „Fabius Maximus,” hiszpański „Gonsalvo Hernandez de Corduba,” włoski „Marco Antonio Colonna,” polski „Jan Grabia z Tarnowa.”

Wszyscy zgadzają się, że ten mąż genialny mógł być być królem polskim. Stała podobno temu na przeszkodzie pycha, będąca często słabizną wielkich ludzi. Zamoyski chciał być czemś więcej, niż królem: chciał być takim, co królów tworzy i unicestwia. Dokazał pierwszego, osadzając na tronie polskim najpierw Batoro, potem Zygmunta; dokazał drugiego, biorąc w niewolę Maksymiliana austriackiego, przycierając rogów Karolowi Sudermańskiemu i wlokąc przed „sejm inkwizycyjny” Zygmunta III-go.

Długa, zawzięta walka, którą toczył Zamoyski z Zygmuntem, była nie tylko wynikiem politycznych racyj; była ona też koniecznością psychiczną i fizyologiczną. Trudno wyobrazić sobie ludzi bardziej różniących się nastrojem duchowym i temperamentem, niż ten król i ten kanclerz. Dość przypatrzeć się ich obliczom na portretach, rycinach lub medalach. Twarz króla jest jakby maską raz na zawsze do jednego wyrazu ułożoną: wielkie, senne oczy znamionują umysł ociężały; zaciśnięte, prostolinijne usta mówią o nadzwyczajnym uporze. Na twarzy Zamoyskiego widać za ledwie powstrzymaną burzę: włosy jeżą się nad czołem, jak u lwa gniewnego; wykrzywione wargi drgają oburzeniem; wąs zwieszony—widać go niespokojna ręka nieustannie na dół pociąga; siwa, rzadka broda szorstkim wieńcem okala twarz, w której niema nic zniewieściałego, ani zastygłego.

W duszach i temperamentach te same sprzeczności. Król jest flegmatykiem, Zamoyski sangwinikiem; król milczek, Zamoyski krasomówca; król powolny w myśleniu i działaniu, Zamoyski we wszystkim, jak iskra, poryweczy; król skryty i do celu idący podkopa-

mi, Zamoyski ma zawsze na ustach to, co w myśli, i walczy nie inaczej, tylko z podniesioną przyłbicą; mistrzem króla jest Machiavelli, mistrzem Zamoyskiego Plutarch; o nauce króla wiemy niewiele i rzeczy niewielkie, Zamoyski ma w zanadru dyplom na rektora Akademii Padewskiej.

Jednakże król przetrwał Zamoyskiego. To, co się tli, zawsze trwa dłużej od tego, co wybucha płomieniem. I nie tylko król przeciwnika swego przetrwał, ale go nadto — zmógł. Gdy ważny jakiś urząd obsadził po swojemu, wbrew mądrym wskazówkom kanclerza, zgryziony tem Zamoyski, legł na łożę, a niebawem i do trumny. Zeszedł on Zygmuntovi z drogi w 63 roku życia, a mógł być i powinien był żyć całe stulecie.

Od skrytości krok tylko jeden do fałszu, a fałsz leży tuż obok zdrady. Skryte konszachty Zygmunta z dworem austrijackim pozostaną na zawsze na sumieniu króla plamą niewywabioną. Można zdjąć z głowy koronę, gdy na nią zbyt przestronna, lub gdy ją boleśnie uciska, ale frymarczyć taką świetnością, nie będąc w dodatku jej prawym posiadaczem — grzech śmiertelny.

Nie brakło wiekowi Zygmunta satyryków; owszem, ówczesny grunt polityczny, społeczny i religijny wyjątkowo sprzyjały satyrze. Wynajdowano dla króla przezwiska, wśród których owo historyczne „nieme dyable” należy jeszcze do najgrzeczniejszych. Na jednym z satyrycznych portretów Zygmunt miał długie, fryzowane włosy, a z każdego zwitka fryzury wyglądał — Jezuita.

To ostatnie przystrojenie głowy tłomaczy wiele — tłomaczy nawet może całego Zygmunta.

Wielkie błędy pierwszego z Wazów mają to do siebie, że w pewnem oświetleniu wydają się prawie cnotami. „Król — pisze Włoch pewien, sekretarz kardynała Gaetano — stara się wiarę katolicką ile może rozkrzewiać; gdyby od niego tylko zależało, nie by-

łoby w tem potężnem królestwie ani jednego kalwina lub lutra..." Jest dziś wielu, co nie przyjęłoby bez zastrzeżeń tej pochwały.

Syrokomla, opisując rymem swe wrażenia z Warszawy, takie słowa kładzie w usta śpiżowego posągu Zygmunta:

„Narodzie! narodzie!

Ja ten miecz wyostrzyłem, który cię przebodzie;

A ten krzyż—wyciosany ręką Jezuity...

Na ni'n za moje grzechy ty będziesz przybity.“

Zwykle czyny wojenne, spełnione za rządów danego monarchy, wiąże historia z jego imieniem. W stosunku do Zygmunta trzeciego jest to najzupełniej niemożliwe. Dziś przeczytać w tym względzie „Wojnę Chocimską” Potockiego. Gdy Chodkiewicz pod Chocimem czynił ostatnie wysiłki, aby oprzeć się przełamującej nawale Turków, król łudził go nieustannie obietnicą posiłków, których jednak ani myślał przysłać. Tkwiły w tem podobno jakieś wyższe „racye stanu,” których, co prawda, ani zrozumieć, ani usprawiedliwić nie można. Poeta, przez łyzy się śmiejąc, opowiada, jak goniec Żółkiewskiego, z rozpaczliwym listem wysłany, znalazł króla pod Lwowem, polującego spokojnie na zające. Zygmunt wziął obojętnie pismo hetmańskie i bąknawszy: „Przeczytamy to jutro” — schował, nie otwierając, do kieszeni łosiowych rajtuzów.

W zwięzłej charakterystyce, zamykającej trzytomowe dzieło o Zygmuncie III-im, wymienia Niemcewicz następujące najwydatniejsze znamiona jego charakteru: „Chwalebna, gdyby nie zbyt czarna, gdyby nie wyłączna gorliwość o wiarę; przesadzone wyobrażenie o władzy królewskiej, szczególnie w niczem nie mogącej być zmienioną prawości dziedzictwa; uleganie duchowieństwu i obcym; zaciętość w odzyskaniu berła szwedzkiego; długo zachowana obojętność dla Polski; łatwość w chwytniu się wielkich zamiarów, oziębłość

i opieszalność w wykonywaniu ich; obok wahania się upór, obok wyniosłości słabość; statek, wiara i uprzejmość w stadle małżeńskim; wyniosła niedostępność dla wielkich; dla domowników poufała łagodność, miłość i sprawiedliwość, prędko zapomniane niechęci, łatwo nawet przebaczone urazy...”

Trudno o miększy pędzel i staranniej dobrane farby, mimo to portret—nie zachwyca...

## II. *Poprzednie stolice Polski.*

Gdy Popiel w chwilach okropnego zgonu  
Karzającej zbrodnie doświadczył prawicy,  
Naród, chcąc znaleźć następcę do tronu,  
Zebrał się w pięknych równinach Kruświcy...

W Kruświcy mieszkał Popiel; pod Kruświcą obrano Piasta.—Kruświca zatem była pierwszą stolicą Polski.

Z tamtych to stron, z nad brzegów szeroko rozlanego Gopła, gdzie osiedli byli Polanie, wywodzi swój ród Polska. Tam jej gniazdo i tam jej kolebka. Dla uczczenia tak ważnej pamiątki, gdy już z chaosu nazw innych wyłoniło się ostatecznie nazwisko Polski, całą ową dzielnicę nazwano Wielką Polską.

Ale tę część pochłonął wkrótce rozrastający się organizm państwowy.

Mała, skromna, na uboczu leżąca Kruświca nie mogła pyszczyć się długo swą godnością. Ustąpiła ją niebawem innemu miastu, które, że było siedzibą *kneziów*, nazwano Gniezmem.

Znaczenie i historia Kruświcy były przez pół legendowe; Gniezno i jego dzieje są już najzupełniej historyczne. To miasto, dziś nieznaczne i niknące w obszarach królestwa pruskiego, odgrywało w swoim czasie rolę tak ważną, że czuło się w prawie narzucać nazwę swą państwu całemu.

Mówi o tem Bartoszewicz: „Oda, wdowa po Mieszku. bawiąc na wzganiu w Rzymie, sama dobrze

nie wie, jak ma nazwać to nowe państwo, które postanowiła darować stolicy apostolskiej; nazywa je tedy poprostu—*krajem Gnieźnieńskim*. Nie nazywa go Polską. Polanami, Polakami nie byli wtenczas inni Lechici, tembardziej Chrobaci, ani Mazury, ani Ślązacy, ani Kujawianie, ale wszyscy prawie należeli do jednego pana, do księcia, czy króla polskiego, który stolicę swoją założył w Gnieźnie i utworzył wielkie państwo Gnieźnieńskie.”

Grób św. Wojciecha i odwiedziny cesarza Ottona, uznającego króla w Bolesławie, dodają Gnieźnie powagi i blasku. Tu koronują się królowie polscy, aż do Bolesława Śmiałego. O tym ostatnim niewiadomo napewno, czy kładł koronę w Gnieźnie, czy też w Krakowie. W każdym razie, od ucieczki jego i powstałego ztąd zamieszania rozpoczyna się upadek Gniezna.

Już nawet za rządów Bolesława wychodzi na pierwszy plan Kraków. Król często w nim przebywa, bo ma ztąd blisko do krajów, z którymi wiążą go stosunki polityczne.

Potem, gdy już szala losów przechyliła się stanowczo na rzecz Krakowa, spostrzegamy nagle niezwykle zjawisko: stolica zaczyna być pojęciem względnem, nieprzywiązanem stałe do jednego miejsca. Zjawisko to powtórzy się i później i będzie jednym z osobliwych znamion politycznego ustroju Polski — tym razem jednak jest wyjątkowo rażące.

Władysław Herman i Bolesław Krzywousty prawie nieustannie przebywają w Płocku. Uważając za stolicę to miasto, które jest siedzibą monarchy, musimy tytuł ten, za panowania obu wspomnianych królów, przyznać — Płockowi. Nawet po śmierci Herman i Krzywousty nie rozłączają się ze swym ulubionym grodem; ciała ich, jak wiadomo, spoczęły w podziemiach płockiego tumu.

Przed śmiercią jednak Bolesława Kraków bierze ostatecznie przewagę nad innymi miastami i zo-



staje głową państwa. Godnością tą obdarza go akt podziału kraju pomiędzy synów Krzywoustego. Stary król, wedle wyrażenia Bartoszewicza, „rozdzielając, spaja.” Cztery pozostawił działy, a w nich cztery stolice — ani Płock jednak, ani Gniezno, ani Sandomierz, nie mają królować krajowi, lecz jeden Kraków. Ma on być punktem środkowym, skupiającym promienie odrębności narodowej wielkiego państwa.

Kraków zatem w r. 1139 zostaje stolicą Polski.

W mieście podwawelskiem królowie polscy koronują się, mieszkają i na sen wieczny kładą. Tu odbywają się sejmy i stanowią prawa. Tu jest ognisko władzy, bogaectwa, oświaty. Tu odprawiają się wjazdy uroczyste, wesela królów, zabawy rycerskie i mieszczkańskie uczty, których sławą rozbrzmiewa cała Europa. Tu jest mózg i serce narodu.

Ale było już przeznaczeniem Rzeczypospolitej, aby nigdy na ruchomym jej gruncie nie zupełnie trwałego nie wyrosło. Co pewien czas, występowały siły wrogie dla tej nowej stolicy, podkopując jej wagę i znaczenie.

Przedewszystkiem do walki wystąpiła dawna, zdetronizowana potęga: Gniezno. W Gnieźnie było ognisko władzy duchownej, mieszkał tam najwyższy przedstawiciel jej w Polsce — arcybiskup. Władza arcybiskupa gnieźnieńskiego rozciągała się na całą Lechię Chrobacę. Był on na swój sposób władcą kraju, władcą potężnym, potężniejszym niekiedy od monarchy świeckiego.

O znaczeniu arcybiskupa w ówczesnej Polsce pisze wspomniany już historyk: „Wpływ jego sięgał do wszystkich księstw, a był to wpływ bardzo silny, jak wogóle Kościoła w wiekach średnich, bo stawał się arcybiskup najwyższym stróżem wiary w całym narodzie i miał na każdą potrzebę w razie ostateczności straszną kłatwę... Arcybiskup więcej znaczył, niż najpotężniejszy książę Lechii, a nawet, niż sam najpierwszy godnością książę krakowski... Kiedy najpo-

tężniejszy książe znaćzył tyle, ile mógł, arcybiskup znaćzył tyle, ile chciał.. Gdy władza świecka rozprysła się i nie utrzymała w Krakowie, władza duchowna, płynąca z wiary, z ustawy Boskiej, ciągle odzywała się z Gniezna językiem nadziemskiej sprawiedliwości i siły."

Było więc Gniezno przez czas długi jakby drugą stolicą Polski i wiodło cichą walkę współzawodniczą z Krakowem. Przy sprzyjających okolicznościach, walka mogła być łatwo stać się głośną i niebezpieczną. Okoliczności te znalazły się.

Przemysław, książe wielkopolski, wzrósłszy w potęgę, zapragnął stworzyć nową silną, i nierozdzielną, Polskę. Punkt ciężkości tej Polski przesunięty miał być z południa na północ, z Chrobacyi do kraju najbardziej i najrdzenniejszego polskiego: do Wielkopolski.

Z chwilą, gdy arcybiskup Świnka ukoronował Przemysława na króla polskiego w Gnieźnie, gród ten wydarł Krakowowi pierwszeństwo i stał się napowrót stolicą kraju. Liczono, że Chrobacya zgodzi się sama ze spełnionym faktem, że siła narodowa skupi się wstronie Pomorza i przeciw będzie na północnych Niemców, że wreszcie Kraków uzna się dobrowolnie pokonanym i przyjmie z rezygnacją drugorzędną rolę miasta książecego.

Stało się inaczej. Wielka idea, zapowiadająca zupełny przewrót w politycznym organizmie Polski, upadła całkowicie ze śmiercią Przemysława. I jakkolwiek Wacław czeski również w Gnieźnie włożył na głowę przywłaszczoną koronę, nie to już Gniezno nie pomogło.

Koronacya Łokietka w Krakowie zerwała w jednej chwili cały, wytrwale snuty, wątek.

Kazimierz Wielki wyżej jeszcze podnosi i silniej utrwala królewskość Krakowa. Gniezno nigdy już od-tąd walczyć o przewagę nie próbuje, arcybiskup nawet zaczyna bywać tam gościem coraz rzadszym; w końcu przenosi się nawet całkowicie do Łowicza.

Długo trwa niczem nieprzyćmiona świetność Krakowa, aż za Jagiellonów występuje na widownię inny gród, żądny znaczenia: Wilno.

Wiele form politycznych, prawnych, obyczajowych rozdziela, w początkach zwłaszcza, Koronę od Litwy. Król polski jest tylko wielkim księciem litewskim i w tym podwójnym charakterze przebywać musi kolejno w Krakowie i Wilnie. Plemienne ambicje, występujące często jaskrawo z jednej i drugiej strony, zwiększają i pogłębiają ten dualizm. Rozumie się, że wiele spraw Litwy tylko w Krakowie załatwiać się daje — co znów dla Litwinów jest rzeczą z różnych względów niedogodną. Podróżować wogóle nie było wówczas łatwo, cóż dopiero podróżować z jednego krańca wielkiego państwa na drugi! Przytem „przyjaźń przyjaźnią, interes interesem...” Dla interesów zaś zawsze lepiej, gdy są między „swoimi” załatwiane.

Wynikają ztąd pewne niechęci, które zaspokaja dopiero ustanowienie wspólnych sejmów. Sejmy te odbywają się w Horodle, Parczowie, Łomazach — ale i one chwilami pożądanej jedności nie tworzą. Aleksander Jagiellończyk zaniedbuje widocznie Koronę dla Litwy, Kraków dla Wilna. Koronacya jego odbywa się jeszcze w Krakowie, ale pogrzeb już w Wilnie.

Być może, iż wówczas już zrodziła się idea przeniesienia stolicy w miejsce neutralne, w środku obszernej monarchii leżące; a w takim razie i przyszłe losy Warszawy rozstrzygnęły się już wówczas w teorii.

Za Zygmunta Starego idea ta przycicha. Ale już synu jego wprowadza ją częściowo w wykonanie, stroniąc coraz bardziej od Krakowa, przenosząc się ustawicznie, z majestatem swym, z miejsca na miejsce. Po wielu ruchach wahadłowych z południa na północ i odwrotnie, zatrzymuje się nieruchomo w samym środku obieganego łuku: w Warszawie.

Batory całą siłą swej energicznej, rycerskiej na-

tury ciąży ku północy, rozbijając najczęściej w Grodnie swój namiot koczowniczy.

I wreszcie za pierwszego z Wazów spełnia się fakt, będący z wielu względów koniecznością dziejową: berło przewodnictwa od Krakowa przechodzi do Warszawy.

### *III. Warszawa przed Zygmuntem III.*

Nie przenosi się stolicy do pierwszej lepszej, źle zabudowanej i niewygodnie urządzonej mieściny. Wybór paść tu musi na miasto porządne, które pod pewnymi względami tamtemu dorównywa, a pod innymi je przewyższa.

Takiem miastem w stosunku do Krakowa była już Warszawa w dobie, poprzedzającej bezpośrednio jej wyniesienie do godności stolicy.

Przez czas długi zajmowała ona miejsce poślednie, drugie po Płocku, a nawet po Czersku. Ale już książęta Mazowieccy (zwłaszcza Janusz I) zaczęli pracować nad jej rozwojem. Był on powolny, lecz ciągły. Za ostatnich książąt miasto cokolwiek upadło, po wcieleniu jednak do Korony, rozpoczął się dla niego żywszy jeszcze i świetniejszy okres rozwoju.

Warszawa stała się od tej chwili ulubienicą polskich monarchów.

Zygmunt I, oprócz rządu całego księstwa, którym był wojewoda Mazowiecki, ustanowił dla Warszawy oddzielnego starostę. Wszystkie przywileje, przez książąt nadane, monarcha ten potwierdził; dodał też do nich nowe, o które mieszczanie upraszali. Jedynie Żydzi uskarżać się mogli na króla, bo ich z miasta zupełnie wydzielił. Było to zresztą jedynie wznowienie dawnego zakazu, który, jak zwykle u nas, przeszedł z czasem w zapomnienie.



Więszym jeszcze afektem darzyła Warszawę Bona. Po śmierci męża, przemieszkiwała w niej prawie nieustannie. Tu spotkała ją też publiczna poniewierka: otrąbiono na Rynku Staromiejskim, aby nikt z mieszczau nie dawał podwód królowej, uciekającej z Polski z ogromnymi skarbami. Zakaz później cofnięto, i długa karawana wozów wytoczyła się z miasta, zabierając Zygmunтови i Rzeczypospolitej prawną ich własność.

Serce Zygmunta Augusta przechyliło się całkowicie na stronę Warszawy. Do Krakowa żywił on niechęć—dlatego może, iż nie lubiła go Barbara. Wszakże nawet grobom wawelskim poskałił ciała ukochanej.

Zamek warszawski, częściowo przerobiony, był świadkiem szaleństw, melancholii i czarnoksiężskich praktyk nieszczęsnego monarchy. Nie można bez bólu serdecznego czytać, co pisze o tem Orzelski. Jedna cytata wystarczy.

„Po wieczerzy — opowiada on — poszedł król do starej znachorki Koryeckiej. Poprzedzał go Mikołaj Mniszech ze świecą. W komorze piwniczego czekała na nich baba. Znajdowała się też tam duża stągiew napelniona wodą. Koryeka, zacerpnąwszy łyżką z przyniesionej czary, dała się napić królowi. Potem wszystkich oddaliła i pozostala z nim sam na sam. Król z polecenia jej rozebrał się i obmył chore i wychudzone ciało w stągwi. Po rozmowie, która zabrala nieco czasu, towarzyszący Mniszechowi Czarnotulski wyszedł z Koryeką nad Wisłę, w towarzystwie piwniczego i jednego pachotka, i widział, jak Koryeka wylała ze stągwi wodę do rzeki, jak prała bieliznę królewską, jak wyrwała z niej nitkę i schowała ją potem...”

Działo się to przed samym wyjazdem Zygmunta do Knyszyna. Król bawił wówczas w Warszawie od września 1569 do czerwca 1572, a więc blisko przez trzy lata.



Nie mało przywilejów otrzymało miasto nasze od tego dobrego dla wszystkich, nawet dla wrogów swych, monarchy. Ale najważniejszymi darami, które dostało od niego, były: uczynienie Warszawy miastem sejmowem i wybudowanie mostu stałego na Wiśle.

Most poczytywano za cud mechaniki. Kosztował on niemało zachodów i niemało pieniędzy. Pomysł, materyał i robota były krajowæ, co zapisaćby można na chwałę kraju, gdyby nie to, że ani pomysł, ani materyał, ani robota nie odpowiedziały oczekiwaniom...

Mówi Sarnicki (w rękopisie p. t. „Księgi Hetmańskie,” cytowanym przez A. Grabowskiego w „Ojczystych spominkach“), że król naśladował matkę swą, która na granicy włoskiej w Pontebii, most z odpowiednim napisem postawiła. Most, wystawiony przez Zygmunta, był „na podziwienie misterny, ale król, nie dokończywszy go, umarł, *fatis sic volentibus*, podobno, aby się przypowieści dawnej dosyć stało w tej mierze o polskich mościech: czeski post, a polski most, wszędzie nierząd.”

Sarnicki pisał tak za Stefana Batorego, jakby przewidując żałośny koniec wielkiego przedsięwzięcia. Już na wiosnę 1603 roku lody most rozbiły. A był on krzepko budowany, skoro pale, w dno rzeki pozbijane, do naszych dni dotrwały.

Dzięki Braunowi, autorowi wielotomowego „Theatrum Urbium,” wiemy, jak to arcydzieło inżynierskie ojców naszych wyglądało.

Henryka Walezyusza ani myśl, ani noga w naszym mieście nie powstały. Zupełnie to naturalne. Król ten nie był stworzony dla Warszawy, ani Warszawa dla tego króla.

Za to Stefan Batory częstym jest tu gościem. Odwiedza ją najpierw zaraz po koronacyi, następnie dla połączenia się z Anną Jagiellonką; wreszcie, aby przewodniczyć w pięciu sejmach, które się tu za jego rządów odbyły. Na sejmie w roku 1578 odbiera hołd

publiczny od Jerzego Fryderyka, który jako zarządca Prus lenność swą uznaje.

Z przywilejów, nadanych Warszawie przez Batorego, najważniejszy jest ten, którym miasto nasze zrównane zostało w prawach z innymi miastami Rzeczypospolitej.

Zobaczmy teraz, jak wyglądała Warszawa w chwili, gdy wola Zygmunta III, a ściślej mówiąc: potrzeby państwa—wyniosły ją na stanowisko głównego miasta w kraju.

Już sama liczba kościołów wskazuje, że mamy do czynienia z grodem poważnym. Było ich wówczas dziesięć:

1. Kościół Ś-go Jana, parafialny, z kolegiatą przeniesioną z Czarska;

2. Kościół Ś-go Jerzego, Kanoników Regularnych, przy ulicy Świętojerskiej (dziś nieistniejący), z cmentarzem, na którym chowano ciała straconych;

3. Kościół i klasztor księży Augustyanów przy ulicy Pivnej, której ta właśnie połowa nazywała się wówczas ulicą Ś-go Marcina;

4. Kościół Ś-go Ducha, czyli księży Paulinów, za bramą Nowomiejską;

5. Kościół Panny Maryi, parafialny, pod względem dawności drugi z rzędu po Świętojańskim;

6. Kościół i klasztor księży Bernardynów za bramą Krakowską.

7. Kościół w Ujazdowie, parafialny (parafia przeniesiona z Solca przez Annę Jagiellonkę);

8. Kościół Ś-go Krzyża przy drodze do Ujazdowa;

9. Kościółek Świętej Trójcy za miastem, przy zbiegu dzisiejszych Nalewek i ulicy Długiej;

10. Kaplica Ś-go Krzyża w polu, przy drodze, stanowiącej przedłużenie dzisiejszej ulicy Zakroczymskiej, z cmentarzem dla „zapowietrzonych,” czyli zmarłych na zarazę morową.

Stara Warszawa (*Antiqua Civitas Varsoviensis*)

była „pestką” i „jądrem” miasta całego; nie była jednak całem miastem. Obok niej wyrosła i rozrosła się młodsza jej siostra: Nowa Warszawa (*Nova Civitas Varsoviensis*).

Dwa te miasta stanowiły jedność, jako dwie części jednej całości, na pozór wszakże każde istniało samodzielnie. Lustracye z owych czasów (dochowały się dwie: z 1564 i 1569 r.) tak o nich mówią: „Są dwie mieście, od siebie rozdzielone, jedno murowane, które zowią Stare-Miasto, a drugie Nowe Miasto drewniane, a każde z nich swego prawa używa i osobny urząd mają.”

W pierwszej z tych dwóch lustracyj, która jest też i najpierwsza z dopełnionych w Warszawie, zapisano w Starej Warszawie następujące ulice: Rynek, Nowomiejską, Krzywe Koło, Świętego Jana, Grodzką, Bernardyńską, Świętego Marcina, Piekarską, Piwną, Żydowską, Dunaj, Freta, Waliszewo, Rybitwię, Rynek Przedmiejski, Świętokrzyską (nie trzeba jej brać za jedno z dzisiejszą ulicą tego nazwiska), Łazarzowską, Przeczną, Długą. Oprócz tego wymienione tam są miejscowości: „za Mniszkami,” „na Bykowcu,” „za Świętym Krzyżem,” oraz przeróżne „folwarki.”

Dwa zamki posiadało miasto: jeden po księżętach Mazowieckich, drewniany, z jednym tylko skrzydłem murowanem, położony nad Wisłą, która wówczas tuż pod nim płynęła; drugi w Ujazdowie, murowany, z pięknym parkiem, gdzie przemieszkiwała bogobojna wdowa po Batorym.

Na środku Rynku Staromiejskiego stał Ratusz z wysoką wieżą, na której szczycie wykręcała się blaszana Syrena. Ratusz był otoczony murowanemi kramnicami, w których sprzedawano towar wszelaki. Piwnice pod Ratuszem służyły wyłącznie do sprzedaży wina i piwa (wódki dostać można było tylko w aptece). Piwo „piątkowskie” miało przywilej, że tylko tu i nigdzie więcej sprzedawane być mogło.

Kamienice w Rynku i w ulicach przyległych by-

ły piękne, ozdobne i godłami różnemi upstrzone. Z tego, co dziś tam się ogląda, nawet przybliżonego pojęcia mieć o nich nie można. Czoła ówczesnych domów, będących własnością bogatych mieszczan, były strojne, malowane, wyłacane, posągami i posążkami ostawione. Wewnątrz nie brakło dostatku i wykwinu, a przez oprawne w olów szybki i w kamiennem obramieniu uchylonej „furty” widzieć można było niewiastki, godne nietylko mieszczzańskich, lecz szlacheckich, senatorskich — ba! królewskich nawet — uściłków.

Podwójny mur otaczał Starą Warszawę. Oprócz wielu baszt, znajdowały się w nim bramy, obsadzone strażą i na noc zamykane: Krakowska, Nowomiejska, Poboczna, Gnojna i Biała albo Wiślana. Przed murem był wał i fosa; na fosie mosty zwodzone.

Miasto odznaczało się zamożnością, ruchliwością i nastrojem wesołym. Pełno w niem było „gospód” mieszczzańskich i oddzielnie szlacheckich. Brzmiała w gospodach tych do późnej nocy muzyka i rozlegały się wiwaty. Po zamknięciu gospód, na pustych ulicach i po zaułkach słychać było często hałasy, krzesanie czekanami o bruk i strzelanie z rusznic. Musiano aż to wszystko wciągać do „artykułów marszałkowskich” i surowemi karami powściągać.

O zasobach Warszawy dowiedział się kraj podczas elekcji Henryka Walezego.

Na polach między Wolą a Powązkami powtórzył się wówczas cud, który ongi uświetnił równiny Kruświckie. Jak tam wiejska zagroda biednego kołodzieja, tak tu małe z pozoru miasto potrafiło do syta nakarmić i napoić tłum niezmierny. Nie rachowano obiorców królewskich nad Gopłem; nad Wisłą jednak zebrało się wówczas przeszło sto tysięcy szlachty, nie licząc pacholków. Wszyscy rozjechali się do domów zadowoleni, wystawiając zamożność i gospodarność grodu mazowieckiego.

Było to jakby stwierdzeniem publicznem, że mia-



sto dość już dojrzało i na siłach się wzmogło, ażeby pod jego skrzydła pogarnęła się cała Rzeczpospolita...

*IV. Przeniesienie stolicy z Krakowa do Warszawy. — Powody przeniesienia. — Towarzyszące mu okoliczności.*

Ustolecznienie Warszawy nazwałem wyżej „koniecznością dziejową.” Każda konieczność spełnić się musi, od zewnętrznych jednak przyczyn zależy jej przyśpieszenie lub opóźnienie. Niechęć Zygmunta Augusta do Krakowa i małe w nim upodobanie Zygmunta III-go stały się w tym razie okolicznościami przyśpieszającymi.

Zobaczmy, jak zapatrują się na ten fakt i czemu go usprawiedliwiają dawniejsi dziejopisowie Warszawy.

Związły, jak zawsze, Gołębiowski zaznacza go bez żadnego nacisku i prawie tylko nawiasem. „Król Zygmunt III — mówi — że bliższą rodowitego państwa była, Warszawę za stolicę obrał, i dalsi po nim królowie ciągle w niej mieli siedlisko.”

Sobieszczański opisuje fakt szczegółowiej. Wspomina o pożarze, który dwukrotnie w r. 1595 nawiedzał Zamek krakowski i „monarchów polskich odpowiedniego mieszkania pozbawił.” Przyśpieszyło to, wedle niego, spełnienie zamysłów Zygmunta, który postanowił przenieść stolicę do Warszawy, „jako do miejsca, bardziej w środku całego państwa położonego i granic jego ojcowizny, Szwecyi, bliższego.” Zaznaczywszy przyjazd króla z rodziną, dworem i sprzętami do Warszawy, dodaje Sobieszczański bez dłuższych wywodów: „Odtąd starożytnie miasto Mazowsza stolicą całej Polski zostało.”

Dopiero Weinert zwraca pilniejszą uwagę na ten fakt ważny, który w dziejach Warszawy ma znaczenie epokowe. Jednak w dochodzeniu przyczyn nie sięga



dalej, niż tamci. I dla niego „prawdziwym powodem przeniesienia stolicy” jest: najpierw pożar zamku krakowskiego, następnie chęć Zygmunta przemieszkowania w miejscu bliższem Szwecyi. Ale Weinert, specjalista od poszukiwań archiwalnych i nawykły widzieć każde ważniejsze zdarzenie historyczne upamiętnione w odpowiednim urzędowym akcie, zadaje sam sobie pytanie: czy jest możliwe, żeby nie istniał żaden przywilej, lub przynajmniej jakieś pismo urzędowe, w którychby zapisano i stwierdzono ustoleczenie Warszawy?

Postawiwszy pytanie, szuka na nie odpowiedzi. Po długiem szperaniu w archiwach, udaje mu się odpowiedź tę znaleźć. Stanowi ją przywilej Zygmunta III z kwietnia 1598 r., wydany w Warszawie dla Warszawy.

Wyjątkowe łaski przyznaje król w tym przywileju swemu ulubionemu miastu. Rozkazuje mianowicie, aby „mieszkańców miasta Starej Warszawy, jakiegokolwiek stanu, płci i godności”, uważano za „uwolnionych od wszelkich wogóle opłat i egzekucyj, jakichkolwiek ceł, tak lądowych, jak wodnych, pod jakimkolwiek tytułem i w jakimkolwiek bądź miejscu istniejących, od jakichkolwiek ich towarów, zbóż, wszelkiego ziarna i od innych rzeczy, które bądź to lądem, bądź wodą zkądkolwiek przywożą i odwożą, oraz nie tylko od wozów, trawek, łodzi, lecz i od tego rodzaju statków, po Wiśle, Narwi, Bugu, Styrze, Sanie, Wieprzu, Drwęcy, Noteci i po innych rzekach państwa i prowincyj podległych, w górę i na dół żeglujących.”

Z treści tego przywileju, jak również z nader oryginalnego wstępu, którym był on opatrzony, a który nie powtarza się w żadnem innem nadaniu, wprowadza Weinert dość śmiały, ale uzasadniony wniosek, że akt powyższy zastępował urzędowe mianowanie Warszawy stolicą.

Dlaczego wybrano tę formę, nie inną? i dlacze-

go uciekano się do omówień tam, gdzie należało przedstawić rzecz wyraźnie w uświęconych prawem i zwyczajem wyrazach?

Z pytaniem tem łączy się inne: dlaczego dokument ten, chociaż podpisany własnoręcznie przez króla, pozbawiony jest znamion urzędowych, a mianowicie pieczęci królewskiej, oraz podpisu kanclerza, co pozbawiło go prawomocności i spowodowało, że spoczął w archiwum, jako rzecz bezużyteczna?...

Na oba te pytania odpowiedź jedna: znajdował się ktoś, komu przenoszenie stolicy nie było na rękę. Próbowano niechętnego podejść, zastępując specjalną uchwałę zwykłym przywilejem, ale odgadł on podejście i w porę mu przeszkodził.

Wiele zaś okoliczności przychodziło mu z pomocą...

Rok 1598 był dla króla Zygmunta rokiem bardzo pracowitym i bardzo niefortunnym. W tym roku wojował on nieszczęśliwie z Karolem Sudermańskim, co wiele mu przyczyniło strat i goryczy.

Oddalony od kraju i zaprzątnięty całkowicie myślą o koronie szwedzkiej, droższej dla niego, niż polska, mógł łatwo zapomnieć o koniecznym uzupełnieniu swego aktu. Nie przypuszczał zresztą, aby rzecz, na sejmie uchwalona i nosząca sankcyę podpisu królewskiego, mogła być napotkać jakiegokolwiek ze strony formalnej utrudnienia.

Zawiódł się jednak. Skorzystano z nieobecności króla i odmówiono aktowi kancelaryjnych znamion autentyczności.

Treść przywileju, jako uchwała sejmowa, przeszła do *Voluminów Legum*, nie w autentycznym jednak tekście, lecz w tendencyjnej przeróbce. Opuszczono tam cały wstęp, posiadający pierwszorzędne znaczenie, i z wyjątkowego nadania uczyniono akt zupełnie zwykły, mianowicie: aprobacyę dawnych przywilejów miasta, którą każdy monarcha początek swego panowania zaznaczał.

Być może, iż Zygmunt o częściowem nieposzanowaniu swej woli nie wiedział; być może również, że wiedział, ale, swoim zwyczajem, zmilczał i postanowił zwolna i pocichu, na nikogo nie zważając i nikomu nie opowiadając, plan swój do skutku doprowadzić.

Jakoż wiemy, że doprowadził.

Bartoszewicz poddaje krytyce i odrzuca przytaczane przez wspomnianych dziejopisów przyczyny. „Niema — mówi — żadnego znaczenia powieść, że król niby po spaleniu się zamku krakowskiego, na mieszkaniu z dworem przeniósł się do Warszawy. Boć w Warszawie byłoby królowi daleko gorzej i żadnejby nie miał wygody. Zamek warszawski dobry był dla książąt Mazowieckich, dobry nawet dla Zygmunta Augusta, który bawił tu prywatnie, jakby na letniem mieszkaniu, ale nie starczył na potrzeby świetnego dworu królewskiego, gdyby miał się stałe osiedlić w Warszawie.”

Gdyby król opuszczał Kraków jedynie dla szkód zrządzonych przez pożar, to po naprawieniu ich powinien był tam powrócić. Nie powrócił jednak, lecz na stałe zamieszkał w Warszawie.

O drugiej z wymienionych przyczyn mówi nasz historyk: „Gdyby o to (o zbliżenie się do Szwecyi) chodziło, znalazłby się punkt stosowniejszy: Wilno, Gdańsk, Ryga, pierwsze lepsze miasto litewskie. A potem, cóż królowi chodzić mogło o dzień, o dwa dni drogi mniej do rodzinnego kraju? Gdyby Szwecya trzymała się mocno Zygmunta, mógłby do niej jeździć i ze Ślązka nawet. Gdyby zaś Szwecya nie chciała Zygmunta, co sprawie królewskiej pomogło, że mieszkał bliżej Sztokholmu, w Warszawie?”

Nareszcie twierdzi Bartoszewicz, że samo zamieszkanie Zygmunta w Warszawie nie czyniło jej jeszcze stolicą. Następca króla „mógł tak samo dobrze przenieść się znów do Krakowa, lub wybrać so-

bie nowe miejsce ulubione, na któremby dwór swój osadził i do którego ściągnąłby życie.”

Ostatni argument popiera i wzmacnia hipotezę Weinerta.

Bez przywileju nie byłoby stolicy. A że przywilej, czy też akt, miejsce jego zastępujący, nosi datę 1598 r., od tego zatem roku uważać należy Warszawę za stolicę.

Wiele przyczyn, a nawet powiedzieć można, wszystko zgoła, przez długie lata, składało się na to, aby miastu naszemu przodownictwo w kraju wyrobić. Prócz względów politycznych, o których wyżej, w rozdziale o dawnych stolicach, wspomniałem, grały tu ważną rolę względy geograficzne, terytoryalne. Warszawa leżała prawie w samym środku Rzeczypospolitej, przy głównym trakcie wodnym i wielu ważnych drogach lądowych, była zaś miastem głównym Mazowsza, a więc prowincyi z wielu względów neutralnej.

Gdy na porządku dziennym znalazło się pytanie: gdzie dokonywać obioru nowego króla? — rozwiązano je prawie bez wahania na korzyść Warszawy. Nie podniosły się też prawie żadne głosy opozycyjne, gdy Warszawę miejscem zamieszkania królów uczyniono.

Dopiero, gdy Warszawa stała się widownią aktów, posiadających pierwszorzędne znaczenie historyczne, jak naprzykład hold pruski (*homagium*), zaśpiewano minorowo o niełasce, okazywanej Krakowowi. Rymopis współczesny, cytowany przez Bartoszewicza, ubolewał:

„Kraków z tego się smęcił, że to w inszem stało  
Mieście się *omagium*, jego poniechało...”

Musiano liczyć się z drażliwością czcigodnego i pełnego zasług staruszka, który nie był winien temu, że przeżył się i już potrzebom kraju, pod każdym względem przekształconego, nie odpowiada. Na za-

sadzie jakiejś milczącej umowy postanowiono: nie nazywać Warszawy głośno „stolicą” i odebrawszy Krakowowi istotę władzy, pozostawić mu jej błyszczące pozory.

W Warszawie królowie mieszkają, rządzą, stanowią prawa, wypowiadają wojny, odbierają hołdy zawierają sojusze i t. p. W Krakowie—koronują się i są chowani. „Co za różnica—mówi historyk—obu dwu stolic, Krakowa i Warszawy! Tutaj grób wielki, tam — gwar i nieustanne życie; tutaj wspomnienia, tam—mieszkania królewskie, stolica.”

W dawnych opisach Warszawy rażącym jest prawie opuszczanie tytułów: stolica kraju, stolica Polski. W dziele Rocheforta p. t. *Le Voyageur d'Europe*, wydanem w r. 1672, powiedziano o Warszawie, że jest „stolicą Mazowsza, a nadto miejscem zjazdów elekcyjnych i sejmowych, oraz rezydencyą królów.”

Więcej, niż w sto lat później, ksiądz Franciszek Salezy Jezierski w dziełku pełnem humoru i satyry: „Niektóre wyrazy, porządkiem abecadła zebrane i t. d.”, pod wyrazem *Warszawa* pisze: „Warszawa, miasto stołeczne księstwa Mazowieckiego i miejsce pomieszkania królów polskich.”

Wszystkie te omówienia nie zmieniły i zmienić nie mogły faktu, że od roku 1598 Warszawa była stołecznem miastem Królestwa faktycznie i urzędowo, i że z nikim zgoła — nawet z Dreznem za Sasów — władzą swą i znaczeniem dzielić się nie potrzebowała.

## V. Warszawa za Zygmunta III-go.

Zygmunt III nie zasłużył na to, aby mu naród stawiał pomniki; zarobił on sobie jednak na bronz i marmur u Warszawy. Na naszej „kolumnie Zygmuntońskiej”, gdzie jako fundator jest wymieniony „syn”, mogłaby też podpisać się Warszawa, jako — córka.





Warszawa w wieku XVII-ym.

Jest rzeczą prawie pewną, że miasto nasze zostałoby stolicą kraju bez Zygmunta i niezależnie od Zygmunta; bądź co bądź, ważny ten fakt spełnił się za jego rządów, on też spełnienie się to przyspieszył i przyczynił się do niego skutecznie.

Za Zygmunta, doszła Warszawa do niebywałej przedtem świetności; wówczas też dopiero stała się miastem naprawdę europejskiem, godnem, aby je zagraniczni geografowie opisywali, a zagraniczni artyści widoki jej rytowali na miedzi.

Odmieniła się cała postać miasta z chwilą, gdy w niem dwór królewski osiadł na stałe. Dawniejsze przygodne odwiedziny monarchów dokonać tego nie mogły. Dom zajezdny, nawet najwytworniej urządzony, nigdy nie stanie się pałacem.

Przedewszystkiem miasto przygotować musiało odpowiednie wspaniałe siedziby na pomieszczenie króla, senatorów, oraz tłumnego zastępu szlachty bogatej, która za osobą monarchy ciągnie zawsze, jak rój pszczoły za matką.

Pierwszem następstwem tego była gruntowna przebudowa Zamku królewskiego, drugim — wznoszenie licznych pałaców prywatnych, po przedmieściach naturalnie, gdyż w obrębie murów miejsca wolnego nie było.

Za książąt Mazowieckich Zamek był zwykłym dworem drewnianym, ani ozdobnym, ani nawet wygodnym i przestronnym. Gdy książąt nawiedzali goście ukoronowani lub znakomici wysłańcy dworów zagranicznych, pomieszczano ich w Rynku staromiejskim. Służyła na ten cel wielka książęca kamienica na rogu Dunaju, zwana „Ogródkiem”, czyli małym Grodem (gród znaczy tyleż, co zamek). Stawali także dostojnicy w domach mieszczan staromiejskich; przytem zdarzało się, że przebijano mury w dwóch lub trzech sąsiadujących z sobą kamienicach, aby z kilku szczupłych mieszkań utworzyć jedno jako tako wygodne.

Utrzymują powszechnie, że dopiero Zygmunt III przerobił Zamek z drewnianego na murowany. Tak nie jest. Już za Zygmunta Augusta przeróbka ta była rozpoczęta.

Wiadomo, że monarcha ten, przenoszący się nieustannie z miejsca na miejsce, najchętniej i najdłużej zatrzymywał się w Warszawie. Warszawę lubiła też jego matka. Na użytek obojga poczyniono w Zamku odpowiednie zmiany, i wówczas to wzniesiono nowe skrzydło Zamku od ulicy Świętojańskiej, sąsiadujące z „Mansyonaryą.” W tem skrzydle mieszkał prawdopodobnie Zygmunt po sprowadzeniu się do Warszawy. Ale było to mieszkanie tymczasowe, gdyż i wszystkie owe roboty nosiły charakter tymczasowy.

Dopiero od roku 1607 rozpoczął Zygmunt roboty budowlane na wielką skalę. Zamiast prowadzić dalej łątaninę swych poprzedników, przygotował plan nowego zamku, wysuniętego bardziej w stronę Krakowskiego-Przedmieścia. Gmach posiadał kształt pięcioboku i miał być wzorowany na jednym z zamków szwedzkich, który zbudowała Katarzyna Jagiellonka w mieście Drottöngholm na wyspie Lofön.

Budowa dopiero ku końcowi panowania tego monarchy uwieńczona została wieżą, która nosi miano „Zygmuntowskiej.”

Wykończali roboty w szczegółach synowie Zygmunta, a pamiątką tej pracy Wazów są dotychczas widoczne nad wewnętrznymi bramami ich herbowe „Snopki.”

Magnaci budowali się głównie przy wielkim gościńcu, wiodącym w stronę Krakowa, i to dało początek przedmieściu Krakowskiemu. Powstawały też szybko i inne przedmieścia, mające z czasem zlać się w jedną całość z miastem właściwym, duszącem się w ciasnym pierścieniu muru obronnego.

Miasto rozszerzało się, rosło w siłę i bogactwa, ale zarazem zaczynało doświadczać bezprawia szla-



checkiego, którego najpierwszą formą były tak zwane „jurydyki.” Magnat, sprowadzający się do miasta, a nienawykły ulegać nikomu, nie chciał okazywać uległości Magistratowi, tworzył więc rodzaj miasta w mieście i sam się jego głową mianował.

Jurydyki podkopywały powagę urzędu miejskiego, wprowadzały zamęt do całego prawodawstwa i na wszelki sposób szkodziły miastu; król jednak, choć swym „mieszczankom” szczerze życzliwy, nie mógł swawoli szlacheckiej okiełznać. Jurydyki, za Zygmunta III *de facto* narodzone, broiły w Warszawie aż do końca XVIII-go wieku.

Pobożność Zygmunta, oraz jego dyletantyzm artystyczny, odbiły się w sposób właściwy na postaci miasta. Zaroiło się ono w tym czasie mnichami i artystami.

Aż sześć nowych zgromadzeń zakonnych przybywa za Zygmunta w Warszawie. Są niemi: Jezuici, Dominikanie, Reformaci, Brygidki, Bernardynki i Karmelitki. Ponieważ każde ze zgromadzeń otrzymało przy klasztorze własny kościół, Jezuitom zaś dostały się dwa kościoły, Warszawa przeto z bogaca się o siedem nowych świątyń.

Niektórzy historycy (między innymi Julian Bartoszewicz) wymieniają nadto „Kaplicę obrządku greckiego”, rozumiejąc przez nią tak zwaną „Kaplicę Moskiewską” (*Sacellum Moscoviticum*), będącą grobowcem carów Szujskich. W tej kaplicy jednak, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nie odprawiano stale nabożeństw; posiadała też ona niewątpliwe charakter pomnika grobowego. W braku oddzielnego cmentarza dla prawosławnych, pomnik ustawiono w miejscu, gdzie kończyło się Krakowskie-Przedmieście i z kąd rozchodziło się kilka dróg, z których jedna prowadziła do wsi królewskiej Jazdowa.

Z przybyciem Jezuitów podniósł się ogólny stan umysłowości. Zakon, posiadający u siebie takie potęgi umysłowe, jak Skarga, Bembus i inni, wprędce

ujął ster wychowania publicznego. Jezuici, mieszczący się początkowo w skromnym i szczupłym „Klasztorcu”, otworzyli niebawem swą uczelnię, czyli *Domus professa*, w tyłach swego kościoła, przy ulicy, która ztąd właśnie otrzymała nazwę Jezuickiej.

W ślad za ojcami i ich mądrością, zjawili się na bruku warszawskim stali sprzedawcy książek. W księgach metrycznych zapisano przywilej, wydany dwom obywatelom warszawskim: Pawłowi Fabrycemu i Janowi Modzelewskiemu, na wyłączne prowadzenie handlu księgarskiego. Na czas sejmów i jarmarków przywilej ten tracił swą ważność: kupcom postronnym wolno było wówczas, na równi z innym towarem, przywozić i sprzedawać książki. Rozumie się, że z tej wolności najobficiej korzystali księgarze, czyli „bibliopole” krakowscy, a po nich gdańscy.

Nadleciały też wówczas do nas inne rzadkie ptaki: malarze, architekci, śpiewacy, złotnicy i alchemicy. Wszystkich sprowadzał Zygmunt; wszystkich za kolegów i towarzyszków zawodu poczytywał.

Gotyckie sklepienia Katedry zabrzmiały dźwiękami hucznej kapeli włoskiej, z grajków i śpiewaków złożonej, która króla znaczne pieniądze kosztowała. Dyrektor owej kapeli, Asprillo Pacelli, ma dotąd kamień nagrobny z marmurowem popiersiem w jednej ze ścian kościoła Świętojańskiego. Był to snadź zdolny kapelmistrz, sława bowiem jego kompanii artystycznej rozeszła się po Europie.

Do Włochów przystawali zwolna i Polacy. Doszła nas wiadomość o pewnym Tobiaszu z Sandomierza, który należał do nadwornych śpiewaków Zygmunta III. Zwano go pospolicie „Tobiaszkiem”, sływał zaś z pięknego i potężnego głosu, którym, jak pisze ks. Siarczyński — „najdzielniej poruszał, przerażał i rozczulał, śpiewając treny Jeremiasza, ułożone na głosy przez Wacława z Szamotuł”.

Jednocześnie pracowali pod boki króla liczni artyści-malarze — niestety, prawie wyłącznie cudzo-



ziemcy. Na ich czele stał słynny Tomasz Dolabella, który przyozdabiał zamek pięknymi malowidłami. Znajdowały się w ich liczbie obrazy, będące jakby malowaną kroniką panowania Zygmunta III. Obrazy te nie dochowały się do naszych czasów. Jeden z nich tylko, wyobrażający Zygmunta pod Smoleńskiem, znany jest nam z ryciny, wykonanej współcześnie przez któregoś z rytowników gdańskich.

Obrazy religijne włoskiej i holenderskiej szkoły przyozdabiać zaczęły i świątynie warszawskie, usuwając z nich dawne, niemieckie, średniowieczczyzną jeszcze tchnące malowidła, oraz zabytki prastarej sztuki bizantyjskiej.

Tchnienie artystyczne od dworu królewskiego powiało na całą Warszawę, przedostając się do komnat senatorskich, do mieszczkańskich świetlic i do warsztatów rzemieślniczych. Zakwitły i form szlacheckich nabrały rzemiosła. Do szczególnej świetności doszło artystyczne ślusarstwo, oraz także złotnictwo i—szklarstwo. To ostatnie, z powodu rozpowszechnionych malowideł na szkle, oraz okien kolorowych, którymi przyozdabiano kościoły i pałace, uważane było bardziej za sztukę, niż za rzemiosło. Postanowienie królewskie zaliczyło je nawet do jednego cechu z malarstwem.

Zabytki artystycznej ślusarszczyzny, które podziwiamy we wnętrzu staromiejskich kamienic, oraz w prywatnych, starannie przechowujących je zbiorach, z tej głównie epoki pochodzą.

Co się tyczy złotnictwa, to król był nie tylko protektorem, lecz i „mistrzem cechowym“ tego wytwornego rzemiosła. Roboty królewskie, wyłącznie „chwale Bożej“ poświęcone, rozdawane były przez koronowanego artystę kościołom. Kilka ich przechowuje skarbiec Katedry warszawskiej.

Warszawa jeszcze przed Zygmuntem była grodem handlowym; odkąd jednak została stolicą, handel jej w trójnasób się powiększył. Kupcy warszawscy

sprawdzali towary z całej Europy; wielu z nich miało własne okręty, docierające do portów francuskich, a nawet włoskich. Z Wenecyi przywoziły one oddzielny rodzaj tkanin, wyrabianych tam umyślnie dla nas, i ztąd nazywanych specjalnie *roba di Polonia*, o których Łukasz Opaliński w swych satyrach wyraża się ironicznie.

Ustołeczniczenie Warszawy odbiło się też i na obyczajach. Stały się one w ujemnem znaczeniu tego słowa: wielkomiejskimi. Wpływ Włochów, którzy za Zygmunta przepełniali Warszawę, nie mógł być pod tym względem dodatni.

Włoszczyzna, której za czasów Bony strzeżono się, jak zarazy, rozpanoszyła się teraz wszędzie. Żony i córki mieszczan nie tylko stroiły się z włoska, ale nadto uważały za znak „dobrego tonu” mówić po włosku i śpiewać włoskie pieśni. Do mody należało uczenie się po łacinie, a znajomość języka Wergilego i Owidyusza ułatwiała naukę pokrewnej mu włoszczyzny. To też, gdy mężczyźni okraszali mowę łaciną, kobiety pstrzyły ją z upodobaniem słowami włoskimi. Wówczas też to najwięcej tych słów przeszło do naszego języka.

Nie brakło zresztą w tej epoce i niemczyzny. W zamku panowały: strój, obyczaj i język—niemieckie. W rodzinnem gronie Zygmunta rozmawiano wyłącznie po niemiecku; straż przyboczna króla była niemiecka i niemieckich hasel używała. Z drugiej znów strony tradycje rodzinne, handlowe, oraz urządzenia magistrackie, sądowe, cechowe i t. p., na prawie Magdeburskiem wzorowane, ciągnęły mieszczan Starej Warszawy do niemczyzny.

Ale w żyznym, choć twardym gruncie Mazowsza tkwi niespożyta siła żywotna. Przemogła ona i przyswoiła sobie te wszystkie obce żywioły.

Mozaikowy obraz ówczesnego społeczeństwa warszawskiego tylko przenikliwość prawdziwego artysty, studjami historycznymi i starożytniczymi poparta, do-

kładnie odtworzyć może. Warszawa dzisiejsza ze swym całym, szychowym, mieszczańskim przepychem, ze swą jaskrawą a zimne, trupie światło rozlewającą elektrycznością, ze swym uniformowym tłumem elegantów i elegantek, według jednego wzoru opiętych, w porównaniu z ową z przed trzech stuleci, rodzącą się dopiero, a raczej przeradającą, estetykowi i artyście wyda się z pewnością brzydą, a może nawet i bezwzględnie brzydką.

Ze skąpych szczątków starożytności warszawskich, które są jakby okruchami rozbitego na szczątki posągu, niepodobna sądzić o tem, jak miasto nasze wyglądało i jakim urokiem otoczone było w przeszłości. Żadna ze stolic europejskich tak szybko i tak do gruntu nie przemieniała fizyognomii swej, jak Warszawa. Jedno Stare Miasto trzyma się najoporniej, ale i ono jest dziś tylko opadłym z ciała i ze strojących je złotogłowiów — skieletem.

Wspomniałem wyżej o malowanej kronice rządów Zygmuntońskich, której kart kilka wykończył Dolabella. Jaka szkoda, że nikt nie pomyślał o takiejże kronice Warszawy z tych samych czasów! Ale stanowiło to już fatalność naszego narodu, że łatwiej w nim było zawsze o wielkich ludzi, niż o ich portrecistów, o malowniczość niż o malarzów, o poetyczność niż o poezję. Gdyby nie to, ileż mielibyśmy z tamtej epoki obrazów i pieśni, naprzemian wesołych i ponurych, upajających chwałą i zgrozą przejmujących!...

Ważne wspomnienia historyczne i kronikarskie barwną wstęgą przesuwają się przez roczniki ówczesnego życia warszawskiego. Wymieniać wszystkich nie sposób; przyjrzyjmy się choć najwydatniejszym.

W jesieni 1606 roku szalony orkan nawiedza Warszawę. Spadają kominy z dachów; sypią się w gruz i dachy całe. O samej północy zawala się z hukiem tysiąca armat wieża na kościele Świętego Jana—ta wieża niebotyczna, która na najdawniejszych

widokach Warszawy wygląda jako maszt olbrzymi, wieńczący okrętową figurę całego miasta.

Pod ciężarem wywróconego kolosu zapada się sklepienie świątyni, które, runąwszy, rozbija posadzkę kamienną i odkrywa pełne trumien lochy kościelne. Na środku głównej nawy piętrzy się olbrzymia sterta potrzaskanych cegieł, marmurów, kamiennych posągów, rzeźb złoconych, kolorowych okien i sprzętów kościelnych. Gdy nadbiegły tłum do wnętrza sterty zagląda, wydaje okrzyk podziwu: stoi tam nienaruszona i jakby mocnem sklepieniem nakryta figura Chrystusa, którą niedawno jeden z Baryczków przywiózł z Norymbergi. Cóż dziwnego, że ten Chrystus nazywa się odtąd „cudownym!”

Mury Katedry rozbrzmiewają nieustannie natchnionem, Jeremiaszowem słowem Skargi. I zdarza się dnia jednego, że gdy „Złotousty” schodzi już z kazalnicy, okryty kurzawą goniec zwiastuje zwycięstwo pod Kircholmem. Skarga wraca na kazalnicę i pada na kolana, a wszyscy obecni, króla nie wyłączając, idą za jego przykładem. Głośna modlitwa dziękczynna płynie ku ostrolukowym sklepieniom, a serca kilkotysięcznego tłumu napełnia pragnienie i nadzieja nowych tryumfów.

Innym razem ciągnie przedmieściem Krakowskiem orszak zwycięzki z hetmanem Żółkiewskim na czele. Ciągnie on do zamku, gdzie właśnie pod przewodem samego króla sejm walny się odbywa. Hetman przywozi królowi łupy bogate, oraz jeńców znakomitych, którzy z należnem nieszczęściu współczuciem, a godności uczczeniem, otrzymują na mieszkanie piękny zamek Gostyniński.

Do ożywienia i świetności miasta przyczyniają się w stopniu niemałym sejmy, sprowadzające do Warszawy kwiat i śmietankę narodu. Na nieszczęście, ten kwiat wyziewa niekiedy zapach trujący, a ta śmietanka bywa kwaśna i gorzka...

Aż trzydzieści sejmów odbyło się w Warszawie



za Zygmunta. Bywały świetne i owocne, ale nie brakło burzliwych i warcholskich. Na jednym sejmie król płakał; na innym po szablę sięgał.

Podczas sejmu w r. 1607 straszna klęska spała na Warszawę. Szlachta, zajmująca „gospody” na Starem Mieście, dla szczupłości miejsc, urządziła kuchnię swe wprost na Rynku, przed domami, ku czemu wrywano bruk i wznoszono drewniane szafasy. Łatwo pojąć jak wielkiem groziło to niebezpieczeństwem. Jakoż we wspomnianym roku od ognia kuchennego wszczął się gwałtowny pożar, który obrócił w perzynę trzy czwarte domów w Rynku Staromiejskim, wyrządzając nieobliczoną szkodę mieszczanom, miastu i — potomności.

Ogień zatrzymał się na Kanonii <sup>1)</sup>, w bezpośrednim sąsiedztwie Jezuickiego kolegium, klasztoru i kościoła, oraz Katedry i—Zamku królewskiego. A właśnie główna część zamku, w której król przemieszkiwał, znajdowała się wówczas od strony Kanonii. Prerażony Zygmunt opuścił w popłochu miasto i wrócił dopiero, z rodziną i dworem, po ugaszeniu pożaru.

Jednego słonecznego ranka, mieszczanie warszawscy ujrzeli z podziwem, zaraz za murami, przed kościołem Bernardynów, drewniane, bogatymi kobiercami okryte wzniesienie, a na niem wyłaczany i cudnie w słońcu błyszczący—tron królewski. Niebawem błysnęły tam halabardy straży monarszej, pieszce i konne rycerstwo szumnym wieńcem opasało to miejsce, zjawily się bogate karoce senatorów, wreszcie nadjechał i sam król, dworzanami otoczony.

Król zasiadł na tronie, a po chwili, ze strony przeciwnej nadciągnął inny orszak, szary, skromny, potulny...

<sup>1)</sup> Pamiątką tego jest tablica na domu Nr. 79 przy tej ulicy. Głosi ona, że dom ten był ostatni, który strawiły płomienie, i że w lat cztery po pożarze odbudowany został przez ks. Zalasowskiego, kanonika pułtuskiego.



To elektor Brandeburski przybywał składać hołd monarsze polskiemu i Rzeczypospolitej.

„Warszawa — słusznie zauważył Bartoszewicz — staje się niezmiernie historycznym miastem za Zygmunta III-go”.

Wspomniałem o tryumfalnym wjeździe Żółkiewskiego. Obok tego wjazdu postawić można inny, nie dorównywający mu znaczeniem historycznym, przewyższający go jednak — malowniczością. Był nim wjazd Lisowczyków.

Banda tego, jedyne może w dziejach wojskowości, rycerstwa, odziana przez pół w aksamit i złotogłów, przez pół w jaskrawe łachmany, z pod których wyglądało nagie, na słońcu i mrozie zbronzowane ciało — spadła na Warszawę jak huragan, przywołana rozkazem królewskim aż z północnych krańców Europy, z nad brzegów morza Białego, z krainy prawie legendowej. Król wzywał ją, aby złożyła rachunek ze swych wypraw samowolnych, ze swego wafęsania się po świecie i ze swego zbójnictwa. Rachunek wypaść musiał pomyślnie, bo Lisowczycy opuszczali Warszawę z lepszymi jeszcze minami, niż do niej weszli, i wkrótce aż nazbyt głośno zrobiło się o nich po Europie.

Nic zmienniejszego nad oblicze Warszawy, ukazujące się z oddalenia w kolei lat i wieków. Raz błyszczący pogodnie światłem prawie anielskim; to znów wyrazem szalonym, niemal demonicznym, przeraża; innym razem wygląda żalobnie i pokutniczo; to w mroku całkowicie tonie, to wynurza się z niego, oświetlone po Rembrandtowsku jaskrawym, pożarnym płomieniem...

Odwracamy naprzykład kartę, na której bawiły nas i zachwycaly malownicze stroje, zwyciężkie pochody, butne twarze hetmanów, plaszczące się postacie książąt lennych — i jakże odmienny widok przed oczyma nam staje! Miasto wyludnione, puste, milczące, jakby w niem wszyscy wymarli. Co kilka kro-

ków dom opustoszały z zamkniętymi na skobel wrotami, nieraz z wielkim czarnym krzyżem na murze. Wiele ulic pomniejszych zamknięto barykadą z desek i kamieni. Przy barykadzie straż stoi i nikogo nie przepuszcza, bo to miejsce potępione, bo tam—śmierć pewna.

U bram miejskich zaciągnięto łańcuchy, zapuszczono wrzeczadze. Po pustych ulicach i placach włóczą się psy głodne, wyjąc ponuro. Ludzie w czerwonych i granatowych opończach, z czarnymi na pierśiach krzyżami, snują się po mieście, dźwigając na noszach straszne, tajemniczo osłonięte, ciężary.

Zamek stoi pustkami; puste są też pałace senatorów. Co pewien czas cmentarną ciszę przerywa na chwilę stłumiony głos trąby. To pachołek magistracki zwołuje mieszczan, aby im oznajmić nowe rozporządzenie „burmistrza powietrznego”, jedynej władzy, która jeszcze znajduje posłuch i budzi resztkę czujności w zamartwionym mieście.

Straszny gość nawiedził Warszawę: morowa zaraza. Od listopada 1624 do maja 1625 r. pastwi się ona nad miastem, któremu już mnichy *Requiem* śpiewają. Kto mógł, za przykładem króla i magnatów, wyniósł się daleko; inni schronili się do puszczy pobliskich, wołąc kły wilcze i niedźwiedzie pazury, niż uścisk kościstej „Dziewicy moru”. Ci, których przytrzymał na miejscu obowiązek, miłość lub poświęcenie, padali jak muchy...

Przed trzema wiekami nerwy Warszawian mieniejsze były od dzisiejszych. Gdyby było inaczej, nie wytrzymałoby oni widoku wielu okropnych „egzekucji”, w które epoka Zygmunta III obfitowała. Najwydatniejsze, a zarazem najokrutniejsze były: ścięcie Nalewajki i ćwiertowanie Piekarskiego.

O herszcie zbuntowanych kozaków twierdzą pewni kronikarze, że był przed śmiercią na żelaznego, do czerwoności rozpalonego byka wsadzony, żelazną, rozpaloną blachą ukoronowany, poczem dopiero kat

ściął mu głowę. Chociaż opowieść ta jest bajką, od-  
cisnął się na niej znak srogich mąk, jakich wówczas  
straceńcom nie skąpiono.

Szczegóły egzekucyi Piekarskiego, historycznie  
stwierdzone, są niemniej okrutne — okrutniejsze jeszcze  
może. Pastwiono się nad niepoczytalnym obłąkańcem,  
któregoby dzisiejsze sądy do domu zdrowia odesłały,  
z zajadłem i wyrafinowanem okrucieństwem. Obwożo-  
no go po ulicach na wielkim wozie, gdzie kat przy-  
palał go „ogniem siarczystym,” a kleszczami ciało wy-  
rywał. Potem palono mu i obcinano kolejno jedną  
rękę i drugą, wreszcie czterema kołmi na cztery czę-  
ści był rozerwany. Po spaleniu ciała na stosie, pro-  
chami nabito działo i wystrzelono.

Kilkakrotnie w ciągu tego długiego panowania  
okrywa się żalobą dwór, a za nim i cała stolica.

Umiera najpierw Anna Jagiellonka, wdowa po  
Stefanie Batorym. „Acz zesła w wieku — pisze Niem-  
cewicz — w którym śmierć zbyt wczesną nazwać się  
nie może, nie zmniejszyła powszechnego po sobie żalu:  
zawsze zbyt krótko żyją ci, co się zasłużyli ojczyźnie.  
Powiększała stratę myśl, że pani ta była ostatnią,  
uschtą już gałązką bujnego szczepu Jagiełłów.”

Wistocie, wszystkie dodatnie znamiona rodu Ja-  
giellońskiego w Annie po raz ostatni objawiły się na-  
rodowi. Śmierć jej była ostatecznem zamknięciem  
okresu, ongi przez Władysława i Jadwigę rozpoczęte-  
go. Co do Zygmunta, łudzono się tylko, nazywając go  
potomkiem Jagiełłów. Smutną też prawdę mieszczą  
w sobie słowa Piaseckiego: „Z Anną Jagiellonką ze-  
szedł do grobu nietylko ród Jagiełłów, lecz zarazem  
powaga, przystojność i dawne, dobre obyczaje narodu.”

W 1597 śmierć zabiera Zygmuntowi pierwszą  
żonę, Annę, arcyksiężniczkę austryacką. Kochał ją  
mąż, cenili swoi i obcy. „Pani ta (słowa Niemcewi-  
cza), od dziejopisów naszych wielce chwalona, w 24-m  
roku wieku swego, przy porodzeniu córki, życie skoń-  
czyła.” Król bardzo żywo odczuł tę stratę.

I druga małżonka królewska, rodzona siostra tamtej, Konstancya, w Warszawie życie zakończyła. Szczegóły jej ostatniej choroby i śmierci rzucają znamienne światło na ówczesne stosunki. Królowa razem z królem znajdowała się na procesyi Bożego Ciała, przyczem oboje całą drogę odbywali pieszo, z odkrytymi głowami. Upał był wielki, królowa przepaliła na słońcu głowę, co było bezpośrednią przyczyną jej zgonu. Przeszło ćwierć wieku przeżył Zygmunt z Konstancyą; śmierć jej przeto uczyniła w jego życiu próżnię, niczem już zapełnić się nie dającą.

Nareszcie umarł w Warszawie i sam Zygmunt, a był on pierwszym monarchą polskim, który w naszym mieście oddał ostatnie tchnienie. Smutne szczegóły choroby króla (któremu, podobnie jak Batoremu, przyspieszyły śmierć głupota i upór lekarzy) opisał dokładnie ks. Albrycht Radziwiłł w swych „Pamiętnikach.” Powtórzył je, z przyprawą powieściową, Kraszewski w „Ostatnim roku panowania Zygmunta III.”

## *VI. Warszawa za synów Zygmunta III-go.*

Do odmalowania dokładnego obrazu Warszawy za Władysława IV-go wystarczyłoby przepisać „Gościniec” Adama Jarzembkiego.

W dobie najważniejszej, bo poprzedzającej bezpośrednio nawałę szwedzką i ruinę miasta, „muzyk Jego królewskiej mości i budowniczy ujazdowski” (jak się sam na tytule mianuje) odtworzył z natury, naiwnie, ale wiernie, współczesną sobie Warszawę. Inaczej, niebyśmy prawie o niej nie wiedzieli.

A piękną była Warszawa za pierwszego z synów Zygmuntowych. Przystroiła się ona wówczas mnóstwem pałaców, kościołów, ogrodów i prawie obcych jej do owego czasu dzieł sztuki. Pomnik, wystawiony przez króla szanownemu ojcu (więcej może szanowanemu, niż miłowanemu) „tuż za murem miejskim,” był pierwszym z monumentów publicznych stolicy.



Władysław w podróżach po Europie wykształcił smak i zapragnął uczynić Warszawę podobną do wielkich miast Zachodu. Piękny zamiar udał się w części kochającemu swój kraj monarcha. Sekundował mu w tem dzielnie towarzysz lat młodzieńczych i młodzieńczych wybryków, Kazanowski, o którego domu na przedmieściu Krakowskiem czytamy dziś, jak o zczarowanym pałacu.

Piękne też były dwa nowe pałace królewskie: jeden na drodze do Ujazdowa (późniejszy „Kazimierowski”), drugi w samym Ujazdowie.

Dobremu smakowi króla wystawili pochlebne świadectwo wybredni pod tym względem Francuzi. W drukowanych relacjach towarzyszków i towarzyszek Maryi Ludwiki czytamy o ówczesnej Warszawie gorące pochwały.

Światowy aż do zbytku król nie zapomniał jednak o Bogu i jego sługach. Nadany przez ojca popęd do zakładania nowych klasztorów, za rządów syna nietylko nie osłabł, lecz wzmocnił się jeszcze. Za Władysława osiedli w Warszawie: Karmelici, Pijarzy, Franciszkanie, Benoni, z żeńskich zaś zgromadzeń: Wizytki, Brygidki i Siostry Miłosierdzia, przezwane u nas „Szarytkami.”

Wiadomo, jak rozległe plany polityczne i wojenne chodziły Władysławowi po głowie. Niestety, myśl króla była lotna, ale ciało ciężkie, przedwczesną otyłością i podagrą do miejsca przykute. Rycerskie upodobania Władysława ujawniły się we wzniesieniu wspaniałego Arsenалу (przy ulicy Długiej, gdzie dziś więzienie), przezwanego z niemiecka „Cekauzen.” Opisał go malowniczo wspomniany Jarzembski; dokładny zaś jego „inwentarz” znajduje się w zapiskach słynnego Krzysztofa Arciszewskiego.

Dodajmy wreszcie, że król, żyjący modą francuską i lubiący widowiska sceniczne, urządził pierwszy w Warszawie teatr. Był to teatr dworski i istniał dla prywatnej tylko rozrywki króla i magnatów. Mimo to,

budził on pośrednio i w całym narodzie zamiłowanie do sztuki dramatycznej, zaspokajane do owego czasu wyłącznie przez kościelne oraz szkolne dyalogi i misterya.

Rządy Jana Kazimierza, nieszczęsne dla kraju całego, nieszczęsne były i dla Warszawy. Groty, wymierzane do całego organizmu Rzeczypospolitej, godziły przedewszystkiem w jej serce — stolicę. Opisywać Warszawę po roku 1655 znaczyłoby wyliczać same klęski i straty.

Bez przesady można powiedzieć, że z rokiem tym zapada się w przepaść nicości dawna, książęca i królewska Warszawa — Warszawa kwitnąca, bogata, piękna, pochwałami przez cudzoziemców darzona.

To, co po tamtej Warszawie pozostało, po sto razy zmieniane, zacierane i do nowych smaków przystosowywane, jest albo bladą marą znikłej rzeczywistości, albo, co gorsza — jej karykaturą.

Jak wyglądała Warszawa bezpośrednio po wojnach szwedzkich, o tem poucza „Rewizya miast Starej i Nowej Warszawy z roku 1659” (przytoczona z rękopisu przez Sobieszczańskiego). Znajdujemy w niej taki naprzykład opis ulicy Długiej.

„Bywały tu dawniej pańskie i różne gospody, do dyspozycyi marszałkowskiej należące, mianowicie na posłów tatarskich, tureckich i innych oryentalnych; teraz puste place aż po za dwór Jego Mci Biskupa Płockiego, a cała ta ulica ośm tylko zabudowań liczy.”

Tak było w całym mieście, które sprawiało wrażenie zgłiszczy pożarnych lub olbrzymiego cementarza...

Na dobro miasta w owej epoce zapisać trzeba: otwarcie dwóch klasztorów (Dominikanów Obserwantów i Bonifratrów), oraz urządzenie pierwszej stałej poczty (mieściła się na Krzywem-Kole).

Nakoniec za Jana Kazimierza (w roku 1661) ujrziała Warszawa po raz pierwszy polską gazetę. Był nią wydawany przez Jana Aleksandra Gorczyzna „Merkuryusz Polski Ordynaryjny.”

## VIII. Warszawa za Michała i Jana.

Nijakie pod każdym względem rządu młodego Wiśniowieckiego i w dziejach Warszawy nie zapisały się niczem trwalszem. Tragiczna była dla miasta elekcyja tego króla. Co jeszcze pozostało po niedawnej zawierusze wojennej, zniszczył wówczas do szczętu pożar gwałtowny.

W „Regestrze Rewizyi Gospód miasta Starej Warszawy” z roku 1669 (rękopis) znajduję wymowne ślady tej katastrofy. O ulicy Piekarskiej naprzykład czytamy: „Ulica Piekarska wszystka zgorzała na Sejmie *Electionis* po lewej ręce od Rynku ku Murowi.” A dalej: „Druga strona na tej ulicy po prawej stronie zgorzała wszystka.” A dalej jeszcze: „Z Rynku idąc od Dunaju ku Bramie na Wału po lewej ręce zgorzało wszystko...”

Z ważniejszych faktów, którymi panowanie to kronikę Warszawy wzbogaciło, zapisać można koronacyę królowej Eleonory, arcyksiężniczki austryackiej. Był to drugi już obrzęd koronacyjny, odbyty w Warszawie, jakby naprzekór Krakowowi. Tymi obrzędami Warszawa utrwałała w Rzeczypospolitej i wywalczała sobie stanowczą wyższość nad zmieniającym się zwolna w grobowe mauzoleum Krakowem.

Innych wspomnień i pamiątek król Michał w Warszawie nie pozostawił. Za krótkich jego rządów, miasto nasze zajęte było wyłącznie gojeniem ran po kłeskach.

U Kamedułów na Bielanach znajdują się piękne portrety pary królewskiej. Wiśniowiecki należał do szczególnych dobrodziejów i częstych bywalców pustelni Bielańskiej. Dowodzi to, że był zdolniejszy do rozmyślań ascetycznych, niż do rycerskiego i politycznego czynu.

I król Jan, zbawca chrześcijaństwa, dla Warszawy nic zbawczego nie zrobił. Być może nawet, że ujął jej nieco blasku — przez zbudowanie bowiem pa-



Warszawa w wieku XVIII za Stanisława Augusta.



łacu w Wilanowie i zamieszkanie w nim tam przeniósł środek ciężkości miasta.

Kapucyni na Miodowej i Karmelici na Lesznie przez tego króla byli sprowadzeni do Warszawy. „Marysiénka” na swoją rękę ufundowała żeński zakon Sakramentek.

Żonie Sobieskiego i jej praktycznym,—że nie powiem: handlarskim—tendencjom, zawdzięczała Warszawa wielki bazar, nazwany od imienia założycielki „Marywilem.” I tu znalazła się „Panu Bogu świeczka”—pod postacią kaplicy, która w bazarze dziwne zaprawdę czyniła wrażenie.

Powstał wówczas i Marymont, myśliwski pałacyk króla i jego małżonki, również imieniem tej ostatniej ochrzczony.

Za Sobieskiego, chociaż był on jednym z najszczerzej polskich monarchów—nad miarę rozpanoszyli się w Warszawie Francuzi. Ciekawe o tem szczegóły podaje Pasek. U niego też doczytać się można przednich rzeczy o cyrku francuskim, gdzie dworowi austriackiemu jawnie urągano...

Warszawa posiada dotąd pamiątkę tego świetnego nazewnątrż panowania. Skromna to pamiątka, choć w widocznym punkcie umieszczona, niewielu też mieszkańcom Warszawy wiadome jest historyczne jej znaczenie.

Pamiątką tą—figura Matki Boskiej na Przedmieściu Krakowskim, ongi przed domem Malcaza (gdzie zaczynało się Wązkie Krakowskie Przedmieście), dziś na skwerze, stojąca.

Figurę tę wystawił Bellotti, architekt włoski, w Warszawie osiadły, w roku tryumfu wiedeńskiego, a zarazem na pamiątkę tego tryumfu. Gdybyśmy naszym pamiątkom i zabytkom okazywali to zajęcie, jakiego nie szczędzimy obcym, roztargniony nasz wzrok dostrzegłby na podstawie tej figury napis, wyjaśniający dokładnie jej znaczenie. Czytamy tam między

innemi: „Dnia 12 września Roku Pańskiego 1683, najwaleczniejszy z królów Jan III, za Boską pomocą & oblegających Wiedeń Turków świetnie pokonał. Tego samego dnia, tak szczęśliwego &, dla uwiecznienia głazem, ten pomnik &, Józef Bellotti, Włoch, własnym kosztem wystawił.”

#### VIII. Warszawa za Sasów.

Wyobraźmy sobie położenie człowieka, który znalazł się niespodzianie pomiędzy dwiema bijącymi się z sobą gromadami ludzi. W takim położeniu znajdowała się za Augusta II-go nieszczęsna Warszawa.

Początek wieku XVIII-go przyniósł jej nowe odziedziny Szwedów, nowe bitwy i nowe ruiny. Potem zaczęły się nieustanne przechody wojsk rosyjskich, które przysyłał Piotr Wielki, uczyniwszy się przyjacielem i obrońcą Augusta.

W lipcu 1707 roku przybył do Warszawy sam Piotr i zamieszkał w pałacu Bielińskiego (późniejszy pałac Łubieńskich na Królewskiej, przed kilku laty rozrzucony).

Gdy burze wojenne przycichły, Warszawa jęła się pracy około uprzątnięcia gruzów i zabudowywania pustek. Król dał początek, wznosząc olbrzymi pałac dla siebie i dla swego liczego dworu. Pałac ten, przez Sasa zbudowany, nazwano „Saskim.” Tenże tytuł dostał się i przylegającemu do pałacu ogrodowi, oraz jednej z kęp na Wiśle (było ich wówczas trzy, a każda miała nazwę oddzielną).

Warszawa za Sasów stała się miastem po wierzchu strojnem, w głębi pełnem brudu, niechlujstwa i nędzy. Kontrasty: bogactwa i biedy, przesytu i głodu, wytworności i gburostwa — nigdzie może i nigdy nie występowały tak ostro, jak wówczas w stolicy Polski.

Warszawa saska stała się także miastem wesołym. Była to wesołość człowieka pijanego, który

o tem, co było, zapomniał, a o tem, co będzie, myśleć nie mógł.

Przez cały rok grzmiały kapele, przygrywając letnim i zimowym zabawom, bale następowały po balach; miłostki były dla wszystkich nieodzowną przyprawą życia; niezmierną ilość prochu marnowano na fajerwerki, a wojsko polskie i saskie, służyło wyłącznie za materiał do przeróżnych, paradnych rewij i manewrów, któremi niedolężny król bawił siebie i naród. Uwieńczeniem wszystkiego była wielka, po dzisiejszemu się wyrażając: „szopka” wojenna, zwana Kampamentem, urządzona na polach pomiędzy Warszawą a Wilanowem.

Za Augusta II-go, przybyły Warszawie kościoły: Trynitarzy na Soleu i Bazylianów. Tenże król zbudował tak zwaną „Kalwaryę,” to jest szereg kapliczek z wyobrażeniami stacyi Męki Pańskiej.

August III-ci w dalszym ciągu prowadził dzieło ozdabiania i rozweselania Warszawy. Kształcił on zwłaszcza wytrwale jej muzykalność, oraz kult baletowy i cyrkowy. Dotychczas, w usposobieniu Warszawian odnajdują się ślady owej tresury.

Innemi potrzebami miasta flegmatyczny ten epikurejczyk wcale się nie zajmował. Na szczęście dla Warszawy, znalazła ona dzielnego opiekuna we Franciszku Bielińskim, marszałku wielkim koronnym. Ten energiczny zarządca miasta uczynił dla niego tak wiele, że sobie na pomnik od Warszawian zasłużył. Powiedzieć nawet można, że on pierwszy dopiero o zaprowadzeniu w Warszawie ładu pomyślał. Inni czynili Warszawę bogatą, wspaniałą, politycznie silną i strojną; Bieliński dopiero uczynił ją — porządną.

Z działalnością wzorowego marszałka łączy się bezpośrednio działalność tak zwanej „Komisyi Brukowej.” Komisya, której kierownikiem i duszą był Bieliński, dokonała pracy prawdziwie Herkulesowej, bo ówczesna Warszawa przedstawiała uderzające podobieństwo do stajni Augiasza.

Wybrukowano ulice, urządzono ścieki, uprzątnięto z ulic odwieczne śmiecie, umożliwiono dostęp do Wisły, a co najważniejsza, opodatkowano obywateli według stałej i dla wszystkich jednakowej normy.

Z nowych użytecznych nabytków, jakie miasto w tym czasie otrzymało, wymieniamy: latarnie w bramach miejskich, pompy, dostarczające dobrej wody do picia, pierwszy plan Warszawy, pierwszą loteryę i pierwsze—kawiarnie.

W tej epoce ogólnego rozprężenia, ponieważ praw i rozpasania obyczajów, Opatrzność zesłała miastu i krajowi innych trzech jeszcze mężów, równych Bielińskiemu rozumem, energią i miłością dobra publicznego. Pierwszym był Baudouin, założyciel szpitala Dzieciątka Jezus; drugim Konarski, twórca *Collegium nobilium*; trzecim Załuski, fundator biblioteki publicznej.

### IX. Warszawa za Stanisława Augusta.

Ze czcią spoglądam i innym spoglądać zalecam na odwieczne, ciemne, opuszczone i najczęściej brudne bardzo domy staromiejskie. Te domy były szansem, o który roztrącały się fale cudzoziemczyzny, raz po raz zalać nas usiłującej.

W ciągu wieków groził Warszawie kolejno zalew włoski, szwedzki, francuski. Za Stanisława Augusta zalew francuski raz jeszcze wtargnął, ale nakształt bałwana, przewalającego się przez wierzch okrętu, zmiotł i uniósł to jedynie, co się nieopatrnie na czoło wysunęło. Głębin, to jest tego, co stanowi rdzeń miasta, nawet nie dotknął, tym rdzeniem zaś było: stare mieszczaństwo, gnieźdzące się w owych poczerniałych, o Don-Kichotowej figurze, kamienicach.

Stara Warszawa przetrwała w tym samym, zewnątrznym i wewnątrznym kształcie epokę książąt Mazowieckich, Jagiellonów, Wazów i królów obieralnych. Sądzonem jej było przetrwać tak samo rządy



Stanisława Augusta i dalsze, aż do chwili obecnej sięgające, odmiany.

Jednak epoka, która część narodu rozebrała z kontuszów, musiała i część miasta ukształtować po cudzoziemsku. Wistocie, gmachy stawiane za rządów Poniatowskiego, komnaty zamkowe jego pomysłem zdobione, wreszcie cała zewnętrzność dworu i tego, co się nazywać zwykło „lepszem (?!) towarzystwem” — nosiły wyraźne znamiona francuzczyzny. Cóż mówić dopiero o najdoskonalszem wcieleniu idei i upodobań króla: o „Łazienkach królewskich,” prześlicznych, ale wyglądających u nas, jak drzewo pomarańczowe w sadzie polskiego chłopka!

Zresztą epoka ta, aż do ostatnich lat XVIII-go wieku, była dla Warszawy względnie pomyslna. Miasto rozrastało się w różnych kierunkach, oddalając się coraz bardziej od swego jądra staromiejskiego. Przybywało mu z roku na rok ludzi i gmachów. Wsie okoliczne łączyły się z niem i wsiąkały w nie, tracąc byt odrębny. „Jurydyki” broiły po dawnemu — może nawet gorzej—wszystko to jednak spajał cement stołeczny; nad wszystkim sprawiała rządy symboliczna—Syrena... Ten wielki ruch budowlany, administracyjny i towarzyski wyglądał na zakreśloną szeroko pracę przygotowawczą. I dlatego współczesny obserwator (ksiądz F. S. Jezierski) tak o tem pisze:

„Uważając Warszawę ile dopiero ma być miastem, to jest mila wszecz i wzdłuż, obwiedziona jest miałkim przekopem, napełniona kamienicami, pałacami, kościołami i klasztorami, dworkami drewnianymi, szpitalami, ogrodami, budynkami starymi, browarami, magazynami, młynami, cegielniami, fantazyami nakoniec umysłów pańskich. Ta rozległość pochłonęła wsie i folwarki okoliczne, które dziś są niby przedmieściami przedmieściów. Reszta odsuniętych miejsc wydaje się oczekiwać murów od ludzi, od czasu i od pieniędzy.”

Ryciny i obrazy Canaletta, rysunki Norblina

i Orłowskiego odtwarzają wiernie ówczesną stolicę — jej postać i barwne, ruchliwe, z punktu malarskiego niezrównanie piękne, życie.

W przetwarzającej się stolicy jedna tylko rzecz pozostała niewzruszona: porządki, a raczej nieporządki miejskie. Cała energia i wszystkie wysiłki Bielińskiego nie zdołały wykorzenić całkowicie narowu, który wsiąknął już niejako w krew mieszkańców Warszawy.

Porwanie króla o pół do dziesiątej w nocy, na ulicy pierwszorzędnej, o sto krcków od Zamku dostatecznie chyba stwierdza, że w roku 1771 oświetlenie ulic warszawskich i czujność miejskiej policji wiele pozostawiała do życzenia...

Dopiero po tym fakcie, zabrano się nieco energiczniej do naprawienia rażących błędów. Przedewszystkiem zaś powiększono liczbę latarni i wydano przepisy o meldunkach.

Za Stanisława Augusta, przybyły Warszawie dwa kościoły: Św. Karola na Powązkach i Bazyliński na Miodowej. Wzniosła też własną, piękną świątynię gmina ewangelicka. Król rozszerzył i wspaniale wewnątrz przyozdobił Zamek, budząc rymowane zachwyty wśród dworskich poetów. Stanęły wreszcie piękne koszary dla wojska.

Przy ogólnym wzroście sztuki i literatury, musiał i teatr zakwitnąć. Jakoż przedstawienia polskie najpierw w miejscach przygodnych, następnie w umyślnie wzniesionym gmachu na placu Krasińskich, weszły na stały program zabaw stołecznych. Rozumie się, że obok nich nie brakło — jak i dziś nie braknie — popisów francuskiej komedji, włoskiej opery i kosmopolitycznego baletu.

Z faktów ważniejszych zapiszmy jeszcze: zbudowanie mostu łyżwowego na Wiśle (1775), wzniesienie posągu Sobieskiego w Łazienkach (1788) i zakaz chowania zmarłych przy kościołach (1782).

## X. Warszawa pod rządem pruskim.

Zmiana dekoracyi...

Niema już Królestwa Polskiego, niema więc tem samem jego stolicy, Warszawy. Są tylko „Prusy Południowe” i jest w nich: *der Hauptstadt Warschau*.

Wszystko się z gruntu przetwarza i zmienia. Na lepsze, czy gorsze?

O „czasach pruskich” słyzy się u nas najrozmaitsze sądy. Przeważnie brzmią one surowo i niepochlebnie. Falkowski, Morawski i inni biadają nad upadkiem moralnym prowincyj polskich pod rządem Fryderyka Wilhelma. Według nich, rząd ten nie tylko nie powściągał ogólnego rozprzężenia obyczajów, lecz nawet rozpustę rozmyślnie podniecał. Skarbek powstrzymuje się od tych, cokolwiek za śmiałych sądów, ale w „Pamiętnikach Seglasa” maluje jaskrawo zgniliznę i rozkład moralny społeczeństwa.

Ludzie zrezygnowani nie opuszczają rąk, nie tracą otuchy, i godząc się z położeniem, usiłują stworzyć sobie i ogółowi nowe, daleko znośniejsze warunki istnienia.

Rząd dopomaga wyborną administracją, powściągnięciem nadużyć, usuwaniem nieporządku i bezładu — instytucjami nareszcie, dobro ogółu mającemi na celu.

Najzawziętszy prusakożerca nie zaprzeczy, że w miastach polskich, a przedewszystkiem w Warszawie, rządy Fryderyka Wilhelma pozostawiły ślady użytecznej działalności. „Prusacy — pisze w pamiętnikach swych pewien Rosyanin, wśród nas podówczas przebywający <sup>1)</sup> — budowali w prowincjach polskich miasta, ulepszyli byt włościan, poskromili nadużycia szlachty, pozaprowadzali szkoły, agencye ubezpieczeń, towarzystwa dobroczynności, wspierali rękodzieła i pracownictwo. Dowiedli oni w Polsce, że nie klimat i nie gleba formują naród, lecz instytucye.” W pochwałach

<sup>1)</sup> Michajłowski — Danilewski.

tych tkwi nieco przesady, główna ich treść jest niewzruszona, bo na faktach oparta.

Warszawa pod rządem pruskim spoważniała i zdeokratyzowała się.

Niczem pięknem nie zbogaciło się miasto w tym czasie; przybyło mu za to niejedno użyteczne. Przewszystkiem skończyły się rządy jurydyk, które podciągnięto pod władzę jednego dla całej Warszawy magistratu. Następnie wzmógł się handel przez wpuszczenie do miasta żydów. Dalej wzmocniło się życie rodzinne i towarzyskie. Nakoniec, dzięki wielu użytecznym instytucyom, podniosły się: dobrobyt i wygoda mieszkańców.

Samo wyszczególnienie tych instytucyj dostatecznie ważność ich okaże. Tak więc za rządu pruskiego pozyskała Warszawa: lombard miejski, wypożyczający pieniądze na fanty po 8 od sta rocznie; hipotekę miejskich nieruchomości; liceum, czyli szkołę publiczną, dzisiejszym gimnazyom odpowiadającą; dobre oświetlenie; targi uwzględniające sanitarne i ekonomiczne potrzeby miasta; przytułki dla żebraków, miejskie towarzystwo ogniowe; kantor zleceń, ułatwiający stosunki między wytwórcami a spożywcami; drożki, bruki, pensye prywatne i t. p.

Nareszcie zapisać trzeba w tym rozdziale fakt wielkiej doniosłości: założenie (w r. 1800) Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

### *XI. Warszawa za Księztwa Warszawskiego.*

Za rządów Fryderyka Augusta — istnej marynetki, poruszanej przez Bonapartego — Warszawa była najpierw koszarami, potem zbornym punktem rekrutów, w końcu — olbrzymim szpitalem.

Przez te osiem lat wypełniała miasto jakaś niezdrowa, duszna, zaczadzająca atmosfera. Oddychający nią żyli w ciągłym upojeniu palaczy opium. Okropne czekało ich przebudzenie!



Warszawa, tak samo, jak świat cały, tylko straty w bilansie swym zapisywała. Wszyscy żyli w oczekiwaniu wielkich rzeczy, które nigdy nadejść nie miały; wszyscy wyteżali wzrok w przyszłość, dobą obecną wcale się nie zajmując. Na tym gruncie ruchomym nie, naturalnie, wzrosnąć nie mogło.

Miasto, okazujące po wierzchu sztuczną energię, w rzeczywistości było biedne i oswiałe i coraz bardziej żywotność swą traciło. Smutny, bo prawdziwy jego obraz odmalował Pradt w swych wspomnieniach ambasadora francuskiego.

Niedość było Napoleonowi wyludniać miasto, zabierając mu wszystką młodzież, ubożyć obywateli podatkami wojennymi, zabierać jeszcze kazał i do Paryża wywozić nieliczne dzieła sztuki, jakie je zdobiły. Ogołocoło wówczas pałace i kościoły z wielu pięknych obrazów, których część, wskutek energicznych upomnień się, została zwrócona.

Wysilano się nad sposobami okazywania Napoleonowi holdów, graniczących z ubóstwianiem. Skarbek w swych „Dziejach” obszernie o nich pisze. Nie wymieniając innych, wspomnimy tylko o przemianowaniu ulicy Miodowej na „Napoleońską.”

Ogłoszenie kodeksu Napoleona przyjęto z tym samym zapalem, co i jego osobę.

Na szczęście, obok ogółu, żyjącego wyłącznie przyszłością, stały jednostki, nie spuszczaające z oczu obecności. Im to zawdzięczać trzeba utworzenie „Najwyższej Izby Edukacyjnej,” która sprawami oświaty z pożytkiem się zajmowała, a dalej otwarcie „Szkoły prawa,” „Szkoły lekarskiej,” oraz „Towarzystwa Dobroczynności.”

Działalność teatru pod dyrekcją Wojciecha Bogusławskiego w tej epoce ogólnego podniecenia umysłów, była bardzo ożywiona; podniosło się też dziennikarstwo, zasilane obfitością nowin i pilnem ich poszukiwaniem.

Nietylko wojenne i polityczne, lecz żywiołowe

klęski dotykały w tem ośmioleciu Warszawę. W liczbie ostatnich zapisała kronika miasta dwa wielkie pożary, z których jeden obrócił w perzynę dawną bibliotekę Żaluskich przy ulicy Daniłowiczowskiej, a drugi zniszczył cały prawie pałac Kazimierowski na Krakowskim Przedmieściu.

W roku 1807 inżynierowie francuscy zamierzili nauczyć Warszawian, jak się mosty budują. Zabrawszy się żwawo do dzieła, w ciągu kilku miesięcy postawili most na palach, który kosztował 700,000 złotych polskich. Otwarto go w czerwcu — przyczem zdów wybuchnęły zachwyty, a może także ody, kantaty i hymny.

Ale zaraz następnej wiosny trzeba było śpiewać elegie i gorzkie żale—lody bowiem skruszyły to arcydzieło, a woda pale wyrwała i uniosła.

Możnaby w tym moście widzieć symbol wszystkich ówczesnych obietnic i nadziei...

## *XII. Warszawa, jako stolica wskrzeszonego Królestwa*

W r. 1815, wskutku nowej odmiany politycznej, Warszawa stała się napowrót tem, czem ją był uczynił Zygmunt III. Cesarz Aleksander I, przywracając krajowi naszemu tytuł królestwa, koronował się w Warszawie, jako w jego stolicy, na króla polskiego. Miasto podniosło się i rozpoczęło nowy okres rozwoju na drodze pokojowej.

Warszawę po roku 1815 opanowała namiętność odmładzania się. Burzono jedne po drugich stare mallownicze bramy miejskie; pod oskardami mularskim padł Ratusz staromiejski, istna relikwia, której każda cegła była godną zachowania pamiątką; dwa czołowe skrzydła zamku, oraz szereg kamienic przy Bramie Krakowskiej, znikły bez śladu; rozrzucono kościół i klasztor Dominikanów Obserwantów, rozebrano Pocięjów, przekształcono Marywil i t. d.

Natomiast przystroiło się miasto całym szeregiem

gmachów, rozpaczliwie monotonych, wedle jednego pseudo-klasycznego typu wznoszonych i dziwacznie wyglądających pod naszym niebem i wśród naszego klimatu. Twórcą tych wszystkich, przeładowanych kolumnami, budowli był Włoch, Corazzi, który niemi w kronice Warszawy zapisał się trwale—zbyt trwale niestety.

Warszawa wzrastała w ludność i w bogactwo, a jako miejsce sejmów, gromadziła w swych murach bogatą szlachtę i przedstawicieli całego kraju. Przybywały jej coraz nowe instytucje i coraz nowe porządki.

Gdy szczątki legionów wróciły do kraju i gdy, wyrażając się stylem ówczesnym, „w świątyni Janusa, zamknięto podwoje,” zaczęły dawać znaki życia: literatura i sztuka.

Ludzie, których wzrok dalej sięgał, przepowiadali Warszawie wielką przyszłość, głównie ekonomiczną. Należał do tych ludzi Staszic.

. . . . .

---

## VII.

### O początku Towarzystwa Dobroczynności.

...Rok 1812 pozostawił po sobie zwykłe lat krwawych potomstwo: żalobę, kalectwa, nędzę. Warszawa, leżąca na szlaku orłów Napoleońskich, widziała odwrót prawego skrzydła wielkiej armii, która przestała już być wielką. Miasto zapełniło się ludźmi, chorymi ciałem i upadłymi na duchu, rannymi i żebrakami. Zewsząd wołano o nóż chirurgiczny, o szar-

pie, o pieniądze, o chleb. Miejsca zaczynało braknąć na szpitalach, które nazywano „lazaretami”, dla mąk Łazarzowych, które tam cierpiał niejeden.

Po chybionem i jałowem dziele dumy, przyszła kolej na owocne i zawsze do celu trafiające dzieło miłosierdzia.

Dzieło to nie było obce Warszawie, owszem, stanowiło jedną z jej praktyk częstych, rzec nawet można: nieprzerwanych. W ostatnim roku tylko minionego stulecia, Warszawianie utworzyli „Towarzystwo przyjaciół ludzkości”, natchnione i wywołane dobrym przykładem Monachijczyków. Hasłem towarzystwa było: „głodnego nakarmić”, celem: dostarczać nędzarzom codziennego posiłku pod postacią tak zwanej „zupy ekonomicznej” i sporego kęsa chleba.

Wynalazcą wymienionej zupy, która nie dotąd na swej wartości higienicznej i dobroczynnej nie straciła, był hr. Beniamin Rumfordt, człowiek dziwnie ruchliwy, w jednej osobie: wojak, przyrodnik i filantrop. Urodzony w Ameryce, kształcił się w Anglii; odbywszy kampanię o niepodległość amerykańską, powrócił do Europy; ku schyłkowi życia przemieszkiwał w Bawarii, umarł zaś we Francji. Bawiąc w Monachium, gdzie zajmował się organizacją armii bawarskiej i czyniąc doświadczenia fizyczne, wpadł na pomysł przyrządzania taniej a posilnej zupy przy pomocy hermetycznie zamkniętego „kociołka Papin'a.” Pomysł zastosowano zaraz w praktyce do celów filantropijnych, najpierw w Monachium, potem w innych miastach. Warszawa przyswoiła go sobie w roku 1799. I stała się rzecz nieprzewidziana: o pracach uczonego hrabiego z zakresu fizyki, strategii i dyplomacyi świat zapomniał, zupa zaś „Rumfordzka”, na którą on sam najmniej zapewne liczył, zapewniła mu — względną, jak wszystko na świecie — nieśmiertelność.

Niewiele wiemy o losach „Towarzystwa przyjaciół ludzkości”, które biedaków warszawskich posilało



zupą rumfordzką. Kilka sprawozdań, zamieszczonych w gazetach ówczesnych, poucza nas tylko, że w pierwszych latach bieżącego wieku z dobrodziejstwa tego korzystało w Warszawie po 250 do 300 osób dziennie. Potem zamieszki polityczne sparaliżowały w związku całe to dzieło.

Kiedy okropności wojen Napoleońskich powołały do czynnego działania filantropię warszawską, członkowie tamtego właśnie towarzystwa utworzyli inne, które nazwało się krócej i prościej: „Towarzystwem Dobroczynności.”

W samą wigilię Bożego Narodzenia 1814 r. odbyło się otwarcie nowej instytucji. Pamiętna to data. Od tej daty nędzarz warszawski miał prawo podnosić nagięte ku ziemi czoło, bo mu powiedziano, że jest „rzeczą świętą” (*res sacra miser*).

Jak w każdym dziele miłosierdzia, tak i tu, głównymi działaczkami były kobiety. Listę ich rozpoczyna hr. Zofia ordynatowa Zamoyska. Obok niej kupi się pięć pierwszych opiekunek towarzystwa: Gutakowska, wojewodzina, księżna Sapieżyna, księżna Wirtemberska, Teresa Klicka, Cecylia Beydale.

W składzie administracyi znajdujemy nazwiska: Adama księcia Czartoryskiego, starosty-wojewody, jako prezesa towarzystwa, hr. Ordynata Zamoyskiego, jako wice-prezesa. Prezesem wydziału I-go jest minister sprawiedliwości, Wawrzecki; prezesem wydziału II-go doktor medycyny, Berganzoni.

Listę członków wydziału I-go rozpoczyna Julian Ursyn Niemcewicz.

Towarzystwo zdobyło sobie odrazu miłość i poparcie społeczeństwa. Posypały się ofiary, których wykaz jest z wielu względów ciekawy. Występuje w nim sto dukatów hrabiego Pocięja i sześć tysięcy złotych polskich hr. Ostrowskiego, wojewody, prezesa senatu—nie brak wszakże i *pótzłotka*, opatrzonemu takim komentarzem:

„W czasie wielko-tygodniowej kwesty część je-

dna szanownych Jałmużnic, które tej pracowitej dla ludności podjęły się pielgrzymki, przyszła z kolei do jednego z wyższych oficerów, przed którego kwaterą stał szyldwach.—Nie można—rzecze sucho żołnierz.—Generał nikogo puszczać nie kazał.—My nie z wizytą, ani we własnym interesie — odezwał się towarzyszący damom młodzieniec — kwestujemy dla biednych. — Dla biednych? — powtórzył tonem ułagodzonego grenadyera — ha, to co innego... Generał nie mógł tego przewidzieć... Idźcie, panie, a tymczasem przyjmijcie, na co zdobyć się może chudoba — rzekł i położył na tacy półzłotka.”

W pierwszym roku istnienia Towarzystwa dochody jego wynosiły złp. 120,609 gr. 22. W szczegółowych pozycjach są dwie znamienne. Pierwsza brzmi:

„Ze sprzedaży szarpi—złp. 11,023 gr. 4.”

Druga:

„Z teatru Amatorów—złp. 17,856.”

Funduszami szafowano oszczędnie. Pierwszy rok zamknięty był remanentem złp. 40,028 gr. 9. Po między wydatkami zapisano: „Na wspomnienie jeńców, powracających z niewoli, złp. 1,000.” Najwyższym wydatkiem było: „Wspomożenie szpitali warszawskich”; użyto na ten cel całkowitego wpływu z kwesty wielko-tygodniowej, w kwocie złp. 20,419.

Pomimo sympatyj ogółu i możnych protektorów, Towarzystwo w pierwszych latach nie mogło rozwijać się należycie. Stał temu na przeszkodzie brak odpowiedniego pomieszczenia.

W przedmowie, którą do pierwszego rocznika Towarzystwa napisał Niemcewicz, braki te są otwarcie wykazane. „Towarzystwo Dobroczyńności — mówi autor *Śpiewów historycznych* — zna dobrze, ile jeszcze potrzeba, aby instytut ten do takiego przywieziony był stanu, by ludzkości i społeczeństwu stał się istotnie pożytecznym. Ale skoro tylko otrzyma od Najjaśniejszego Pana dogodność domu i miejsce po temu,

nie omieszka zaraz zająć się jak najlepszem onego urządzeniem, opatrzyć mieszkania dostatnio i wygodnie, założyć szafarnie, kuchnie i piekarnie na wzór Rumforeckich urzędzi, gdzieby chleb i żywność tanio, posilnie i zdrowo przygotowywanemi były, wyznaczyć osobną dla chorych infirmaryę, mieć własną pralnię; nakoniec zaprowadzić po wszystkich salach warsztaty i kołowroty, gdzieby biedni, pod dozorem majstrów pracując, nie znali szkodliwego próżniactwa i choć po części na utrzymanie swe zarabiać mogli..”

Przez cztery pierwsze lata towarzystwo mieściło się częścią w zabudowaniach księży Franciszkanów na rogu Franciszkańskiej i Zakroczymskiej (które rząd pruski w części już przerobił, zamierzając urządzić tam więzienie, a zakonników przenieść do Warki), częścią w gmachu Konwiktu Pijarskiego przy ulicy Miodowej (N. 487). Niektóre sekcyje musiały nawet szukać pomieszczenia za miastem, a mianowicie w Woli Grzybowskiej pod Warszawą.

Do dzisiejszego gmachu na Krakowskim-Przedmieściu przeniosło się Towarzystwo w roku 1819. Gmach ten nie miał wówczas swej dzisiejszej postaci. Nadał mu ją dopiero w kilkanaście lat później słynny Corazzi, który w pierwszej połowie naszego stulecia odegrał w dziejach budownictwa warszawskiego rolę tak wydatną, jak Hausmann w Paryżu za drugiego Cesarstwa.

Obecne swe pomieszczenie otrzymała Dobroczynność w puściźnie po Karmelitach, których skromny kościółek stanowi dziś kaplicę Towarzystwa. Prócz tego część gmachu wznosi się na miejscu dawnego pałacu Kazanowskich.

O Karmelitankach, które w swoim czasie zajmowały w kronicy Warszawy miejsce wydatne, dziś już mało kto wie i pamięta. Zakonnice te, zwane „Bosaczkami”, przybyły do naszego miasta w pierwszej połowie XVII w. Początkowo mieściły się w skromnym dworku drewnianym, a gdy, przy pomocy do-

brych ludzi, zbudowały sobie około r. 1650 murowany klasztor, kule szwedzkie obróciły go niebawem w perzynę. Klasztor jednak razem z kościółkiem odbudowano i dobrze zaopatrzono, „Bosaczki” bowiem cieszyły się opieką rodzin magnackich, a nawet panujących.

Mały kościół Karmelitanek, który Erndtel w swym opisie (*Varsavia physice illustrata*) nazywa „kaplicą” (*sacellum*), posiadał dwie właściwości, wyróżniające go spośród innych. Tu uczęszczali głównie cudzoziemcy, dla których wygłaszano kazania w języku francuskim (miewał je w początkach tego wieku Albertrand w przytomności Ludwika XVIII-go); tu również, w grobach pod kościołem, chowano dzieci najznakomitszych rodzin. U Karmelitanek pochowano, między innymi, córeczkę Władysława IV-go. Ojciec uczcił jej pamięć pięknym pomnikiem, który jednak w czasie najazdu szwedzkiego zniknął bez śladu.

Po oddaniu gmachów klasztornych Towarzystwu Dobroczyńności, Karmelitanki, których było jeszcze wówczas trzynaście, przewieziono do Krakowa.

Pałac Kazanowskich słynął w wieku XVII z przepychu i stanowił jeden z dziwów, już nie tylko miasta, ale kraju całego. Opisywano go wielokrotnie. „Dziwem” uczynił ten gmach dopiero Adam Kazanowski, starosta borysowski, marszałek wielki koronny, towarzysz nauk, podróży i... rozpusty Władysława IV-go. Niezłomne bogactwa, z tego właśnie stosunku osiągnięte, włożył on w urządzenie pałacu, który był poprzednio skromnym dworem skromnego również Boboli.

Ostatnia okoliczność włożyła w usta rymopisa Jarzembskiego następujący naiwny okrzyk:

Gdyby zmartwychwstał Bobola,  
Zawołałby z włoska: *Ola!*  
Podkomorzy, urzędniku,  
Przeszły miły namiestniku!  
Pewnieś tu Zamek założył,  
Boś koszt wielki na to tożył.





Warszawa w początkach wieku XIX-go.

Nje dziwuję! Według świata  
 Wymyślają młodzi w lata,  
 Wszystko kształtnie *alla modo*,  
 Z cudzoziemska *più comodo!*

Dopiero po przeniesieniu na Krakowskie-Przedmieście, Towarzystwo Dobroczynności otrzymało ustawę. Wyszła ona z druku w r. 1820, nosi zaś datę 24 grudnia 1819 r. Podpisali ją: Niemcewicz, ówczesny „Prezes Rady administracyjnej a razem wydziału opiekuńczego i wyszukiwania funduszków”, oraz sześciu członków: Plater Ludwik, Łubieński Jan, Kosakowski Józef, ks. Węgierski Maciej, ks. Diehl Karol i ks. Lauber Karol. Treściwa ta ustawa posiada tytułów 8, artykułów 36. Obowiązywała ona aż do roku 1892-go, w którym, stosownie do zmienionych potrzeb i warunków, przerobiono ją i uzupełniono.

W artykule 35-tym ustawy pierwotnej znajduje się szczegół ważny. Pomiędzy tymi, którzy „nie należą do przednich starań Towarzystwa”, wymieniono tam „złożonych chorobą obłożną lub zaraźliwą, których wyraźna jest do szpitalów publicznych kwalifikacya.” Dziś zastrzeżenie takie wydaje się nam zgoła zbytecznem, wówczas było rzeczą nie tylko potrzebną, ale—prawie zupełnie nową.

Dopiero w ostatnich latach XVIII-go w. tak zwana „Komisyja policyi” ustanowiła różnicę urzędową pomiędzy szpitalem-lecznicą a szpitalem-przytułkiem. Poprzednio, przez cały szereg lat i stuleci, dwa te pojęcia i dwie te rzeczy łączono u nas w jedno.

Najpierwsze warszawskie „szpitale” były właściwie tylko przytułkami, gospodami, albo dosłownie: domami gościnnymi dla ludzi biednych (*domus pauperum hospitales*). Nazywano je także z grecka: *xenodochia* (czasem z dodatkiem: *peregrinorum*), co znaczy: gospody pielgrzymów.

Jeszcze w połowie zeszłego wieku nazwa „szpital” służyła w Warszawie wszystkim zgoła rodzajom zakładów filantropijnych. Posiadało zaś ich wówczas miasto aż dziewięć, co dowodzi, jak bujnie po wszystkie czasy krzewiły się u nas uczucia altruistyczne. Oto te zakłady:

1. Szpital Dzieci podrzuconych (założony przez ks. Baudouina).
2. Szpital św. Łazarza (założony przez Skargę).
3. Szpital sierocy św. Benona.
4. Szpital św. Ducha przy kościele św. Marcina (księży Augustyanów).
5. Szpital św. Ducha przy kościele ks. Paulinów.
6. Dom Poprawczy (założony przez ks. Rostkowskiego).
7. Szpital ks. Bonifratrów.
8. Szpital św. Rocha.
9. Szpital św. Kazimierza.

Gdy chciano część tych szpitali „partykularnych” skupić w jednym miejscu i oddać pod zarząd jednej administracji, w projektowanym szpitalu „generalnym” pomieścić się miało to wszystko, czem się zajmuje dzisiejsza, tak bardzo wyspecjalizowana, filantropia warszawska.

Wydana w r. 1758 broszura: „O założeniu Szpitala Generalnego w Warszawie; Do całego Narodu Polskiego y W. Xięstwa Litewskiego” wyszczególnia dziewięć pozycji, programem owego szpitala objętych. Tłómacząc je na język dzisiejszy, czyli nadając im nazwy, dzisiejszym oddzielnym instytucjom służące, wypada, że w „szpitalu generalnym” miały znaleźć jednocześnie pomieszczenie: Dom podrzutek, przytułki położnicze, ochrony dla sierot, właściwy szpital dla chorób niezaraźliwych, przytułek dla starców i kalek, szpital dla obłąkanych, szpital dla wenerycznych, dom zarobkowy, areszt policyjny. Dodajmy dla ścisłości, że dla pierwszych pięciu oddziałów

przeznaczono jeden gmach, a dla ostatnich czterech drugi.

Instytucya wszakże, najbardziej do dzisiejszego Towarzystwa Dobroczynności zbliżona (z wielu też względów podobna „Towarzystwu przeciwżebractwu“), powstała dopiero za Stanisława Augusta, za sprawą—cudzoziemca. Był nim baron Le Fort. Opracował on i około roku 1783 wprowadził w wykonanie plan, który zapobiegał radykalnie szerzącej się pladze żebractwa.

Przedsięwzięcie, popierane przez króla i możniejszych obywateli warszawskich, rozpoczęło się pod dobrą wróżbą. Za rogatkami Wolskimi stanął gmach, przeznaczony w połowie na przytułek dla niedołączonych kalek i starców, w połowie na dom pracy dla tych, co pracować mogli. Ludzie dobrej woli utworzyli towarzystwo, które stałymi zasiłkami zobowiązało się wspomagać nową instytucję. Zaraz w pierwszym roku towarzystwo to liczyło 327 członków.

Posiadam ciekawe „Doniesienie” starościńskie z r. 1785, które okazuje, jak gorąco sprawa ta była popierana. Doniesienie, wydrukowane w trzech językach (polskim, francuskim, niemieckim), a podpisane przez ówczesnego starostę warszawskiego, Aloizego Fryderyka hr. Brühla, jest właściwie odezwą do ogółu o składki i ofiary.

„IMC Pan Generał Baron Le Fort—powiedziano tam — był najpierwszy, któremu przyszło na myśl przedsięwziąć ustanowienie instytutu dla ubogich, dla zgromadzenia do niego prawdziwie samych ubogich, odłączenia owych od włóczęgów, dania pierwszym wyżywienia, wypędzenia drugich, albo ich przynaglenia do zarobienia sobie na żywność.”

Program, jak widzimy, zupełnie ten sam, jaki nakreśliło sobie nasze Towarzystwo przeciwżebractwa.

Na nieszczęście, i baron Le Fort, i jego dzieło zniknęli wkrótce z powierzchni Warszawy, jakby ich



zdmuchnięto. Dziwna tajemnica zniknięcie to pokrywa. Nawet Sobieszczański, który miał w ręku specjalne do tej sprawy materiały, zagadki rozwiązać nie potrafił. I tylko poczciwy gaduła Magier stworzył na temat barona i zaszytych w łachmanach dukatów anegdotkę, która wszakże krytyki historycznej nie wytrzymuje, stwierdzając jedynie, że w błocie warszawskiem po wszystkie czasy obficie leżały się — plotki.

Dzieło Le Fort'a przepadło, ale zawarta w nim idea ocalała. Z tej to właśnie idei narodziło się, w ówczesnym wieku później, warszawskie Towarzystwo Dobroczynności.

Czem jest dziś to ostatnie dla Warszawy, mówić nie potrzebuję. Jest-że wśród moich czytelników choć jeden, któremu by obce były: zakres, wartość i znaczenie tej wielkiej i nieodzownej instytucji?

---

## VII.

### O Dworze „Pod Gwiazdą”.

---

Pod oskardem mularskim padła niedawno jedna z najstarszych pamiątek naszego, odmładzającego się pracownice, miasta.

Pamiętką tą był dom „pod Gwiazdą”, na rogu ulic: Senatorskiej i Koziej.

W pojęciu współczesnego warszawiaka malownicze godło tej posesyi nadała jej mieszcząca się tam, pod taką właśnie firmą wielce popularna piwiarnia; w rzeczywistości jednak godło to było znacznie od

niej starsze, sięgało bowiem początków XVII-go stulecia.

A i właściwa historia Warszawy, jako stolicy kraju, rozpoczyna się od tej dopiero daty.

Warszawa w owej epoce, pod względem urzędzeń administracyjnych i policyjnych nie była wcale ideałem miasta. Wszelkie tak zwane „porządki miejskie” bardzo wiele pozostawiają w niej do życzenia. Część tylko ulic posiadała nazwy urzędowe, a o numeracyi domów nawet mowy nie było. Nie było i być nie mogło, numeracya bowiem taka nastęrczałaby w wykonaniu niezwalczone prawie trudności. Warszawa ówczesna nie stanowiła jednolitej całości, lecz była luźnem skupieniem pojedynczych miasteczek, z których każde rządziło się na własną rękę. Było to podobnem nieco do związku niemieckiego—przed Bismarkiem...

Gdyby komu przyszła była wówczas myśl oznaczenia porządkowymi numerami miejskich nieruchomości, musiałby tworzyć oddzielną numeracyę dla Starej Warszawy, oddzielną dla Nowej Warszawy, a oddzielną znów dla każdej z osobna jurydyki.

Nie mogło więc przyjść do tego; nie mogło tembardziej, że nawet nazwiska głównych ulic, placów przedmieść i kęp na Wiśle nie były ustalone, i że nawet najwydatniejsze miejscowości nazywano w owej epoce coraz inaczej, nie tylko w mowie potocznej, ale nawet w aktach urzędowych.

Właściwa numeracya domów zaprowadzona została w Warszawie dopiero przy końcu zeszłego stulecia. Uchwała tak zwanej „Komisyi brukowej” z dnia 30-go marca r. 1784-go, zaleciła ją mieszkańcom miasta w liczbie innych niezbędnych zmian i urzędzeń, co było zarazem hasłem do odebrania władzy sądowniczej magistratom oddzielnych jurydyk i uczynienia ratusza Starej Warszawy ratuszem głównym całego miasta.

Jakże jednak radzili sobie nasi pra-pra-dziadowie z oznaczeniem miejscowości w czasach, poprzedzających owę uchwałę?

Radzili sobie w sposób prosty a dowcipny.

Oto zamożniejsi i pomysłowisi obywatele umieszczali na swoich posesjach jakieś znaki lub figury wyrzane z drzewa, a czasem wykute z kamienia, znaki zaś te i te figury nadawały już raz na zawsze pewną stałą nazwę dworowi, dworkowi lub kamienicy.

Niekiedy, wyobrażenia te były zupełnie przypadkowe; czasem jednak zostawały w związku z jakimś wydatnym faktem z życia mieszczanina. Tak na przykład, obywatel, trudniący się handlem zamorskim, umieszczał na posesyi swojej rzeźbiony misternie okręt; inny, który na jednej z wypraw tureckich odznaczył się, a może i łup przywiózł z niej bogaty, ozdabiał front swojego domu głową Turka i t. p.

Tak wyróżnione domy otrzymywały zaraz stałe przezwiska: „pod Okrętem”, „pod Turkiem i t. p., i służyły za punkty wytyczne dla całej dzielnicy miasta.

I mawiano wówczas:

— Słyszeliście? Podobno w lochach kamienicy „pod świętym Markiem” pokazał się bazyliszek!..

— Pytacie o Kosa, ruśniczarza? Mieszka teraz podle dworu „pod Krzysztofem...”

— Co macie szukać daleko! „Pod Gąsiorkiem” dadzą wam i izbę ciepłą do przespania, i antał dobrego wina na rozgrzewkę!..

I każdy wiedział, że w pierwszym razie jest mowa o kamienicy na rogu Starego-miasta i Dunaju; w drugim o domu przy ulicy Długiej, w bliskości dzisiejszego placu Krasińskich; w trzecim nareszcie o popularnej winiarni, połączonej z domem zajezdnym, również przy ulicy Długiej.

Otóż w owej epoce, lubującej się w długich określeniach, poza murami miejskimi, przy ulicy *Bykowej*...

— Przy jakiej ulicy? — spytasz zadziwiony czytelniku.

— Powtarzam: przy ulicy Bykowej...

— Coż to za nowa ulica?

— Wcale nie nowa. Jest to też sama ulica, która następnie, po wzniesieniu za Zygmunta III-go kościoła i klasztoru w miejscowości zwanej „Na piaskach”, nazywała się *Reformacką*...

— Ależ ja nie znam również żadnej Reformackiej!

— Przepraszam, znasz ją, czytelniku; znasz ją jednak pod ostatnią — na dziś — nazwą: ulicy Senatorskiej. Otóż przy tej ulicy Bykowej-Reformackiej-Senatorskiej, wprost zieleniącej się dwoma rzędami rozłożystych drzew alei...

— Zkądże znów wzięła się w tym punkcie miasta aleja?

— Zkąd się wzięła, nie wiem; wiadomo mi jednak, że gdy zagaściły się na niej mniejsze i większe dworki (a dwa z nich, z modrzewia zbudowane do obecnej chwili istnieją) i gdy król Sobieski w roku 1684-ym, na pamiątkę zwycięstwa odniesionego nad Turkami, wymurował tam klasztor dla sprowadzonych przez siebie zakonników, z alei tej utworzyła się ulica i ulicę tę nazwano *Kapucyńską*...

— Kapucyńską? Nigdy o takiej ulicy nie słyszałem.

— A jednak jest to też sama, której już na początku bieżącego stulecia, a mianowicie w dniu 11-ym grudnia r. 1808-go, nadano tytuł *Napoleońskiej*, na cześć bohatera z pod Austerlitz...

— I ta nazwa obca jest mi zupełnie!

— A więc, wyrażając się zrozumialej, choć nie historycznie: wprost dzisiejszej ulicy Miodowej, jeden z bogatych mieszczan warszawskich, lub też — co jest nawet prawdopodobniejsze — jeden z przyjezdnych magnatów, potrzebujących, w porze sejmowej, wygodne-



go pomieszczenia dla siebie i dla dworzan swoich, wybudował przestronny, drewniany dwór, nad którym zawiesił drewnianą również, połączaną — gwiazdę...

Trudno dociec, co owego mieszczucha, rycerza lub też hreczkosieja, skłoniło do wybrania takiego właśnie astronomiczno-poetycznego znaku; być może wszakże, iż będąc Mazurem, chciał blaskiem tego godła okazać światu, że wbrew przysłowiu, nie urodził się pod gwiazdą... ciemną.

Hypoteza to zresztą bardziej felietonowa, niż historyczna.

Nazwisko pierwszego właściciela dworu „pod Gwiazdą” nie jest nam znane; wiemy natomiast, że w połowie XVII-go wieku dwór ten znajdował się w posiadaniu Grzegorza Krakowińskiego *vel* Brukarskiego (dwoistość nazwisk była wówczas bardzo zwyczajną), który jednak nie był snąc zamożnym i do miejsca przywiązany, kiedy go już w r. 1645-ym nowemu nabywcy odprzedał.

Co prawda, nabywca ten nie był pierwszym lepszym...

Dość wymienić nazwisko jego: Krasiński...

Był to mianowicie Jan Kazimierz Krasiński, podówczas kasztelan warszawski i płocki, a nieco później wojewoda płocki i... podskarbi wielki koronny.

Bartoszewicz w swoich „Szkicach” (tom I-szy, str. 306 i następane) kreśli ciekawą sylwetkę tego magnata i dostojnika. Miał to być człek cichy z pozorami i potulny, w rzeczywistości zaś obdarzony przenikliwym *praktycznym* rozumem i o przyszłości myślący.

Godność wojewody otrzymał on od Maryi Ludwiki, w nagrodę za to, że pojął za żonę jedną z jej ulubienic, Amatę Andrault, hrabiankę de Langeron. Przez żonę i przez dostojną jej protektorkę wkraść się też w łaski samego Jana Kazimierza, który go do wielu spraw używał i starostwami obdarowywał. Pod-

skarbiorstwo otrzymał od tegoż monarchy, pokładającego w nim nieograniczone zaufanie.

Wojewoda i podskarbi umiał chodzić nie tylko około publicznych, ale też i około własnych interesów, czego dowodem olbrzymi majątek, jaki umierając, zostawił synowi swojemu Janowi Bonawenturze, czyli inaczej Dobrogostowi.

Tu już tylko nawiasem wspomnieć wypada, że wspaniały gmach na placu Krasińskich, zwany do dnia dzisiejszego „pałacem Krasińskich”, a będący w swoim czasie rezydencją prawie monarszą, jest właśnie dziełem owego Dobrogosta.

Syn — częstą na świecie koleją — odrodził się od ojca, i wyrzucał na wszelakie zbytki pełnemi garściami złoto, które rodzic jego po dukacie przez długie lata gromadził.

Ale wracajmy do dworu „pod Gwiazdą...”

Kasztelan warszawski, nabywszy drewnianą tę posiadłość, niebawem rozebrał ją kazał i na jej miejsce wystawił dwór murowany, przestronny i wygodny, jaki w pierwotnym swoim zarysie, z małemi tylko zmianami, dotrwał do dni naszych.

Dwór ten, nie odznaczający się na zewnątrz niczem szczególnem, miał jednak komnaty przystrojone bogatemi „szpalerami” (gobelinami) i urządzone z przepychem błyszczącym, choć oszczędnym, niezbędnym dla człowieka, który o wielkiej karierze marząc, musiał przyjmować u siebie w domu najwyższych dostojników Rzeczypospolitej.

Dwory takie, już z chwilą przeniesienia stolicy do Warszawy i zamieszkania w niej Zygmunta III-go, zagaściły się po przedmieściach warszawskich.

Z początku panowie lokowali się w dworkach mieszczańskich, na czas sejmu wynajmowanych, gdzie bywało ciasno i niewygodnie, i gdzie splendoru szlacheckiego nie można było roztoczyć. Pan mieszkał w dworku, mając często po drugiej stronie (dwory,

staropolskim obyczajem, przedzielała się na dwie połowy) krzyzącą rodzinę „łyka”; konie zaś, pojazdy i część większą służby musiał w inne miejsce odsyłać.

Stwierdzają to ówczesne pamiętniki, w których czytamy naprzykład:

„29 Oktobra (1614) przybyliśmy do Warszawy. Księżna (Dolska) prosto pojechała do Klecka, a księżę stanął u Kosickiego w Rynku. Byłem razem z księciem, konie zaś moje i czeladź stała na Krakowskiem Przedmieściu, nad Wisłą, w domu księcia Pana Podczaszego” („Pamiętniki Samuela Maskiewicza”, Wilno, 1838).

Krasiński, wznosząc na miejsce drewnianego dworu pałac murowany, miał na celu nie tylko zabezpieczenie się przed niewygoda, ale zarazem przygotowanie sobie stałej rezydencji w mieście, które obrał za główne pole swoich, daleko sięgających, kombinacyj.

A w kombinacyach tych nie przerachował się... I on i syn jego zajęli w stolicy stanowiska najwybitniejsze. O podskarbiostwie Jana Kazimierza już wiemy; dodać jeszcze potrzeba, iż syn jego Dobrogost doszedł z czasem do wysokiej godności starosty warszawskiego.

We dworze „pod Gwiazdą” mieszkał podskarbi do samej śmierci, to jest do roku 1668-go. Nim zamknął oczy na zawsze, pozwolił mu Bóg oglądać wielkie dostojęństwo, spływające na syna (referendarstwo wielkie koronne i starostwo warszawskie), oraz patrzeć na związanie się jego węzłami ślubnemi z Teresą Chodkiewiczówną, wojewodzianką wileńską.

Wesele młodej pary odbyło się z wielką wystawnością. Salony „pod Gwiazdą” ledwie mogły pomieścić dostojnych biesiadników. Poloneza z panną młodą prowadził... król Jan Kazimierz.

Po śmierci ojca, Dobrogost Krasiński niedługo już przemieszkiwał we dworze przy ulicy Bykowej.

Co starczyło ojcu, dorabiającemu się, nie mogło wystarczyć synowi, który przyszedł na gotowe. Dumny, puszący się i buńczuczny, postanowił wznieść sobie pałac, zaścianujący bodajby królewską rezydencją. Miliony ojcowskie pomogły mu do urzeczywistnienia tego zamiaru, i wspaniały gmach, obwiedziony murem jak forteca, już w r. 1676-ym, a więc w 8 lat zaledwie po zgonie rodzica, stanął na pustych dotąd placach, przy ulicy *Szerokiej*...

— Alboż jest w Warszawie ulica Szeroka? — przerywa mi znów nazbyt współczesny czytelnik.

— Jest — objaśniam go nawiasem — nie nazywa się już jednak dzisiaj Szeroką, lecz—Długą.

Z chwilą przeniesienia się Dobrogosta do nowego pałacu, dwór „pod Gwiazdą” opustoszał. Opustoszenie to uwydatniło się tembardziej, gdy sąsiadujący z nim dwór Grzybowski (w tem miejscu jest dziś posesya Piotrowskich, zwana „domem Rezlera”) został w czasie najazdu Szwedów spalony i z ziemią zrównany. „Pod Gwiazdą” mieściła się podówczas może tylko służba Krasińskich, a może i obcy zgola ludzie bez dachu, którymi roiła się w tej epoce Warszawa...

Ambitny Dobrogost umarł około r. 1700-go.

Zostawił on pięcioro dzieci, z których jednak czworo w młodych latach zeszło z tego świata, przeżył zaś rodzeństwo tylko syn Stanisław, i jemu też dostały się na wyłączną własność dobra, kapitały i pałace ojcowskie.

Wówczas też w dziejach dworu „pod Gwiazdą” zaszła nowa zmiana.

W r. 1715-ym sprzedał go Stanisław Krasiński Michałowi Gassowi, proboszczowi węgrowskiemu.

Trudno dociec, na jaki użytek nabywał ksiądz dużą posiadłość w stolicy; być może jednak, że to była tylko operacya finansowa, niebawem bowiem widzimy dwór ten odprzedany — Szaniawskim.



Odtąd „Gwiazda” przechodziła nieustannie z rąk do rąk...

Od Szaniawskich nabywają posesyę Szubalsey.

Od Szubalskich przechodzi ona do Zamoyskich.

Od Zamoyskich dostaje się Balickim...

Okolo tego czasu dwór „pod Gwiazdą” frontowymi swojemi oknami widzieć mógł scenę awanturyczną, polityczno-powieściową, jaka rozegrała się tuż przed nim, w ciemny wieczór listopadowy.

Sceną tą było porwanie Stanisława Poniatowskiego przez trzydziestu konfederatów, którzy zasadzili się nań na placyku, przy zbiegu ulic Senatorskiej, Miodowej i Koziej — gdzie dziś wznosi się kiosk, afiszami oklejony.

Przebieg tej politycznej „awantury” znany jest wszystkim; wszyscy też pamiętają datę 2-go listopada r. 1771-go.

Gdy, pominąwszy polityczne znaczenie faktu, zważy się, że napad nastąpił między godziną 9-tą a 10-tą wieczorem, i że dopiero *post factum* miasto zaalarmowane nim zostało, kwestya wspomnianych już na początku „porządków miejskich” przedstawi nam się w smutniejszym jeszcze świetle.

Widocznem jest, że spiskowcy mieli tu potężnego sprzymierzeńca — w złem, a raczej podobno wcale nieistniejącem, oświetleniu Warszawy.

I w samej rzeczy, pomimo bardzo pocieszających w tym względzie postanowień magistratu, kto w owych czasach zmuszony był do wyjścia wieczorem na miasto, a chciał mieć drogę przed sobą rozwidloną, najpewniej cel ten osiągał za pomocą... latarni lub pochodni, które przed nim własna niosła służba.

Wprawdzie już w r. 1755-ym ówczesny prezydent Warszawy, Jan Dulfus, zaopatrzył miasto w latarnie olejne i polecił palić je w godzinach wieczornych nietylko w bramach miejskich, ale także przed gmachami ratuszowymi i na placach; wprawdzie w r.

1759-ym rozporządzenie to wznowiono i obostrzono — wszystko to jednak nie przeszkadzało Warszawie to-  
nać w egipskich ciemnościach, które tylko niekiedy  
księżyc z łaski rozpraszał...

Sobieszczański, dobry znawca przeszłości nasze-  
go miasta, zapisuje w tym przedmiocie fakt bardzo  
charakterystyczny:

„Musiano (w kilka lat po wydaniu zacytowanych  
rozporządzeń) przy latarniach oświetlających bramę  
pozostawić straż, swawolni bowiem ludzie albo je tł-  
kli, albo całkiem zabierali...”

Któż w owych „swawolnych ludziach” nie po-  
zna protoplastów współczesnych nam „figlarzów”, przed  
którymi nie ostanie się ani jeden kwiat w Saskim  
ogrodzie, ani jedno drzewko wzdłuż ulicy posadzone,  
ani jeden szyld ozdobniejszy, który można rękami do-  
stać i... uszkodzić?

Dopiero po owym listopadowym wieczorze obu-  
dziła się większa czujność w tym kierunku, owocem  
zaś tej czujności było rozporządzenie, nakazujące przy-  
bijać latarnie, co trzeci dom, na każdej ulicy, i opa-  
łać je połączonym kosztem właścicieli domów.

Ale i o tem rozporządzeniu niebawem zapo-  
mniano...

Wracając do dworu „pod Gwiazdą”, w krótkich  
już słowach zamkniemy jego kronikę, nie obfitującą  
odtąd w fakta większego znaczenia.

Jak już wiemy, ordynatowie Zamoyscy, w któ-  
rych ręku dość krótko pozostawał, sprzedali go Ba-  
lickim; od tych ostatnich zaś w roku 1782-im nabył  
go smutnej pamięci Szymon Kossakowski, hetman  
W. K. L.

Ale niebawem dwór ten powrócił znów do ro-  
dziny Balickich, która odkupiła go od wierzycieli  
hetmana.

Na początku bieżącego stulecia, ponownie zmie-  
nił on właściciela.

W objaśnieniu, dołączonem do znakomitego pla-

nu Warszawy Bacha (rysowanego w Dreźnie, r. 1808-go) znajduję dwór „pod Gwiazdą” zapisany pod numerem 480-ym, jako *pałac Kuźniców*.

Ostatnimi posiadaczami tego pamiątkowego gmachu byli Szymon Belli i jego sukcesorowie.

Tyle wspomnień historycznych.

W bieżącej kronice Warszawy, dwór „pod Gwiazdą” występuje przede wszystkim, a może i wyłącznie, jako pomieszczenie wielce popularnej piwiarni.

Kończąca ta karta jego dziejów, obficie zlaną piwem bawarskiem, zdaje się być ówiartką bibuły, wklejoną do pergaminowego rękopisu. Pomieścićby się mógł na niej jedynie szkic rodzajowy *à la* Kostrzewski...

---

## VIII.

### O Domu Staszica i Kościele Brygidek.

---

#### *Dom Staszica.*

Gmach ten, ze znamieną na szczycie kopułą, rozmaicie nazywali warszawianie ostatniej, a raczej przedostatniej doby. Dla jednych był on „Domem Staszica,” dla innych „Gmachem gimnazjum pierwszego,” dla innych jeszcze „Urzędem loteryi,” a dla innych znów „Akademią medyczną.” Najstarsi nazywali go „Towarzystwem przyjaciół nauk.” Wszystkie te nazwy były historycznie usprawiedliwione, piękny bowiem i poważny ten budynek służył kolejno wszystkim wymienionym instytucjom. Dziś, całkowicie przeobroniony, mieści w sobie gimnazjum rządowe, internat szkolny, oraz cerkiew prawosławną.

„Dom Staszica,” jako taki, przestał istnieć w okrą-  
głe trzy ćwierci wieku po narodzeniu. Krótkie to  
dzieje; uzupełnia je wszakże i zajęcia im dodaje hi-  
storia miejsca, na którym w roku 1820 wielki oby-  
watel mury te dźwignął. W miejscu tem stał dawniej  
kościół i klasztor księży Dominikanów - Obserwantów,  
wcześniej zaś jeszcze t. zw. „Kaplica Moskiewska.”

Słówko o jednym i o drugim.

Kaplicę Moskiewską (*Sacellum Moscoviticum*) zbu-  
dował Zygmunt III w r. 1620, dla przystojnego po-  
chowania w niej ciał Wasila i Dymitra Szujskich,  
zmarłych w r. 1613 w krótkich odstępach czasu na  
zamku Gostynińskim.

Miał to być budynek drewniany, pamiątkowemi  
tablicami z marmuru wewnątrz, czy też zewnątrz,  
ozdobiony. Kształt jego w niewyraźnych zarysach  
oglądać można w dziele Puffendorfa (*„De rebus a Ca-  
rolo Gustavo etc.”* Norymb., 1696), oraz na starym  
widoku Warszawy z XVII wieku, rytowanym w Augs-  
burgu przez jednego z Kilianów. Ma on tam formę  
kiosku.

Rymopis owoczesny, w jednej osobie muzyk, bu-  
downiczy i kronikarz miasta, Adam Jarzembski, tak  
o tej kaplicy w „Gościńcu” swym (r. 1643) mówi:

Niedaieko tuż kaplica  
Moskiewska; na niej tablica  
Marmurowa z literami,  
Ztotemi charakterami.  
...Na sejm do Warszawy  
Stawiono Szujskich; ich sprawy  
Do Gostynina postano;  
Do więzienia odesłano.  
Potem ich tu pochowano,  
W tej kaplicy w grób schowano.  
Przyjechał poseł moskiewski,  
A więc majestat królewski  
Złożył jemu w podarunku  
Ciała, w wielkim obwarunku,

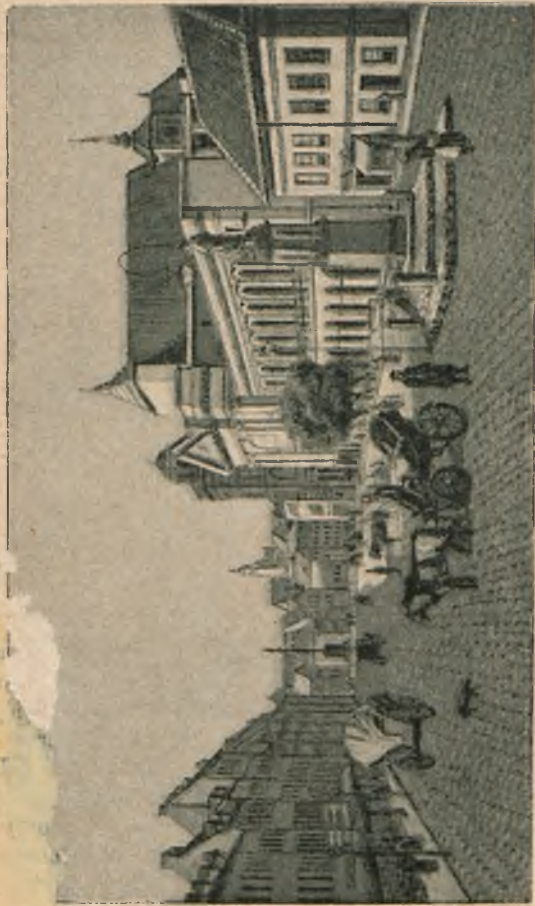


Które z ceremoniami  
Zawieziono z tryumfami  
Do stolicy. Wieczna sława  
Za czwartego Władysława.

Jak się zdaje, był to tylko rodzaj monumentu. Ciała Szujskich spoczywały w nim zaledwie lat piętnaście. W roku 1635 Władysław IV złożył je carowi Aleksemu Michajłowiczowi, a za Stanisława Augusta, na prośbę księcia Repnina, i tablice marmurowe zostały usunięte.

Niektórzy dawniejsi i nowsi autorowie nazywali monument ten „kaplicą obrządku greckiego,” z kądnosićby można, że się tam i nabożeństwa prawosławne odbywały. Tak jednak nie było. Miejscem nabożeństw takich, przed zbudowaniem stałej cerkwi, bywały kaplice przy rezydencyach posłów ruskich; najpierwsza zaś z tych kaplic istniała na Lesznie pod n-rem 661 i 662. Ten fakt stwierdzony jest historycznie; ale przypuszczać można, bez dowodów jednak w rękę, że już za książąt Mazowieckich odprawiała się tu niekiedy służba Boża wedle obrządku prawosławnego. Na domysł ten naprowadza okoliczność, że niektórzy z książąt mieli małżonki pochodzenia ruskiego.

Za Jana Kazimierza historia tego miejsca y zyskała rozdział. Pobożny król, aby zostawił t- kę ostatecznego pogromu Szwedów i niebu r- le sione tryumfy podziękować, zbudował przy ka- o- skiewskiej kościół „Najświętszej Panny Ma- wy- ciężkiej” (*Sancta Maria de Victoria*) i oddał on- nikanom-Obserwantom. Królowie i magnaci niali się hojnemi ofiarami do rozszerzenia i , bienia kościoła, który też dopiero za Stani- gusta przybrał te formy architektoniczne, w ostatnich latach istnienia. Przed ostatecz- braniem (w sierpniu 1818 r.) odrysował go e ry



Krakowskie Przedmieście około r. 1850.

(Litografia Ceglińskiego).

Zygmunt Vogel. Rysunek ten znajdował się na wystawie sztuk pięknych, urządzonej w salach Uniwersytetu warszawskiego w 1819 r. (Obecny posiadacz ryciny oddałby przysługę ogółowi, odtwarzając ją w którym z naszych pim ilustrowanych).

W początkach bieżącego wieku kościół Dominikanów-Obserwantów zaczął chylić się do ruiny. Ponieważ nie było środków na odbudowę, zrujnowany gmach obrócono w 1808 roku na koszary. Wynikły potem jakieś niesnaski pomiędzy zakonnikami, i jeden z nich w 1816 r. zastrzelił się na ołtarzu. Przyspieszyło to zamknięcie kościoła i klasztoru, do których rozbiórki zaraz też przystąpiono.

Rok 1818 zamyka drugi rozdział naszej historii, poczem, po krótkiej, bo tylko dwuletniej przerwie, rozpoczyna się rozdział trzeci.

W 1820 r. Stanisław Staszic, mąż złotego serca a żelaznej wytrwałości, wznosi w tem miejscu wspinały pałac — nie dla siebie, lecz „dla Muz i Apolina.” I znów sięgam do rymów, aby suchą opowieść kronikarską kwiatkiem żywym przystroić.

Widzisz ten dom, co inne powagą zwycięża?  
 Jest to pomnik jedyny jedynego męża.  
 On go Muzom poświęcił; w nim świątynię mają,  
 Którzy nauki, cnotę, ojczyznę kochają.  
 Jak słońce, co gdy błysnie, spędza nocy cienie,  
 Ten dom przesyła Polsce oświaty promienie.

Tak śpiewa w 1826 roku J. N. Leszczyński, uczeń warszawskiego uniwersytetu, w „Elegii” na zgon Staszica napisanej. Ów dom, co „inne powagą zwyciężał,” ofiarowany został przez Staszica warszawskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk. Towarzystwo związane zostało w roku 1800 za sprawą Albertrandy'ego. Cel jego objaśnia, w sposób jasny a prosty, artykuł pierwszy ustawy, który brzmi: „Towarzystwo królewskie warszawskie Przyjaciół nauk stanowi sobie

za cel istotny przykładać się do rozszerzenia nauk i umiejętności w polskim języku."

O składzie zaś Towarzystwa czytamy w artykule czwartym: „Sześćdziesiąt członków składa Towarzystwo; każdy z nich w dziale nauk sobie właściwym pracować będzie.” Jak z tego widzimy, Towarzystwo nie było honorową sypialnią dla laureatów, lecz zbiorową, intelektualną pracownią, której dziełami karmić się miał kraj cały.

Pierwsze posiedzenia, co miesiąc urządzane, odbywały się przy ulicy Długiej, w bibliotece księży Pijarów. Ztamtąd przeniesiono się na Kanonję, do posesyi oznaczonej trzema numerami hypotecznymi: 85, 86, 88.

Około 1810 roku prezesem Towarzystwa zostaje Staszic i zaraz też przemyśliwać zaczyna o uposażeniu go własnym, odpowiednim powadze instytucyi, domem. Pragnienie to spełnia się w jedenaście lat później i Warszawa zyskuje swoje słynne biesiady duchowe „pod kopułą” — co przypomina poniekąd Paryż i jego Akademię.

Gołębiowski opisuje dość szczegółowo wewnętrzne urządzenie gmachu, który stanął podług planów Corazziego. Za jego czasów (już po ustanowieniu Królestwa Polskiego) salę główną, na posiedzenia publiczne przeznaczoną, zdobił wizerunek naturalnej wielkości cesarza i króla Aleksandra I. Naprzeciw tego wizerunku, malowanego przez Blanka, wisiał inny, będący pamiątką tylko co minionego okresu, a przedstawiający Fryderyka-Augusta, króla Saskiego. Przy ścianach umieszczone były marmurowe popiersia Albertrandy'ego, Potockiego (Stanisława), Naruszewicza, Krasickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego. Naprzeciw miejsca dla członków wznosił się amfiteatr dla publiczności, mogący pomieścić kilkaset osób oraz łóże, kolumnami korynckimi ozdobione.

Pamiętniki współczesne stwierdzają, że posiedzenia uczonego Towarzystwa ściągały tłumy, wśród



których dam o arystokratycznym nazwisku widywano najwięcej. Przyciągała je tam, oprócz mody, przepyszna, koturnowa deklamacya Osińskiego, sekretarza Towarzystwa; przyciągały krasomówskie popisy Stanisława hr. Potockiego, arystokraty „aż do paznogi,” wreszcie i ciekawość ujrzenia całej konstelacyi gwiazd takich, jak: Czacki Tadeusz, książę Czartoryski Adam ojciec, ks. Czartoryski Adam syn, ks. Kopczyński Onufry, Linde Bogumił, Molski Marcin, Przybylski Jacek, Niemcewicz, ks. Poczobut, ks. Prażmowski, Śniadeccy Andrzej i Jan, ks. Woronowicz i wielu innych.

Na liście członków honorowych Towarzystwa zapisani byli, pomiędzy innymi: z Francyi dr. Alibert, Lagarde, L'Hullier; z Węgier Batyani i Tekely; z Czech Dubrowski i Hanka; z Rosyi Dierżawin; ze Szwecyi Engeström; z Włoch Brerra i Mezzofanti, z Ameryki Jefferson.

Towarzystwo posiadało zasobną bibliotekę, gabinet mineralogiczny, galerię obrazów, zbiór starożytności i t. d.

Po upadku stworzonej przez Albertrandy'ego instytucyi, „dom Staszica” przeszedł pod zarząd władzy naukowej. W 1858 r. umieszczono w nim Akademię medyczną, która w cztery lata później wcielona została do nowopowstałej Szkoły głównej, jako „wydział lekarski.”

Przez czas pewien miał tu swe siedlisko główny zarząd loteryi klasowej, a w 1866 roku znalazło się „pod kopułą” gimnazyum męzkie. Jednocześnie w dawnej sali posiedzeń urządzono kaplicę pod wezwaniem Ś. Cyryla i Metodego.

Niedawno dom Staszica przestał faktycznie istnieć. Przebudowano go całkowicie od fundamentów aż do dachu, i kopuła, szczyt jego zdobiąca, bezpowrotnie zniknęła.

### Kościół Brygidek.

W roku 1892, przy zbiegu ulicy Długiej z Nalewkami, zostały rozebrane t. zw. „Warsztaty artyleryjskie.” Warsztaty te mieściły się w murach dawnego kościoła i klasztoru. Do posesyi tej należał także wązki zaułek od strony ulicy Długiej, murem i bramą zamknięty, a oznaczany zwykle mianem „uliczki bez nazwy.”

O tym kościele i o tym zaułku chcę właśnie słów kilka powiedzieć.

Aż do połowy wieku XVI znajdowały się w tem miejscu rozległe pastwiska miejskie. Zwały się one „Wygon,” albo „Stegno,” po łacinie *Expulsorium civile*. Pod tem nazwiskiem są one często w starych aktach i lustracyach Warszawy wspomniane.

Ulica Nalewki była wówczas gościńcem. Jako gościniec wspomniana jest też znacznie później, bo jeszcze za Jana Kazimierza.

Otóż przy tym gościńcu, w punkcie jego zetknięcia z ulicą Szeroką albo Błęską (dziś Długą), około r. 1540, sławetny Jan Karnof, złotnik i rajca warszawski, wystawił kaplicę drewnianą pod wezwaniem Świętej Trójcy.

Stała ta kaplica nietylko po za obrębem właściwego miasta, ale nawet po za granicami jego przedmieść. Służbę kościelną pełnił w niej kapelan, utrzymywany z funduszków, pozostawionych na ten cel przez założyciela.

W pierwotnym, skromnym stanie dotrwała kaplica Św. Trójcy do czasów Stefana Batorego, który ją większym otoczył blaskiem. Rycerski monarcha wzniósł przy niej murowany szpital wojenny i całą posiadłość murem krzepkim opasał. Szpital ów nie był, jak się zdaje, lecznicą, lecz czemś w rodzaju domu inwalidów. Wszystkie szpitale warszawskie miały w po-

czątkach przeważnie charakter przytułków; o tym zaś pisze nawet wyraźnie Braun (*Theatrum Urbium etc.*, Kolonia, 1593—1613), że był „na pomieszczenie wysłużonych żołnierzy przeznaczony.”

Panowanie Zygmunta III przyniosło nową zmianę w losach kaplicy. Król ten, ze szczególnem upodobaniem zaludniający miasto zakonnikami i zakonnice, sprowadził do Warszawy panu Brygidki i oddał im w posiadanie kościół, oraz klasztor, który zapewne powstał z przerobionego na ten cel szpitala.

Z tym faktem łączy się historia pobliskich ulic: Nowolipia i Nowolipek. Brygidki, przeniesione do Warszawy ze wsi Lipie (w ziemi czerskiej), przeważały obszerne swe grunty, klasztorowi przyległe, Nowem Lipiem, co zmieniło się następnie na Nowolipie. Gdy zaś później, już w początkach wieku XVIII, zabiegliwe i dziwnie w procesach sądowych zamiłowane zakonnice wiodły ze szpitalem św. Łazarza długi spór o grunty, sądy, ustanawiając granicę pomiędzy posiadłościami jednej strony i drugiej, gruntem szpitalnym nadały, dla odróżnienia, nazwę Nowolipek.

Dla kościoła i klasztoru wiele czyniła rodzina Leszczyńskich, właścicieli pobliskiego Leszna, będącego niegdyś wsią, dziś ulicą warszawską.

Andrzej Leszczyński, arcybiskup gnieźnieński, pierwotną drewnianą budowlę zamienił na murowaną. Nagrodą za tę ofiarę było *Salve Regina*, odmawiane na jego intencję przez zakonnice codziennie po niesporach.

Jakaś Leszczyńska, o której bliższych szczegółów nie podaje nawet „Słownik malarzów polskich” Rastawieckiego, wymalowała do wielkiego ołtarza obraz, przedstawiający św. Trójcę.

Gdy podczas wojen szwedzkich kościół i klasztor wiele ucierpiały, Stanisław Leszczyński znacznym kosztem szkody ponawiał.

Jan Przesław Leszczyński, starosta warszawski

i wschowski, jeden z dobrodziejów zakonu, pogrzebiony był w grobach kościelnych.

Podług księdza Kurowskiego, autora rozproszonych tu i owdzie „Pamiętek Warszawy,” w klasztorze Brygidek nie bywało nigdy panien zakonnych więcej nad dziesięć. Przed samem zamknięciem klasztoru liczba ta spadła do sześciu.

Jednak przypuszczać można, że ta zamiejska pustelnia — pustelnią w ścisłym znaczeniu nie była. Nie brakło jej ani zaludnienia, ani gwaru. Przewszystkiem, prócz zakonnice właściwych, uwijało się tam sporo nowicyuszek, oraz wszelkiego rodzaju półzakonnych, półświeckich towarzyszek i służebnic, które przy ogniu świętym tak bardzo wygrzewać się lubią; następnie w obszernych zabudowaniach klasztornych przebywały zawsze na dewocyi zamożne szlachcianki, nie mogące się również obywać bez skromnego choćby dworu.

Posiadłość klasztorna była rozległa i murem szczelnie zewsząd zamknięta. Przy klasztorze znajdował się ogród piękny, dostarczający obficie warzywa, owoców i kwiatów.

Praktyki religijne nie były wyłącznem zajęciem świątobliwych panienek, a zwłaszcza ich ksieni. Klasztor, uposażony licznymi gruntami, które to na własną korzyść uprawiał, to w dzierżawę wypuszczał, miał z konieczności ciągłe stosunki ze światem. O pieniaczkiej żyłce zakonnice już wspomniałem; prócz tego, dla wielu spraw sam klasztor stanowił sądowe *forum*.

Wynikało to ztąd, że panienki, zaokrągłwszy rozległą swą posiadłość licznymi a szczęśliwymi nabytkami i nazwawszy ją „Nowolipiem,” wyodrębniły się następnie od miasta, tworząc własną *jurydykę*.

Jurydyki, jedna z najcięższych plag dawnej Warszawy, były jakby miastami w mieście. Każda żyła i rządziła się własnym trybem, posiadała własny ma-



gistrat i w wielu sprawach ostatnią wyobrażała instancję.

Władza miła jest sercu każdego, nawet tych, co Bogu pokorę i wyrzeczenie się światowych marności ślubowały. Brygidki nie zaniedbały z władzy swej korzystać jak najrozleglej.

Co czwartek, obszerne *parlatorium* klasztorne zamieniało się w salę sądową, do której mieszkańcy Nowego Lipia przychodzili lub byli przyprowadzani, w celu popierania pretensyj swych, bronięcia się, świadczania w sprawach cudzych i słuchania zapadłych wyroków.

Sala wyglądała niezwykle, przypominając tajemnicze rady Wenecyi, lub krzyżackiego Malboga. Tam sędziowie występowali zamaskowani, tu—zgoła niewidzialni.

Ksieni razem z sekretarką swą siedziały za gęstą kratą. Przez otwory tej kraty mogły wszystko widzieć, ich jednak niczyje oko nie dostrzegało. Niewidzialny głos zadawał pytania; niewidzialny głos odrzucał lub przyjmował obronę; niewidzialny głos ferował wyroki.

Przed kratą, przy stołach oddzielnych, zasiadali: kapelan i pisarz. W głębi, za baryerą, było miejsce obwinionych, oraz świadków. Przy drzwiach trzymali straż pachołkowie klasztorni.

Sobieszczański (w szkicu p. t. „Nowolipie i Nowolipki, ustęp z przygotowanej do druku *Historii Warszawy*”) pisze, że przed osobliwy ten trybunał były wyprowadzane i ostatecznie przez niego rozsądzone sprawy „o pobicie, o złorzeczenie, oszukaństwo, pijaństwo, niemoralne życie, o przywłaszczenie cudzej własności i nieregularne płacenie czynszów.”

Tenże autor dodaje (a to już wygląda jak cień w tym patryarchalno-jowialnym obrazie), że pisarz sądu klasztornego, którym bywał zwykle blizki krewniak ksieni, korzystając z przymusowego odosobnienia wła-

dzy najwyższej, sam się najczęściej za nią podawał, naiwnych nowolipian na własną rękę gnębiąc i wyzykując. Gdy im to wszakże zanadto dokuczyło, szli na skargę do przełożonej, gdzie — jak mamy prawo spodziewać się — zawsze sprawiedliwość wymierzana im bywała.

Inne też jeszcze miewała spory pobożna kongregacya — ale tym razem bardziej charakterowi swemu odpowiadające. Klasztorowi przysługiwało tak zwane *jus asyli*, to jest prawo zapewniające nietykalność (*immunitas ecclesiastica*) winowajcom, którzy się pod jego opiekę uciekli.

Z prawa tego korzystano podobno bardzo rozlegle, a litościwego serca panienki czyniły, co mogły, aby wielkich grzeszników raczej łagodnymi środkami nawracać, niż posyłać okrutnie pod miecz katowski. Być może, iż litość unosiła je niekiedy za daleko, ze szkoda dla rozumnej sprawiedliwości, a nawet i z uszczerbkiem dla praw kanonicznych, dość pod tym względem surowych — z tej przesady wszakże nie trudno rozgrzeszyć te, którym przebaczać kazały: i reguła zakonna i serce niewieście.

Znany z przeciwnych poglądów marszałek wielki koronny, Franciszek Bieliński (któremu wymowne w tym względzie świadectwo wystawił Kitowicz), prowadził z Brygidkami częste i energiczne spory, wydzierając im ową *gibier de potence* — spory jednak kończyły się najczęściej zwycięstwem zakonnice. Uparty marszałek, aby postawić na swoim, uciekać się musiał do podstępów. Ukrywał w pobliżu klasztoru straży miejską, a następnie starał się wszelkimi sposobami wywabić nieprzyjaciela w pole. Gdy naiwny kryminalista dał ucho wabikowi i nos za mury wychylił, pacholkiwie miejscy spadali na niego, jak jastrzębie, i unosili do wieży marszałkowskiej, z kąd już go nawet sam biskup poznański, główny opiekun i rzecznik Brygidek, wydostać nie potrafił.

Jarzemski w „Gościńcu” tak nam maluje niewybrednymi rymami obraz kościoła około połowy wieku XVII-go:

*Kościół Św. Trójce na Długiej ulicy.*

Świętej Trójce kościół leży,  
A przy nim gościniec bieży,  
Maluchny i dawne rzeczy:  
Trzy ołtarze piękne grzeczny,  
Ambona z boku, a w ścianie  
Drobne kraty czynią cienie.  
Za temi Panny śpiewają,  
Bogu cześć, chwałę dawają.  
Są to Świętej zakonnice  
Brygitty, jej służebnice.  
Przy nich szpital potężniejszy  
W mury: ale nie możniejszy.

W jednej z zewnętrznych ścian świątyni znajdował się aż do ostatnich czasów kamień z napisem:

*Dorota Duklińska i Maryanna Okoniówna, zmarłe w czasie grasującego powietrza w Warszawie.*

Była to pamiątka strasznej zarazy, która nawiedziła Warszawę w pierwszych latach XVIII-go wieku, a zarazem pamiątka wielkich, prawdziwie chrześcijańskich poświęceń, jakie Brygidki złożyły wówczas na ołtarzu miłości bliźniego.

Gdy Warszawa przedstawiała jakby jeden olbrzymi cmentarz, gdy połowa ludności w lasy uciekła, gdy wreszcie dotknięci morem, pozbawieni byli całkowicie specjalnej pomocy lekarskiej, Brygidki (pospołu z innymi zakonnice i zakonnikami) leczyły ciała, koili serca, dusze na drogę wieczności przygotowywały...

Ale do zapowietrzonych bezkarnie zbliżyć się nie można; wkrótce też mór przedostał się do klasztoru i zaczął w nim czynić straszne spustoszenia...

W rękopiśmiennych rachunkach Wilhelma Czamera, ówczesnego burmistrza (prezydenta) Starej War-

szawy, znajduję taką potężnie tragiczną w swym lakonizmie notatkę:

„17 Octobr. (r. 1710). Chłopu, co chodził do Wilkowa, dając znać, iż yusz ostatnia Panna zakonna u Ś. Troycy umarła powietrzem... fl. 6.”

Ostatnia!... A więc legły na stanowisku wszystkie co do jednej szlachetne rycerki Krzyża. Cześć im! Jak już wspomniałem, kościół św. Trójcy razem z klasztorem Brygidek przestały istnieć na długo jeszcze przed ostatecznym rozrzuceniem zabudowań.

W roku 1807 zakonnice przeniesione zostały do klasztoru Panien Wizytek, gmachy zaś ich obrócono na koszary. Nieco później urządzono tam przytułek dla wysłużonych oficerów oraz dla wdów po poległych na wojnie żołnierzach. Wreszcie, za Księstwa Warszawskiego, w dawnym kościele św. Trójcy, oddanym dyrekcji artylerji, pomieszczoną została fabryka broni.

Kronikarze potocznych dziejów miasta zapisują, że Warszawianie śpieszyli tłumnie do owej fabryki, aby oglądać dziw nad dziwami: pierwszą maszynę parową, która nad Wisłę zawitała.

O „uliczce bez nazwy” to mam przedewszystkiem do powiedzenia, że—miała nazwę. Nazywała się ta uliczka: Wyjazd.

W najdawniejszej z drukowanych taryf Warszawy (z r. 1784) nie zapisano Wyjazdu na liście ulic istniejących, co dowodzi, że już wówczas był to zaułek, w połowie swej długości zamknięty. Ślad wszakże uliczki i nazwy zachował się między innymi w bardzo dobrej taryfie, wydanej przez J. Glücksberga w r. 1832. W rubryce zatytułowanej: „Wiadomość o dawnych ulicach, terażniejszym spisem nieobjętych, wypisana z akt municypalnych M(iasta) S(tarej W(arszawy),” zaznaczono tam:

„Wyjazd—za posesyami nr. 561, 562 i t. d.”

Prócz tego w samej taryfie znajduje się wzmianka:

„Pomiędzy posesyami nr. 559, 560 i 561 egzy-



stowała dawniej uliczka obok ogrodu Rządowego, *Wyjazd* zwana, która wychodziła na Nalewki.”

Nieuprzejmym murem, który w drugiej połowie zeszłego wieku tę uliczkę zagroził, była oficyna pałacu Ogińskich. Pałac ten, przechodząc przez różne ręce (był kolejno w posiadaniu: Łyszkiewicza, Czackowskiego, Hallmana, Aloy, Karolego), stał się wreszcie własnością rządu. Jako pamiątka po pierwszym właścicielu, pozostała przywiązana do tego miejsca nazwa „Ogińskie.”

K O N I E C .





## OD REDAKCYI.

---

*P. T. P. Olimpiuszowi.* W nadesłanych wierszach nie ma ani śladu talentu, oprócz pewnej łatwości rymowania. Radzimy szczerze zarzucić poezję, a wziąć się do innej odpowiedniejszej pracy.

*P. J. St.* Tłómaczenie Heinego wcale dobre. Tu i owdzie tylko należałoby porobić poprawki. Radzimy wytrwać w pracy.

*Czarnej Nidzie.* Wymienione prace nie będą drukowane w „Bibliotece,” a przynajmniej nie w blizkim czasie.

*Pani M. G.* Szanowna Pani nie lubi poezyj — ale większość naszych czytelniczek jest innego zdania. Zresztą, wszak tak mało miejsca poświęcamy poezyi. — Prace z medycyny popularnej znajdzie Szan. Pani niebawem w „Bibliotece.”

---

## SPROSTOWANIE.

Z powodu przedmowy do dziełka p. Józefa Siemiradzkiego p. t. „Szlakiem wychodźców,“ otrzymaliśmy od PP. Hempla i Łązniewskiego następujące sprostowanie:

O odbyliśmy wspólnie z p. Siemiradzkim w r. 1891 podróż po koloniach polskich w stanie Parana w Brazylii, poczem p. Siemiradzki wyjechał do Buenos-Ayres przygotowywać wyprawę w stepy argentyńskie, my zaś pozostaliśmy jeszcze w Brazylii przez sześć tygodni, gdzie zwiedzaliśmy kolonie polskie w stanie Santa Catharina. Rezultaty zwiedzania kolonii polskich w Brazylii ogłoszone zostały przez Antoniego Hempla w książce p. t. „Polacy w Brazylii,“ wydanej we Lwowie 1892 r., a przez Witolda Łązniewskiego w tygodniku warszawskim „Głos“ w szeregu artykułów, zamieszczonych w 1892 r. p. t. „Kolonie polskie w stanie Parana w Brazylii.“

Z Buenos-Ayres, dokąd przyjechaliśmy z Brazylii w końcu października r. 1891, wyruszyliśmy wspólnie z p. Siemiradzkim d. 13 listopada r. 1891 w podróż w stepy argentyńskie.

Już na początku stycznia r. 1892 przekonaliśmy się, że w stepach argentyńskich niema absolutnie żadnych widoków na to, żeby emigracya polska mogła się tam z powodzeniem skierować. Od tej chwili podróż nasza utraciła swój społeczny charakter i utrzymała tylko charakter prywatnej podróży: geologicznej dla p. Siemiradzkiego, dla nas turystycznej. Tak dojechaliśmy do miasteczka General Roca na granicy Patagonii (w styczniu r. 1892); tutaj prywatny charakter naszej podróży uwydatnił się jeszcze więcej. że zaś stosunek nasz jako członków wyprawy nie był względem p. Siemiradzkiego stosunkiem podwładnych do dowódcy, lecz tylko towarzyszków, związanych wspólnym celem, z chwilą, kiedy cel wspólny upadł, ustały i wspólne obowiązki. Nie widząc w dalszych planach p. Siemiradzkiego dla siebie żadnego interesu, rozstaliśmy się z nim w General Roca, z kąd dotarliśmy przez Kordyliery do Chili, a z tamąd do Buenos-Ayres i Europy.

Być może, że koniec podróży bez naszego udziału wydał się p. Siemiradzkim trudniejszy, nie upoważnia to jednak do



stawiania nam zarzutu opuszczenia p. Siemiradzkiego „w najtrudniejszej chwili“ i do napisania: „wówczas Siemiradzki, pozostawiony własnemu przemysłowi w głębi Patagonii, odbył sam dalszą całoroczną podróż po Ameryce. Zwiedził wówczas świeżo powstałe kolonie polskie w Brazylii i t. d.“, gdyż zwiedziliśmy kolonie polskie w Brazylii z udziałem i bez udziału p. Siemiradzkiego zaraz na początku naszej podróży i wogóle zwiedzanie poszczególnych terytoriów odbywało się ściśle w porządku, przez nas tutaj wymienionym, p. Siemiradzki zaś w czasie tej wyprawy bez nas żadnych kolonii w Brazylii nie zwiedzał.

*Antoni Hempel. Witold Łązniewski.*



nr. 806